POLSKA SZKOŁA W STANIE KRYTYCZNYM

DOROTA KOWALSKA

BEZRĘBY

WIELKA LITERA

DOROTA KOWALSKA

BELFRZY

WIELKA LITERA

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Zakupione w nexto: 3256964

Wstęp

To jest BARDZO WAŻNA KSIĄŻKA. Świadomie piszę wersalikami. Ważna, bo mówi – z perspektywy nauczycieli – o najważniejszym aspekcie naszego życia społecznego, gospodarczego i politycznego.

„Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie… Nadto przekonany jestem, że tylko edukacja publiczna zgodnych i dobrych robi obywateli". Tak, wszyscy to znamy, tylko po pierwsze, niewielu z nas wie, że autorem tych słów jest Jan Zamoyski, hetman wielki koronny i doradca Zygmunta Augusta i Stefana Batorego. A po drugie, choć panuje powszechna akceptacja mądrości tej maksymy, to większość jednak ją lekceważy.

W książce Doroty Kowalskiej głos zabrali najlepsi z najlepszych. Belfrzy, którym nie jest wszystko jedno. Dlatego są poobijani, wściekli, zniesmaczeni. Czują się zawiedzeni i oszukani. Ale wciąż prą do przodu. Wypowiadają się ci starsi i ci całkiem młodzi. Łączą ich pasja i chęć, aby dzielić się wiedzą i doświadczeniem z dzieciakami. Żeby pomagać im rozwijać skrzydła i stawać się ludźmi. Obywatelami.

Żeby była jasność: nie cierpię polskiej szkoły. Piszę to ja, Mira Suchodolska, ofiara edukacji, która straciła 16 lat w placówkach niedających mi ani wiedzy, ani wychowania. Ja, córka nauczycielki, a zarazem osoba, która omal sama nie została belferką. Ja, matka ucznia szkół wszystkich poziomów, która głęboko odetchnęła dopiero wówczas, kiedy skończył on swoją edukacyjną przygodę. I wreszcie ja, dziennikarka opisująca od lat system edukacyjny, kłopoty pedagogów i ich podopiecznych oraz zmartwienia rodziców.

Nie lubię polskiej szkoły, gdyż jest karykaturą samej siebie. A jeśli robi coś dobrego dla kolejnych roczników uczniów, to nie dlatego, że tak świetnie została skonstruowana. Nie dlatego, że państwo stara się, aby edukacyjny mechanizm działał perfekcyjnie, aby uczyć szły najlepsze, starannie wyselekcjonowane jednostki, które będą mogły liczyć na wsparcie, także psychologiczne, na dostęp do najnowszej wiedzy związanej z pedagogiką.

Polska szkoła jakoś jeszcze działa tylko dlatego, że trzymają ją na swoich barkach zapaleńcy. Ci nauczyciele, którzy uwierzyli w etos i posłannictwo, są przekonani, że trzeba sprostać zadaniu. A robią to od dziesięcioleci – wbrew systemowi, wbrew szkodliwym programom nauczania, wbrew kolejnym władzom, które mają rewolucyjne pomysły na oświatę. To ci pasjonaci ogarniają chaos i narażają się na kłopoty, lekceważą kolejne odgórnie nadawane dyrektywy. Wiedzą, jak uczyć, żeby wbić do młodych umysłów podstawową wiedzę, która przyda się w życiu.

Kolejne ekipy rządzące mają różne – graniczące z fiksacją – pomysły na edukację. Dlatego kolejne jej reformy są wprowadzane na szybko, nowe ustawy pisane są na kolanie. Wszystkiemu towarzyszy strach nauczycieli, ale także uczniów i ich rodziców. Kolejne pokolenia młodych ludzi są poddawane – z każdą wprowadzaną reformą – wielkiemu stresowi. Doświadczają uczucia niepewności, co będzie dalej.

O niepewności, ale także o strachu o przyszłość, o jakość edukacji młodych ludzi, mówią rozmówcy Doroty Kowalskiej. Nauczyciele osamotnieni w swojej pracy. Pozbawieni wsparcia, jakie powinni otrzymać. Mało tego – w Polsce nikt nie bada, w jakiej kondycji psychicznej jest ta, bodaj najważniejsza dla rozwoju kraju, grupa zawodowa. Ostatnie reprezentatywne badania pochodzą sprzed dziesięciu lat, ich autorem jest profesor Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu dr hab. Jacek Pyżalski, potem ich zaprzestano. Na przeprowadzenie nowych profesor Pyżalski nie może zdobyć pieniędzy.

Możemy domniemywać, że kondycja psychiczna pedagogów – z przyczyn doskonale nam znanych – uległa pogorszeniu wobec tej sprzed

dekady. Jednak już 10 lat temu była ona nie najlepsza. Wystarczy przytoczyć parę liczb: 86 procent nauczycieli miało poczucie, że ich obciążenia zawodowe są wyższe niż w innych profesjach, 20 procent zdradzało pełne objawy zespołu wypalenia zawodowego, 16 procent mówiło o obciążeniu konfliktami w szkole. Natomiast jedna czwarta miała poczucie niewielkiego sensu swojej pracy.

Powtórzę: można domniemywać, że teraz jest o wiele gorzej. Tylko nikt tego nie bada.

Bo wyniki mogłyby się rozjechać z oficjalną narracją, że jest dobrze. Ponadto pomoc nauczycielom w ich zadaniach musiałaby się wiązać z nakładami finansowymi. Lepiej więc podtrzymywać mit, że nauczyciele to terroryści, którzy wciąż domagają się podwyżek, mało pracując. Kolejne ekipy rządzące robią wszystko, co mogą, aby znieść Kartę Nauczyciela. I płynące z niej tak zwane przywileje: te urlopy dla podratowania zdrowia (bo na przykład struny głosowe wysilającego się w mówieniu do klasy belfra nie pozwalają po dekadzie wykładów na wydobycie z siebie czegoś więcej niż charkotu), te – niesprawiedliwie zdaniem wielu – naliczane godziny pracy przy tablicy. Nikt nie mierzy czasu, który pedagodzy spędzają nad klasówkami. Nie bierze pod uwagę tych wszystkich kółek zainteresowań, zielonych szkół, olimpiad czy zawodów sportowych, w które – zaniedbując swoje rodziny – ci ludzie się angażują.

Wymagamy od nauczycieli bardzo wiele: mają być autorytetami, muszą świecić przykładem, mają obowiązek poświęcać się swojej pracy, do której koniecznie muszą mieć powołanie. I jeszcze wypełniać misję. Osobom przekonanym o swoim posłannictwie nie trzeba dobrze płacić. I tak będą je wypełniały. Podobną postawę przyjmuje się w stosunku do policjantów czy ratowników medycznych. Albo lekarzy. Lub pielęgniarek. Jednak za każdym razem, kiedy zawód nierozerwalnie łączący się z misją zostanie zdeprecjonowany, kończy się to podobnie – społeczną katastrofą. I w obliczu takiej katastrofy stoimy.

Osoby, którym powierzamy nasze dzieci, muszą być godnie wynagradzane, także dla prestiżu społecznego. Nauczyciel nie jest

terrorystą. Próżniakiem, który leni się, kiedy inni pracują. To człowiek, który przez co najmniej 12 lat będzie spędzał z naszymi dziećmi więcej czasu niż my, rodzice. Który będzie miał na niego większy wpływ niż ktokolwiek inny. Dlatego pytam, czysto retorycznie: czy wolelibyście powierzyć swoją latorośl specjaliście, który jest świetnie wyedukowany, zmotywowany do pracy między innymi dobrą pensją, wypoczęty, wyluzowany, w dobrej formie fizycznej? Czy raczej uważacie, że nauczyciel ma pracować i cieszyć się, że w ogóle dostał robotę? Żadnych praw, całkowita podległość, ręce wyciągnięte wzdłuż szwów, zero dyskusji?

To prawda, że wśród nauczycieli jest wiele osób, które nigdy nie powinny wykonywać tego zawodu. Są źle wykształcone, nie lubią uczniów, nie cierpią swojej pracy, czują się kiepsko w swojej zawodowej skórze. Ale to nie ich wina. Tylko systemu, państwa, kolejnych rządów, które odpuściły sobie szkołę. Albo precyzyjniej: traktowały ją w sposób instrumentalny. Kolejni ministrowie oświaty wywodzili się z grona uczniów kształconych w starym pruskim stylu, który sprowadza się do hasła, jakie kiedyś usłyszałam od jednego z moich wychowawców: „Milcz, jak do mnie mówisz". Dziś czasy się zmieniły, nikogo nie można zmusić do milczenia. Ani uczniów, ani ich rodziców, a tym bardziej nauczycieli. Pani Krystyna Starczewska, będąca legendą wśród pedagogów, opowiada o tym najbardziej dosadnie. Mamy – także w młodym pokoleniu – wielu wspaniałych fachowców. Osoby, które wbrew biurokratycznym przeszkodom dają z siebie wszystko. I choć czasem, jak Dariuszowi Martynowiczowi, ręce im opadają, to idą dalej.

Ale żeby była jasność: to nie tylko państwo, kolejne ekipy rządzące są odpowiedzialne za pogarszającą się kondycję nauczycieli. Fatalnie wygląda w tej kwestii współpraca pomiędzy rządzącymi a samorządami. Ze strony tych ostatnich można usłyszeć o niedofinansowaniu zadań własnych. I to jest w dużej mierze prawda. Ale nie cała. Głos Moniki Berety może zmienić Państwa myślenie. I tak jest z wypowiedziami kolejnych nauczycieli, które przeczytacie w książce Doroty Kowalskiej. Nic nie jest pewne, nic oczywiste. Poza jednym: coś trzeba wreszcie zrobić z tą szkołą.

Mira Suchodolska

WSPÓŁPRACA, NIE RYWALIZACJA

Krystyna Starczewska

nauczyciel dyplomowany

Warszawa, 27 kwietnia 2019 roku

Dorota Kowalska: Pamięta pani swój najgorszy dzień w szkole?

Krystyna Starczewska: Tak, przypominam sobie. Ukończyłam studia na polonistyce w 1958 roku i marzyłam o tym, żeby zostać nauczycielką. Wiedziałam, jak rozmawiać z dziećmi, jak rozwijać ich zdolności, zainteresowania. Strasznie chciałam być nauczycielką! Znalazłam pracę w szkole podstawowej w Warszawie na Okęciu. Przeżyłam tam jednak potworny szok. Nie wiedziałam, że można podchodzić do dzieci tak, jak tam podchodzono. Bito je, stawiano do kąta, trzaskano po rękach linijką. Pamiętam taki dzień: jestem w klasie z moimi uczniami i nagle wchodzi do niej chłopiec, a strużka krwi cieknie mu po szyi. Pytam go: „Co się stało? Uderzył cię ktoś na korytarzu?", a on płaczliwie: „Byłem na rozmowie u pana dyrektora". Pan dyrektor po prostu targał niegrzeczne dzieci za uszy. Tym razem pociągnął za mocno i naderwał małżowinę uszną.

Pani żartuje?

Wcale nie! Co więcej, ponieważ ja nie biłam dzieci i znalazłam inne metody, żeby nad nimi panować, rodzice stwierdzili na zebraniu, że nie życzą sobie, żeby ich dzieci były traktowane inaczej niż pozostałe, bo później im się stawiają. Chodziło zwłaszcza o chłopców. Kiedy ojciec zbił pasem po pupie jednego z moich uczniów, ten powiedział: „A pani nas nie bije, tylko z nami rozmawia". Ci ojcowie zakomunikowali, że nie zgadzają się z metodami wychowawczymi, jakie wprowadzam, bo to demoralizuje dzieci. W związku z tym, jeśli nie chcę stosować kar fizycznych, powinnam zapisywać na kartce wykroczenia swoich uczniów, a raz w tygodniu przyjdzie dwóch tatusiów i da im w pupę pasem tyle razy, ile będę sobie życzyła.

Naprawdę?

Słowo honoru, tak było. Po historii z chłopczykiem poszłam do dyrektora, zrobiłam awanturę, powiedziałam, że to łamanie elementarnych praw dziecka, że obserwuję stosowaną wobec uczniów przemoc od dłuższego czasu, bo to było chyba półrocze. Dyrektor odpowiedział, że już od dawna chciał ze mną porozmawiać, bo jestem młoda, nie znam się na wychowaniu i nie słucham starszych, doświadczonych nauczycieli, tylko postępuję według własnych zasad i on sobie nie życzy, żebym dalej pracowała w jego szkole, jeśli nie zmienię swojej postawy. To był chyba mój najgorszy dzień w szkole, bo poczułam całkowitą bezradność. Pracowałam do końca roku szkolnego, potem rozwiązano ze mną umowę. A tak dobrze mi się pracowało z dziećmi. One były przyzwyczajone, że się je bije, stawia do kąta, wymusza posłuszeństwo, więc ja, żeby takich metod nie stosować, wymyśliłam, że będę im opowiadać bardzo ciekawą historię z bohaterami w ich wieku, i zawsze robiłam tak, żeby najciekawszy moment opowieści przypadał na dzwonek, czyli na koniec lekcji. „I co dalej? Spadł, jak się trzymał tą jedną ręką balkonu, czy nie?" – dopytywały dzieciaki. A ja na to: „Jak będziecie dobrze pracować na następnej lekcji, to na koniec znowu będzie 10 minut opowieści". Wtedy nie było telewizji, nie było tylu rozrywek co dzisiaj, więc moje opowieści były dla nich bardzo atrakcyjne. Tak się nimi zafascynowali, że byli na lekcjach grzeczni, żeby usłyszeć ciąg dalszy. Poza tym inscenizowałam z nimi lektury, które czytaliśmy – bardzo się wciągnęli w te przygotowywane wspólnie przedstawienia. Wystawiliśmy na przykład dla całej szkoły *Balladynę* Juliusza Słowackiego; to był dla moich uczniów wielki sukces. Ponieważ chciałam poznać dobrze każdego z nich, odbywałam z nimi indywidualne rozmowy po lekcjach. To było bardzo ważne. Poznawaliśmy się, wiedziałam, kto ma kłopoty z babcią, kto z mamą, kto z tatą – skarżyli się na różne rzeczy. Wiedzieli, że zawsze mogą liczyć na moją pomoc i wsparcie w trudnych chwilach.

Wszystko pani o nich wiedziała?

Dużo wiedziałam i dzięki temu mogłam im pomagać indywidualnie. Rozumiałam na przykład, dlaczego ktoś się gorzej uczy, wiedziałam, jakie ma trudności. Po tym incydencie z krwawą strużką na szyi to wszystko runęło. To był moment, kiedy zrozumiałam, że jestem w tym systemie bezradna. Niedawno miałam śmieszne zdarzenie na ulicy: idzie starszy pan z chłopczykiem, ten chłopczyk go o coś pyta, a mężczyzna mu tak ładnie odpowiada na pytanie. Mówię: „Jaki miły dziadek!". A starszy pan tak na mnie patrzy i pyta: „Zaraz, zaraz, pani Krystyna?". Mówię: „Tak". „Ojej, przecież pani była moją nauczycielką na Okęciu, jak byłem w piątej klasie, to mnie dyrektor naderwał ucho!". Ten mężczyzna poznał mnie po tylu latach i tak serdecznie przywitał.

Mam takie wrażenie, że to bicie, nie tak drastyczne, ale tą przysłowiową linijką po łapach, było w czasach PRL-u na porządku dziennym.

Tak, było. Bicie, stawianie do kąta zdarzało się niemal we wszystkich szkołach.

Nauczyciel miał wtedy większy autorytet?

Miał autorytet oparty na strachu. Uczniowie się go bali. Tak wygląda wychowanie autorytarne: ktoś ma władzę i siłę, więc muszę się mu podporządkować. Dzieci były zresztą przyzwyczajone do takich metod wychowawczych, bo identyczne stosowali na ogół ich rodzice.

Sama chodziłam do szkoły w czasach PRL-u, nauczyciele nie bili mnie po łapach, a jednak cieszyli się autorytetem większym niż dzisiaj.

Czy ja wiem? Wydaje mi się, że dzieci po prostu się bały i dlatego słuchały. A autorytet to jednak jest coś więcej niż tylko posłuszeństwo. Wtedy była jasna hierarchia: nauczyciel jest tym, który nakazuje, i należy mu się posłuszeństwo, dzisiaj tego nie ma. I taka sytuacja jest zdrowsza. Dzisiaj musimy się dogadać, musimy się porozumieć, być może pozostał jeszcze ten rodzaj autorytarnego wychowania, ale on bardziej objawia się

w obniżaniu stopni, ocen z zachowania niż w stosowaniu przemocy fizycznej.

Posłuszne musiały być nie tylko dzieci, lecz także rodzice, bo dla nich nauczyciel również był kimś!

Tak, tak, ale jednocześnie rodzice potrafili wyrażać swoje zdanie i opinie. Nie byłam dla nich autorytetem, bo nie biłam ich dzieci, w związku z tym mogli mi zaproponować, że będą je bili za mnie. Miałam zresztą dwa takie traumatyczne doświadczenia, bo z liceum imienia Juliusza Słowackiego też mnie wyrzucili z pracy.

Dlaczego?

Po opuszczeniu tej szkoły podstawowej pracowałam przez jakiś czas w liceum dla dorosłych, potem przeniosłam się do liceum imienia Juliusza Słowackiego, którego byłam przed laty uczennicą. Pracowałam tam cztery lata, byłam wychowawczynią, miałam swoją klasę. Bardzo lubiłam pracę z licealistami, to była ciekawa młodzież. Miałam zasadę: nie realizowałam wszystkiego, co było nakazane przez program, bo ten był zideologizowany, kładłam nacisk na dyskusję, rozmowę – młodzież musiała się nauczyć myśleć samodzielnie. Oceniałam uczniów za to, jak potrafią uzasadnić własne poglądy. Byli do tego przyzwyczajeni, w ogóle nie przychodziło im do głowy, że trzeba coś dosłownie powtarzać, tylko że trzeba myśleć. Bardzo dobrze mi się z nimi pracowało. I przyszła matura w 1967 roku, do której przystąpili moi uczniowie. Temat maturalny z języka polskiego dotyczył idei patriotyzmu w literaturze polskiej. Jedna z dziewcząt jako motto do swojego wypracowania o patriotyzmie przyjęła słynne zdanie z listu biskupów polskich do biskupów niemieckich: „Przebaczamy i prosimy o wybaczenie". To była wypowiedź ostro potępiana przez ówczesne władze PRL-u. A ona napisała bardzo piękną pracę w duchu chrześcijańskim, świetnie dobrała lektury, wyciągnęła trafne wnioski – opisała, jak być patriotą, a jednocześnie być wiernym wartościom chrześcijańskim, w jej opinii pokazywał to właśnie list biskupów. Oceniłam

tę pracę na piątkę, bo autorka wykazała się samodzielnością myślenia i dobrze uzasadniała swoje poglądy. Druga moja uczennica, mała zbuntowana anarchistka, zaczęła swoje wypracowanie od zdania: „Słowo »ojczyzna«, czy to w ataku, czy to w zagrożeniu, zawsze cuchnie mordem". W swojej pracy postawiła tezę, że patriotyzm, który łatwo przeradza się w nacjonalizm i szowinizm, jest źródłem największych zbrodni na świecie, nienawiści wobec innych narodów prowadzącej do wojen i prześladowania ludzi traktowanych jako obcych. Dobrała trafnie lektury, także pozaszkolne, cytowała wypowiedzi różnych anarchistów, a pracę zakończyła stwierdzeniem, że naprawdę nie jesteśmy Polakami, Niemcami, Francuzami czy Anglikami, lecz Ziemianami, to znaczy mieszkańcami naszej planety Ziemi i nasz prawdziwy patriotyzm powinien wyrażać się we współpracy i wspólnej trosce o jej przyszłość.

I pani to zdanie pamięta do dzisiaj?

Wciąż pamiętam. Autorka tej pracy zrobiła kilka błędów ortograficznych, bo jako anarchistka nie uznawała żadnych zasad, także tych dotyczących poprawnej pisowni, więc dałam jej czwórkę, obniżając ocenę za ortografię. Napisałam, że praca jest samodzielna, jej autorka rzeczowo i trafnie uzasadnia własne poglądy. Przed ostatecznym wystawieniem ocen wezwał mnie dyrektor i powiedział, że na wniosek sekretarza partii mam postawić za obie te prace oceny niedostateczne. Obie dziewczyny miały więc nie zdać matury – ich prace uznane zostały bowiem za wrogie ideologicznie.

I co pani zrobiła?

Powiedziałam, że nie zmienię wystawionych przez siebie ocen. Stwierdziłam, że jeżeli ktoś jest winien, to tylko ja, bo nie uprzedziłam uczniów, że nie wolno im myśleć na maturze, tylko powtarzać obowiązujące slogany. Ta moja wypowiedź jeszcze bardziej rozwścieczyła dyrektora i sekretarza partii.

Była pani nauczycielem niepokornym!

Moim uczennicom komisja wystawiła w końcu oceny dostateczne. Zwołano zebranie rady pedagogicznej, na której ogłoszono, że zostaję usunięta ze szkoły, że nie mam prawa więcej uczyć. Potem dostałam list z kuratorium, w którym napisano, że pozbawia się mnie prawa do nauczania na terenie całego kraju.

Co pani wtedy zrobiła?

Zdałam egzamin na studium doktoranckie na wydziale filozofii UW. Otrzymałam stypendium, zrobiłam doktorat, a potem do 1989 roku pracowałam w Instytucie Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk.

I w roku 1989 wróciła pani do nauczania?

W 1989 roku wróciłam do nauczania, ale nie w państwowej szkole. Założyliśmy własną szkołę – Bednarską. To była szkoła, w której chciałam wprowadzić takie zasady wychowania i nauczania, jakie uważałam za właściwe.

Czy wie pani, jak potoczyły się dalsze losy dwóch uczennic, które pani uratowała przed oblaniem matury?

Ta mała anarchistka niestety nie żyje, zmarła wiele lat temu. A druga jest lekarką, poszła na medycynę. Teraz jest już na emeryturze.

Mówi pani: „Od początku chciałam uczyć, od zawsze chciałam zostać nauczycielem". Skąd się to wzięło? Pamięta pani swoich nauczycieli?

Miałam różnych nauczycieli: dobrych i złych. Wiedziałam, że szkoła nie powinna być miejscem generalnego stresu, że bardzo złą rzeczą jest wytwarzanie w niej rywalizacji, która może potem bardzo dużo kosztować człowieka, bo z różnych powodów będzie uznany za gorszego, a to może wpłynąć na jego dalsze losy. Miałam różne przeżycia w szkole i muszę powiedzieć: do pracy nauczycielskiej zachęciły mnie raczej nie te dobre przykłady nauczycieli, których bardzo szanowałam, tylko te negatywne przeżycia. Chciałam być inną nauczycielką.

Opowie pani o tych złych przeżyciach?

Pamiętam, że jeśli nie zgadzałam się z tym, co mówi nauczyciel, o coś pytałam, to słyszałam w odpowiedzi: „Cicho bądź, słuchaj uważnie!". Nie można było zgłaszać wątpliwości, rozmawiać o tym, czego się człowiek uczy. Mam też takie wspomnienie z okresu wczesnego dzieciństwa, które często do mnie wracało, kiedy myślałam o wyborze swojej przyszłej drogi. Po powstaniu warszawskim, kiedy mieszkańcy musieli opuścić miasto, przewieziono nas do obozu w Pruszkowie, potem mieszkaliśmy w Milanówku. Mama zamieszkała z najmłodszym bratem w pokoju, w którym spało kilkanaście osób, a ja i moi dwaj starsi bracia bliźniacy zostaliśmy przyjęci do sierocińca prowadzonego przez zakonnice. Przerażona po potwornych wojennych przeżyciach znalazłam się w sierocińcu – umieszczono nas w sali, po dwoje dzieci w jednym łóżku. Pierwszej nocy zachciało mi się siusiu, więc wstałam z łóżka, podeszłam do siostry, która spała w naszej sali za parawanem, i powiedziałam, że chciałabym się załatwić, ale nie wiem gdzie. Siostra powiedziała, że ubikacja jest na końcu korytarza. Wyszłam, korytarz był ciemny. Po tym, co przeżyłam w czasie wojny, bałam się iść tym pustym korytarzem. Wróciłam i powiedziałam, że tam jest ciemno, że potwornie się boję. A ona: „Pomódl się, pan Bóg przyśle ci aniołka, który cię zaprowadzi". Pomodliłam się, ale żaden aniołek się nie pojawił. Wróciłam i powiedziałam, że nie wiem, co mam zrobić, bo nie ma żadnego aniołka. „Jakbyś była dobrym dzieckiem, to aniołek by przyszedł, a teraz radź sobie sama i nie zawracaj mi głowy!" – usłyszałam. Położyłam się i zsikałam do łóżka. Rano dziewczynka, z którą spałam, powiedziała do siostry: „Ta nowa mnie obsikała". Zakonnica zebrała wszystkie dziewczynki, kazała mi pokazać prześcieradło i powiedziała, żeby nikt się ze mną nie bawił i żeby mówili do mnie „siusiawa", dopóki nie nauczę się porządku. Zaczęło się prześladowanie ze strony dzieci: nie chciały się ze mną bawić, pokazywały mi język i odwracały się, kiedy do nich podchodziłam. Czułam się strasznie. Pewnego dnia zobaczyłam moich braci idących ulicą, pobiegłam do nich i rzuciłam się jednemu z nich na szyję. Zakonnica wyszła za mną, chwyciła mnie za rękę i zaprowadziła z powrotem do budynku.

Powiedziała, że nie tylko siusiam do łóżek, ale jeszcze całuję chłopców, co jest zachowaniem skandalicznym. Kazała mi stać pod ścianą w czasie obiadu, nie dostałam nic do jedzenia i miałam patrzeć, jak inne grzeczne dzieci jedzą. Byłam przerażona, postanowiłam uciec, szukać mamy. Zakonnice znowu mnie złapały i zamknęły, tym razem w izolatce. Strasznie się rozchorowałam, miałam wysoką gorączkę. To, co przeżywałam w sierocińcu, zapadło mi głęboko w pamięć. Miałam poczucie, że dorośli nie rozumieją dzieci, że nie liczą się z ich przeżyciami, potrafią tylko wydawać polecenia i karać za niepodporządkowanie się nakazom. Te dawne wspomnienia wracały do mnie, kiedy myślałam o tym, co chciałabym robić w życiu. Tak, chciałabym zajmować się dziećmi, ale zupełnie inaczej, niż robiły to zakonnice w sierocińcu.

To traumatyczne doświadczenie, ale myślę, że takich historii zdarzały się dziesiątki, nie tylko u zakonnic.

O tak, moja historia na pewno nie jest odosobniona. Zdarzają się i dziś podobne przeżycia dzieciom w przedszkolach czy domach dziecka. Tylko że moje przeżycia u zakonnic bardzo mocno zapadły mi w pamięć: strach, bezsilność, wstyd... Ma pani rację, traumatyczne doświadczenie.

Pani mama była nauczycielką?

Tak, pochodzę z nauczycielskiej rodziny. Moja mama uczyła języka polskiego, pisała podręczniki. Po wojnie była zatrudniona w szkole dla pracujących.

Czy uważa pani, że wychowanie w nauczycielskim domu miało wpływ na pani zawodowe wybory?

Na pewno w dużym stopniu miało. Pokazywało, jak ważna jest praca nauczyciela.

A pani chciała zmieniać świat?

Nie, chciałam stworzyć miejsce porozumienia z dzieckiem. Miejsce, w którym będzie się ono mogło rozwijać – to mnie bardzo pociągało.

I te swoje plany, marzenia o idealnej szkole postanowiła pani urzeczywistnić?

Byłam w opozycji, najpierw od 1976 roku współpracowałam z Komitetem Obrony Robotników, potem, po wprowadzeniu stanu wojennego, założyliśmy pismo „KOS", którego byłam redaktorem. Założyliśmy też Zespół Oświaty Niezależnej. Spotykaliśmy się i dyskutowaliśmy o tym, jak powinna wyglądać szkoła, kiedy Polska odzyska niepodległość. Z ramienia tego zespołu brałam także udział w obradach Okrągłego Stołu, przy „podstoliczku oświatowym". Tam postulatem, o który szczególnie walczyłam, był ten o uzyskanie prawa do zakładania szkół autorskich, niezależnych – tych, które później zostały nazwane niepublicznymi. I myśmy to prawo wywalczyli – we wrześniu 1989 roku ruszyła pierwsza taka szkoła, to było nasze I Społeczne Liceum Ogólnokształcące. Przygotowywaliśmy się do tego długo, zresztą w bardzo zabawny sposób. Przez rok, myśląc, że może uda się powołać do życia niezależne placówki, ogłosiliśmy, że kto chciałby do takiej szkoły chodzić, może przyjść na spotkanie: rodzice, uczniowie i nauczyciele, którzy chcieliby w takiej szkole uczyć. Pan profesor Maria Krzysztof Byrski, wtedy dziekan instytutu orientalistyki Uniwersytetu Warszawskiego, udzielił nam sali na swoim wydziale. Spotykaliśmy się na uniwersytecie prawie cały rok i dyskutowaliśmy wspólnie: rodzice, uczniowie, nauczyciele, jak ta szkoła ma wyglądać. Rozmawialiśmy o programie dydaktycznym i wychowawczym. Tam wymyśliliśmy – to był nasz wspólny pomysł – że nasza szkoła powinna być szkołą demokratyczną.

Jak pani zdaniem powinna ta idealna szkoła wyglądać?

Potem, po rozmowach Okrągłego Stołu, kiedy zapadła decyzja, że takie szkoły mogą powstawać, ogłosiliśmy pocztą pantoflową, że jeśli ktoś chciałby do takiej szkoły przyjść, to zapraszamy na egzamin wstępny.

Przyszło bardzo dużo kandydatów. Przyjęliśmy część, reszta dzieci poszła do drugiego liceum. Tyle tylko, że nie mieliśmy ani budynku, ani pieniędzy na prowadzenie szkoły. Nie było wiadomo, co robić. W lipcu odbyły się egzaminy, a we wrześniu miała rozpocząć się nauka. Zaczęłam biegać po rektorach uczelni i pytać, czy nie znaleźliby nam u siebie jakiegoś miejsca, w którym można by było zmieścić cztery klasy, bo tyle chcieliśmy założyć, w każdej po dwudziestu uczniów. W końcu rektor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego powiedział, że ma cztery domy akademickie na Polu Mokotowskim. W każdym z nich była świetlica, w której mogliśmy umieścić jedną klasę. Tak zaczęliśmy – chodziło się na lekcje do Adary, Cezara, Hiltona i Dendrytu, tak się te akademiki nazywały. Nauczyciele podczas przerw siedzieli na ławeczce przed akademikiem, sekretariat mieścił się na schodach, a konkretnie na parapecie okiennym. W takich warunkach we wrześniu ruszyła nasza szkoła. Niedługo potem rozwiązano PZPR i pałacyk przy ulicy Bednarskiej, w którym mieściła się szkoła partyjna, oddano Uniwersytetowi Warszawskiemu. Rektor UW pozwolił nam umieścić na Bednarskiej liceum. I tak staliśmy się I SLO „Bednarska" z klasami o nazwach: Adara, Cezar, Dendryt, Hilton – nikt nie chciał zmieniać tych nazw na tradycyjne: Ia, Ib, Ic, Id.

Więc takie nazwy zostały?

Zostały, od tego czasu do dziś w naszych szkołach nie ma numerowych klas, każda klasa ma swoje imię. Na początku roku szkolnego uczniowie wymyślają te nazwy, czasami są bardzo śmieszne, a potem mamy specjalną uroczystość nadania imion poszczególnym klasom.

Jeszcze raz zapytam: jak powinna wyglądać idealna szkoła?

Jak powinna wyglądać idealna szkoła, tego nie wiem. Wiem, że szkoła, którą utworzyliśmy, nie była idealna, ale stworzyliśmy kilka podstawowych zasad jej funkcjonowania, które uznaliśmy za właściwe. Nie wszystkie nasze pomysły udało się zrealizować. Kiedy dostaliśmy uprawnienia szkoły państwowej, musieliśmy na przykład realizować ministerialny program

nauczania, a zrezygnować z realizacji programu stworzonego przez nas. Myślę, że aby odpowiedzieć na pani pytanie, najpierw trzeba zadać inne pytanie: jakiemu celowi ma służyć szkoła? Co powinno być celem szkoły w dzisiejszym świecie?

No właśnie: co?

Sięgnę do wspomnień: pamiętam, że w 1980 roku, kiedy powstawała „Solidarność", jeszcze przed stanem wojennym, uczestniczyłam w negocjacjach z ówczesnym Ministerstwem Oświaty i Wychowania na temat tego, co trzeba zmienić w peerelowskim systemie edukacji. Były różne tematy tych negocjacji, myśmy przygotowali specjalne pismo „Szkoła jako środowisko wychowawcze". Ten tekst zaczynał się od zdania: „Szkoła ma służyć dziecku" i pamiętam, że nic nie wzbudziło takiego oburzenia urzędników ministerialnych, jak to właśnie zdanie. Jak to dziecku? Przecież szkoła służy państwu! „To jakiś absurd zupełny, nie możemy zaczynać rozmowy od takiego stwierdzenia" – usłyszeliśmy. I to, wydaje mi się, jest podstawowa sprawa: szkoła jest dla dziecka. Teraz trzeba zapytać: co to znaczy, że szkoła ma służyć dziecku? O co w tym wszystkim chodzi? Z tego stwierdzenia wynikają podstawowe zasady funkcjonowania dobrej szkoły, która powinna być przede wszystkim miejscem dostosowanym do potrzeb i możliwości dziecka na danym etapie rozwoju, czyli program nauczania i metody wychowania powinny być przystosowane do wieku dzieci. To pierwsza sprawa. Szkoła powinna pomagać dziecku odkrywać to, co je naprawdę interesuje. Nie powinna wymagać pamięciowego opanowania określonych wiadomości, tylko budzić zainteresowania. Uczeń powinien odkrywać: „O, to mnie fascynuje! To jest ciekawe!". Szkoła powinna pomagać dziecku w odkrywaniu jego mocnych stron, w odnajdywaniu odpowiedzi na pytanie, w czym jest dobry, co potrafi, a nie działać poprzez wskazywanie jego słabych stron: jesteś niegrzeczny, jesteś leniwy, jesteś głupi. Szkoła nie powinna uczyć rywalizacji, ale pracy zespołowej. Bardzo ważne jest, aby dzieci zrozumiały, że osiągną jakieś wyniki, jeśli uda im się dobrze ze sobą współpracować.

Wymyśliliśmy na przykład projekty uczniowskie, które potem stały się dość popularne. Sprawa jest prosta: mamy temat i zespół, który dany projekt realizuje według własnego pomysłu. Wszyscy są oceniani razem, praca każdego członka zespołu wpływa na ocenę innych. Szkoła powinna także uczyć umiejętności dostrzegania potrzeb innych, czyli empatii. Nie rywalizacji, tylko współpracy i wzajemnej pomocy. Bardzo ważne jest rozwijanie w szkole wolontariatu, pokazywanie młodzieży, ile satysfakcji można osiągnąć przez służenie pomocą drugiemu, a nie tylko przez bycie od niego lepszym i silniejszym. Wreszcie zasadnicza sprawa: szkoła powinna dawać szansę na rozwijanie odpowiedzialności nawet małych dzieci, ale przede wszystkim młodzieży, za wspólnotę, do której należą, ucząc w ten sposób odpowiedzialności obywatelskiej. Moim państwem jest w tej chwili moja klasa, moja szkoła. Mogę mieć wpływ na to, co dzieje się w naszej małej społeczności. W ten sposób szkoła z jednej strony przygotowywałaby ucznia do osobistych sukcesów przez rozwój jego zainteresowań, wskazywała drogę, którą powinien pójść, aby osiągnąć spełnienie osobistych możliwości, a z drugiej rozwijałaby jego postawy prospołeczne, przygotowując do odpowiedzialności obywatelskiej.

Polska szkoła publiczna tego nie robi? Nie spełnia tych podstawowych zadań?

Żadna szkoła tych zadań nie może w tej chwili spełniać, ponieważ system edukacji jest nastawiony na rywalizację. Szkoły nie ocenia się według tego, jak zajmuje się dziećmi, jak organizuje ich pracę, tylko według liczby punktów otrzymywanych przez uczniów na egzaminach. Szkoły, które osiągają wysokie miejsca w rankingach, nie przyjmują więc dzieci potrzebujących wsparcia, bo obniżałyby im wyniki rankingów. Rywalizacja jest głównym elementem wychowania, rywalizacja charakteryzuje się negatywnym stosunkiem do tych, którzy z jakichś powodów mają trudności, a także tych, którzy mają inny rodzaj zainteresowań niż te, które są wymagane na testach.

Dlaczego polski system edukacji postawił aż tak bardzo na rywalizację?

Wszystkie systemy na to stawiają, taka jest tradycja. To system szkolny wywodzący się jeszcze od Jana Amosa Komeńskiego[1]. Szkoła realizuje osiemnasto- i dziewiętnastowieczne metody wychowawcze. Myślę, że mottem do zmiany nastawienia, do którego zawsze się odwoływałam, jest słynna wypowiedź naszego wybitnego pedagoga Janusza Korczaka: „Dzieci nie będą dopiero, ale są już ludźmi". W tradycji edukacyjnej utrwaliło się przekonanie, że nauczyciel i wychowawca dostaje do ręki glinę, z której ma dopiero ulepić człowieka, czyli w zasadzie w szkole dopiero się go tworzy. A to, co powiedział Korczak, znaczy: „Do nas już przychodzi człowiek. Przychodzi ktoś o określonych możliwościach, uzdolnieniach, o określonym psychicznym nastawieniu. Musimy wejść z nim w dialog, zobaczyć, jak możemy mu pomóc rozwinąć się, a nie modelować według określonego wzoru". Autorytaryzm polega na tym, że traktuje się dziecko jak materiał do ukształtowania, a nie jak partnera, któremu, jako bardziej doświadczeni, mamy pomóc, aby stał się sobą.

Może jednak stawianie na rywalizację ma sens, bo przecież jest wszechobecna w codziennym życiu. Czy należy udawać przed dziećmi, że jej nie ma? Wychowywać je w trochę odrealnionym, nierzeczywistym świecie?

Tu nie chodzi o wychowanie w odrealnionym, nierzeczywistym świecie – życie wymaga współpracy, oparte wyłącznie na rywalizacji kończy się tym, co obserwujemy dzisiaj – podziałem społeczeństwa. Największe osiągnięcia były możliwe właśnie dzięki współpracy. Bardzo ważna jest praca zespołowa, umiejętność dogadywania się, czyli porozumienia w ważnych dla społeczeństwa sprawach. Jeśli wychowanie oparte jest przede wszystkim na rywalizacji, każdy, kto ma jakieś osiągnięcia, jest odbierany jako potencjalny wróg, z którym należy walczyć. Z drugiej strony – jeśli ktoś nie osiąga wysokich wyników, załamuje się, czasami popada w depresję, na którą cierpi coraz więcej młodych ludzi. Krótko mówiąc: chodzi o to, czy chcemy mieć społeczeństwo skłócone, czy

umiejące ze sobą współpracować dla wspólnego dobra. Wychowanie oparte na rywalizacji prowadzi do wspierania władzy autorytarnej, podporządkowania się liderom tworzącym ugrupowania polityczne czy społeczne po to, aby odnieść zwycięstwo nad innymi. Więc zasadnicze pytanie brzmi: chcemy współpracy czy wojny?

Czy po 1989 roku do głosu doszli ludzie, którzy o sprawach edukacji i szkolnictwa myśleli podobnie jak pani?

Rozpoczęła się dyskusja. Uważam, że taki system myślenia jak mój nie jest powszechny, sądzę też, że nie wszystkie szkoły społeczne czy niepubliczne wprowadzały te zasady, które myśmy wprowadzili, ale mogły się o to starać. Moją ideą było to, aby stworzyć taką szkołę i oddolnie przeprowadzić reformę oświaty, bo tu nie chodzi o ministerialne ustawy, tutaj chodzi o zmianę stosunku nauczyciela do dziecka, zmianę sposobu funkcjonowania szkoły. Miałam wtedy takie utopijne nadzieje, że jeżeli ileś takich szkół powstanie, to będzie można przeprowadzić tę zmianę nie poprzez odgórne zarządzenia, ale oddolną praktykę.

Pani jest wielką idealistką!

Być może. Mam swój pogląd na to, jak powinna funkcjonować polska szkoła. Stąd też zrodził się pomysł, aby powstało więcej takich szkół, które zmienią stosunek do dziecka. Potem te szkoły powinny stać się miejscem ćwiczeń dla przyszłych nauczycieli. Człowiek nie mógłby zostać nauczycielem, gdyby nie odbył rocznej praktyki w wytypowanej placówce. Ranking szkół opierałby się nie na wynikach punktowych egzaminów końcowych, ale na systemie wychowania i nauczania, jaki dana szkoła realizuje. Ten ranking wskazywałby placówki, w których mieliby się kształcić przyszli nauczyciele.

Pięknie to pani wymyśliła.

Te szkoły nazywałyby się szkołami ćwiczeń. Przygotowanie do zawodu nauczyciela przebiegałoby więc inaczej: po ukończeniu studiów

przedmiotowych kandydat na nauczyciela musiałby odbyć roczną praktykę w szkole ćwiczeń. Tamtejsi nauczyciele ocenialiby praktykanta i jeśli nadawałby się do zawodu, otrzymywałby dyplom uprawniający do pracy. Podejmując ją, stosowałby metody, których sam nauczył się podczas rocznej praktyki.

Nie wprowadzono takiej metody kształcenia nauczycieli?

Nie wprowadzono. To przyszłościowa sprawa.

Sadzi pani, że się uda?

Nie wiadomo, co będzie z systemem edukacji. Na razie nie poszedł do przodu, tylko się cofnął. Reforma przeprowadzona przez rząd Prawa i Sprawiedliwości spowodowała w gruncie rzeczy powrót systemu edukacji do czasów peerelowskich.

Wróćmy jeszcze do czasów transformacji: reforma wprowadzana przez rząd Jerzego Buzka w 1999 roku, czyli podział szkół na podstawówki, gimnazja i licea, też wzbudzała sporo kontrowersji, było wielu przeciwników tych zmian.

Tak, w pierwszym momencie również nie byłam zachwycona tą reformą. Potem doszłam do wniosku, że to był bardzo dobry pomysł.

Dlaczego?

Dlatego, że dostosowywał szkołę – a to jeden z tych elementów, o których mówiłam – do wieku rozwojowego dzieci. Zupełnie inne potrzeby mają dzieci do 12. roku życia, inny więc powinien być ich sposób wychowania i nauczania. Potem wchodzą w bardzo trudny okres wieku dojrzewania, to właśnie wiek gimnazjalny, potem w wiek młodzieńczy, wiek szkoły średniej. Gdybym miała robić tę reformę, to zrobiłabym ją jeszcze głębiej – zrobiłabym sześć klas szkoły podstawowej, czteroletnie gimnazjum, tak jak

było przed wojną za Janusza Jędrzejewicza[2], zakończone małą maturą dla wszystkich.

Zatem czy ktoś będzie kopał rowy, czy zostanie rektorem uniwersytetu – podstawowe wykształcenie będzie miał takie samo?

Właśnie! Mała matura dla wszystkich Polaków podniosłaby poziom wykształcenia społeczeństwa. Potem dwuletnie liceum profilowane, przygotowujące do studiów wyższych, albo szkoła zawodowa przygotowująca do zawodu. Tak było za Jędrzejewicza, z tym że wtedy nie było mowy o wyrównywaniu szans, bo do gimnazjów szli tylko ci, którzy potem kończyli licea i po maturze rozpoczynali studia wyższe. Wprowadzenie czteroletnich gimnazjów dla wszystkich byłoby, moim zdaniem, rozwiązaniem najtrafniejszym, ale oczywiście lepsze są trzyletnie gimnazja niż ośmioletnia podstawówka.

Przeciwnicy gimnazjów podnosili, że błędem jest wyrywanie młodzieży w najtrudniejszym dla nich wieku ze środowiska, które znają, i przenoszenie do nowego.

Bardzo niesłuszny pogląd, dlatego że młodym ludziom, którzy w określony sposób byli traktowani jako małe dzieci, możliwość przejścia do innej szkoły daje poczucie, że stają się starsi. To dla nich bardzo ważne, ważna jest także zmiana środowiska, nowe otwarcie. W dobrze zarządzanym gimnazjum można wprowadzić pewne metody, zasady wychowawcze, których nie można stosować tam, gdzie są małe dzieci. Człowiek w wieku dojrzewania nie może być traktowany jak małe dziecko, ale jest jeszcze zbyt młody, żeby być traktowany jak dorosły. Gimnazja są bardzo dobrym elementem przejściowym, bo, jak już mówiłam, szkoła powinna być dostosowana do możliwości i potrzeb związanych z wiekiem rozwojowym.

Z kolei zwolennicy tej reformy podkreślali, że gimnazja to szansa, zwłaszcza dla młodych ludzi z małych miejscowości, bo daje im możliwość nauki w większych ośrodkach.

Ależ oczywiście! Gimnazja wyrównywały szanse. Otrzymałam telefon od pewnej pani dyrektor, była bardzo zdenerwowana, pytała, co ma robić w związku z obecną reformą. Była dyrektorką gimnazjum. W jej okolicach działały cztery malutkie szkółki wiejskie w oddalonych od siebie wsiach. Otwarte, przyjazne dla rodziców, którzy także mogli do nich przychodzić, były świetlice – bardzo dobrze, bo wszyscy czuli się swojsko, bezpiecznie. Po czym po szóstej klasie dzieci z tych czterech szkółek zwożono do jednego gimnazjum: pięknego, z pracowniami wyposażonymi za unijne pieniądze. Ta pani dyrektor opowiadała, że to coś niesamowitego, jak uczniowie rozwijali się dzięki temu, że przychodzili do gimnazjum. Nigdy wcześniej na terenie tych wsi nie było nikogo z wyższym wykształceniem. Od kiedy wprowadzono gimnazja, część dzieci poszła do liceów, a potem na studia wyższe. Świetnie to wszystko funkcjonowało. W tej chwili, po reformie, wszystkie dzieci zgarnięto do tej jednej szkoły. Nie ma miejsca, pracują na trzy zmiany, zrobili klasy w suterynie, bo nie mieszczą się w jednym budynku. Te małe dzieci z tymi dużymi – kompletny chaos! I po co to? Czemu to służy?

No właśnie, skąd pomysł powrotu do ośmioletniej szkoły podstawowej i czteroletniego liceum?

To była, myślę, wyborcza idea. Ponieważ wiele starszych osób, zwolenników Prawa i Sprawiedliwości, pamiętało czasy, kiedy chodziło do ośmioklasowej szkoły, i uważało, że to dobry pomysł. Nie sądzę, aby to była idea pedagogicznie przemyślana. Przecież protestowano przeciwko tym zmianom, zebrano prawie milion podpisów przeciwników likwidacji gimnazjum, którzy domagali się w tej sprawie referendum. Złożono w Sejmie wniosek o jego przeprowadzenie, ale parlament się nad nim nie pochylił. Tak gimnazjaliści, jak i ich rodzice uważają, że gimnazja to dobre rozwiązanie. Przeciwko gimnazjom są ci, którzy bezpośrednio się z nimi nie zetknęli. Może część nauczycieli, którzy uczyli kiedyś w ośmioklasowych szkołach podstawowych, ale nie sądzę, aby było ich wielu.

Jak pani ocenia okres po 1989 roku w polskiej oświacie? To był dobry czas dla polskiej szkoły czy zły?

Trudno ten czas ocenić jednoznacznie: powstawały szkoły, które wprowadzały w życie ciekawe pomysły i ciekawe programy, tak jak nasza. Był to okres kształtowania się polskiej edukacji, wymiany poglądów. Na pewno lepszy niż szkoła autorytarna, jaka istniała w PRL-u, w której trzeba było wykonywać to, co zostało zlecone, nie można było wprowadzać żadnych innowacji. Myślę, że istniały, czy nawet istnieją szkoły, które działają jeszcze na zasadach autorytarnych, ale to jednak margines. Trudno dokonać jednoznacznej oceny – system szkolnictwa w Polsce jest bardzo zróżnicowany: są szkoły dobre, nawet bardzo dobre, i są szkoły słabe. Natomiast na pewno taka szkoła jak ta, w której zaczynałam pracę, na warszawskim Okęciu, nie ma dzisiaj racji bytu. Nie ma też możliwości takiego narzucania ideologii jak kiedyś. Żaden dyrektor nie zwolni dziś nauczyciela, który stawia na samodzielne myślenie uczniów – na pewno te wszystkie wady systemu peerelowskiego przestały istnieć. Mamy większą i swobodniejszą wymianę doświadczeń między uczącymi.

Zawsze zastanawiało mnie, czemu polska młodzież gimnazjalna nieźle wypada w międzynarodowych rankingach...

Bardzo dobrze wypada! Świetnie wypadamy na przykład w międzynarodowych konkursach matematycznych. Badania PISA wykazały także, że podniósł się ogólny poziom piętnastolatków w Polsce, czyli są różne wskaźniki, które mówią, że nie jest tak źle z edukacją szkolną.

Jak więc wytłumaczyć fakt, że najlepsze polskie uniwersytety są w czwartej setce światowych uczelni, a nauczyciele akademiccy narzekają, że na studia wyższe przychodzi coraz gorzej przygotowana młodzież? Nie widzi tu pani rozbieżności?

Tak, to bardzo ciekawe. W tych konkursach biorą udział najlepsi uczniowie z najlepszych szkół, na uniwersytety idą rzesze młodych ludzi. Może to wina programów. Na pewno jest to kwestia, która wymagałaby głębszego przebadania.

A może problemem jest to, że dzisiaj praktycznie każdy może pójść na studia?

Nie, nie wszyscy idą na studia. Trzeba by przeprowadzić bardzo dokładne badania, które odpowiedziałyby na pytanie, z czego ten problem wynika, na czym polega to słabsze przygotowanie. Myślę, że jest dużo szkół, które źle pracują i źle uczą. Być może nie ma też synchronii między tym, czego oczekują uczelnie, a tym, jakie są programy szkolne. Moim zdaniem można by temu zaradzić – rozwiązaniem byłyby wspomniane już przeze mnie czteroletnie gimnazja i dwuletnie licea, mocno sprofilowane. Wtedy dwuletnia praca nad tymi przedmiotami wymaganymi na uczelni, o której marzy dany licealista, dawałaby rezultaty. Można przeprowadzić zmiany strukturalne, które spowodują, że młodzi ludzie będą lepiej przygotowywani do studiów, w ogóle lepiej przygotowywani do myślenia i funkcjonowania w świecie. To by wymagało powolnej pracy, nie pospiesznej, najgorsze są szybkie reformy. Należałoby zmienić system, całą strukturę szkolnictwa, tak, aby szkoła mogła dobrze przygotować młodzież do studiowania, a przede wszystkim dobrze przygotowała nauczycieli do pracy.

Skoro już przy tym jesteśmy, jak młodzież z Bednarskiej zdaje maturę? Przecież pracujecie swoimi metodami, nie zawsze zgodnymi z ministerialnymi wytycznymi. Wie pani, jak uczniowie radzą sobie potem na studiach?

Różnie sobie radzą, ale na ogół dobrze. Umieją myśleć, znają swoje mocne strony. Bardzo ważne jest, aby człowiek wybierał te kierunki studiów, te dziedziny swojej późniejszej aktywności, które go naprawdę interesują – jeśli ktoś dobrze wybierze, to potem dobrze radzi sobie w życiu. Spotykam

uczniów z zespołem Aspergera, którzy osiągają bardzo dobre wyniki w pracy zawodowej, bo odkryli to, co najbardziej lubią, ale ktoś im w tym pomógł.

Podkreśla się, że polska szkoła, nie chcę oczywiście generalizować, nie uczy myślenia, ale odtwarzania, nie uczy współpracy.

To jest to wszystko, o czym mówiłam. Ciągle funkcjonuje ten sam system rywalizacji w opanowaniu tego, co będzie punktowane i oceniane. W ogóle nie zwraca się uwagi na zainteresowania dzieci, tylko przekazuje się im określony zakres informacji. Ta reforma jeszcze ten stan pogłębiła, bo przedmioty w nowej podstawie programowej w ogóle nie są ze sobą powiązane, na przykład fizyka wyprzedza matematykę – młodzież nie może zrozumieć określonych zagadnień z fizyki, bo nie ma potrzebnych do tego umiejętności z matematyki. Nie ma tego, co jest bardzo ważne – korelacji między przedmiotami. Wprowadzając nasz program, trzymaliśmy się zasady, że przedmioty pokrewne są ze sobą powiązane. To istotne, aby dziecko uczyło się myśleć, zadawać pytania, a nie wkuwało na pamięć fakty, żeby otrzymać dobre oceny. To się ze sobą wiąże: odejście od systemu rywalizacyjno-autorytarnego i od systemu pamięciowego opanowywania wiedzy na rzecz rozwoju zainteresowań, myślenia, wiązania ze sobą faktów, rozumienia świata. Kolejna kwestia to zmiany systemu realizacji programów. Uważam, że podstawa programowa powinna być bardzo ogólna, powinna wyznaczać jedynie główne kierunki i zakres materiału, natomiast programy szczegółowe powinny być opracowywane przez nauczycieli dla konkretnych uczniów. A ci są bardzo różni, są dzieci uchodźców, dzieci z zespołem Aspergera, z różnymi innymi potrzebami. Potrzebna jest autonomia dla nauczycieli i szkoły.

Dzisiaj nauczyciele takiej autonomii nie mają?

Nie, skąd! Programy piszą jakieś komisje powołane przez Ministerstwo Edukacji Narodowej. Dzisiaj nadrzędna rzecz to realizacja podstawy programowej tak, aby uczeń uzyskał na egzaminie końcowym jak

najwięcej punktów. Nauczyciel realizuje narzucony program i w związku z tym nie ma czasu na rozwój zainteresowań dziecka. Programy są przeciążone – dzieci wkuwają, wkuwają, wkuwają, a kto nie wkuwa, to albo nie kończy klasy, albo nie zdaje matury. Nauczyciel dostosowuje się do wymagań, które są mu narzucone. Dlatego pedagodzy są rozgoryczeni, to nie jest kwestia tylko niskich zarobków. Z jednej strony są małe pieniądze, ale z drugiej – brak samodzielności.

To pokazuje też brak szacunku do nauczyciela, bo system zakłada, że pedagog nie myśli.

Tak, nauczyciel ma realizować to, co mu się nakazuje. To autorytarny system zarządzania oświatą, który później przenosi się na autorytarny system zarządzania dziećmi przez nauczyciela, bo ten musi przerobić podstawę programową.

Jakich pani spotkała na swojej drodze zawodowej nauczycieli, bo są bardzo różne o nich opinie?

Nauczyciele są różni, tak jak różni są ludzie. Są wspaniali nauczyciele, którzy potrafią porwać młodzież, którzy odkładają na bok dyrektywy, bo dla nich najważniejszy jest uczeń. A są nauczyciele, którzy biernie wykonują narzucone odgórnie polecenia.

Mówi się, że nauczyciele mają misje: nauczania, wychowania, przekazania odpowiednich wartości – to jednak nie jest zawód jak każdy inny.

Oczywiście, to zawód, który sporo wymaga od człowieka, ale trzeba dać nauczycielom szanse. Są tacy, którzy realizują w tej pracy siebie, są też tacy, którzy z jednej strony są przeciążeni, z drugiej nie mogą dostosować swojego rozumienia dziecka i pracy z dzieckiem do wymagań, jakie się im stawia. Władze zewnętrzne wymagają od nauczycieli głównie sprawozdań i tego, aby uczniowie wkuli to, co będzie na egzaminie. W związku z tym nauczyciel z powołania czuje sprzeczność wewnętrzną między nakazami

a tym, co chciałby robić z młodzieżą. Przychodzi frustracja. Niskie zarobki prowadzą z kolei do tego, że musi łączyć kilka prac, żeby utrzymać rodzinę, więc jest przeciążony. To wszystko wpływa na złe samopoczucie nauczyciela, które później odbija się na jego pracy.

Nauczyciele chyba zawsze zarabiali mało. Czy był taki okres, że zarabiali powyżej średniej krajowej?

Sądzę, że w okresie dwudziestolecia międzywojennego te zarobki były bardzo zróżnicowane, były szkoły średnie, w których zarabiało się więcej. Po 1945 roku te zarobki nigdy nie były wysokie.

Dlaczego?

Nie wiem. Chyba wszyscy w sferze budżetowej niewiele zarabiają.

Słyszałam taką historię, ponoć prawdziwą. Kiedy Polska Partia Socjalistyczna miała połączyć się z Polską Partią Robotniczą w Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą, w samym PPS był duży opór przeciw temu połączeniu. Wtedy na zjeździe czy kongresie nauczycieli pojawił się I sekretarz PPR Władysław Gomułka i poprosił nauczycieli, żeby przekonali polityków PPS do tego połączenia.

Nie zgodzili się?

Nie. Stwierdzili, że nie będą się mieszać w politykę, i wtedy Władysław Gomułka miał powiedzieć, że skoro tak, skoro nie chcą pomóc, będą przymierać głodem.

(śmiech) Może rzeczywiście tak wtedy było. Te zarobki są zawsze w podobnym stopniu niskie. Trochę wzrastały do 2012 roku, ale oczywiście za mało. One powinny być wyższe, tak aby to był zawód doceniany. Wysokość zarobków na pewno zniechęca do tej pracy. Podwyżki to ważny element naprawy systemu, ale z drugiej strony ważne, aby ta praca była atrakcyjna, aby dawała właśnie twórczą swobodę, wtedy przyjdą do niej najciekawsi ludzie. A trzecia kwestia jest taka, żeby tych, którzy chcą iść do

tego zawodu, dobrze do niego przygotować. Dzisiaj, jak już mówiłam wcześniej, nie ma przygotowania do pracy z dziećmi, jest przygotowanie merytoryczne: ktoś kończy studia, jest matematykiem – ma wiedzę, ale nie wie, jak przekazywać ją uczniom.

Dlaczego pani nie została minister edukacji narodowej?

(śmiech) Śmieję się z tego pomysłu.

Nie ma pani wrażenia, że przez te wszystkie lata etos zawodu nauczycieli trochę upadł? Że nauczyciel cieszy się mniejszym szacunkiem niż kiedyś?

Uważam, że w dużym stopniu tak się stało. Na pewno ma na to wpływ i sytuacja materialna nauczycieli, i fakt, że nie mają swobody działania, że nie są autonomiczni w tym, co robią, tylko podporządkowani biurokratycznym dyrektywom, które skłaniają ich do takiego a nie innego postępowania. A poza tym nie są przygotowani do pracy po wielkiej zmianie, jaka zaszła w świecie dzięki nowym technologiom. Dzisiaj dzieci siedzą z nosami w telefonach komórkowych, wiedzę rzeczową mogą zdobyć w internecie. Nauczyciele z trudem dostosowują się do zmian mentalności młodzieży, która nastąpiła w ostatnich latach. Dlatego też tracą wspólny język z młodzieżą.

I rodzice mają coraz więcej do powiedzenia.

I bardzo dobrze, że mają. Nauczyciele muszą się do tego dostosować. Trzeba tak sformułować zasady współpracy z rodzicami, żeby mogło nastąpić porozumienie. Pierwszą zasadą, jaka obowiązywała w naszej szkole od samego początku, była zasada demokracji. Zadawaliśmy sobie wspólnie pytanie: z kogo składa się społeczność szkolna? Odpowiedź była oczywista: to nauczyciele, uczniowie i rodzice. Jeśli w szkole mają panować pewne zasady, muszą być uzgodnione między tymi trzema grupami. Nie mogą być narzucone przez nauczycieli, bo wówczas będzie to szkoła autorytarna. I stąd pomysł stworzenia demokracji szkolnej opartej na zasadzie trójpodziału władzy. Powstał więc w naszym I SLO sejm szkolny,

do którego wchodzili wybrani w demokratycznych wyborach przedstawiciele rodziców, uczniów i nauczycieli. Sejm szkolny był władzą ustawodawczą, uchwalił konstytucję szkolną, której wszyscy musieli przestrzegać, wprowadzał okreświykonawcza, czyli rząd – Rada Szkoły, do której wchodzą uczniowie, rodzice i nauczyciele wybierani w demokratycznych wyborach. I trzecia władza – Sąd Szkolny; każdą sprawę sądził skład sędziowski, w którym zasiadali uczniowie, nauczyciele i rodzice, również wybrani w demokratycznych wyborach.

Czyli stworzyliście takie państwo w państwie?

Państwo w szkole, w którym podejmowane są wspólnie decyzje dotyczące funkcjonowania społeczności i jednocześnie nauka przestrzegania zasad. Dam pani przykład: zaczęła się wojna w Czeczenii, dowiedzieliśmy się, że w ośrodku dla uchodźców są dzieci czeczeńskie, a także dzieci uchodźców z innych krajów. Te dzieci nie uczą się, bo szkoły państwowe ich nie przyjmują. Wtedy pomyślałam, że aby dobrze wychowywać naszych uczniów i jednocześnie spełniać ważną społeczną misję, powinniśmy przyjmować do naszych szkół na miejsca bezpłatne, a nawet fundować stypendia dla tych dzieci, a także dla polskich dzieci z domów dziecka i dzieci z orzeczeniami o niepełnosprawności. Wymyśliłam, że dobrze by było, aby w każdej klasie były cztery miejsca dla takich uczniów przyjmowanych bez egzaminu wstępnego. W naszej szkole obowiązywały zasady demokracji, nie mogłam więc sama jako dyrektor takiej decyzji podjąć. W związku z tym zwołaliśmy zebranie rodziców, żeby przedstawić mój projekt.

I co?

I piekło. Rodzicie zaczęli się przekrzykiwać, że obniży się poziom nauczania, że oni płacą czesne, a tu jakieś dzieciaki będą się uczyć za darmo i tak dalej. Pomyślałam sobie: przepadło. W demokracji łatwo nie jest (śmiech). I wtedy wstał jeden tatuś i mówi tak: „Proszę państwa, czy państwo żałowaliby swoich pieniędzy na lepsze wyposażenie pracowni?”.

„A skąd!” – niesie się po sali. „A żałowaliby państwo swoich pieniędzy na wycieczki zagraniczne, podczas których dzieci poznawałyby inne kultury?”. „A skąd!” – to samo. Wymienił jeszcze kilka rzeczy i na koniec powiedział: „Niech państwo pomyślą, że przyjmowanie takich dzieci do szkoły to pomoc w rozwoju moralnym i w rozwoju postaw społecznych naszych dzieci. To swoista pomoc naukowa”. Zapadła cisza. „Czy uważają państwo, że nasze dzieci nie powinny mieć przyzwoitej świadomości społecznej i przyzwoitej wrażliwości moralnej?”. Znowu cisza. Pomyślałam, że trzeba sprawę przegłosować.

I wszystkie ręce w górze?

Dokładnie tak – wszystkie.

Przyjęliście te dzieci?

Tak, tak, przyjmowaliśmy bardzo dużo takich dzieci. W sumie przez naszą szkołę przewinęły się dzieci z szesnastu krajów świata. Mieliśmy bardzo dużo uchodźców z różnych krajów, którzy wymagali pomocy i wsparcia. Między innymi przyjmowaliśmy przewiezione do Polski dzieci z Tybetu, które zamieszkały w rodzinach naszych uczniów i do tej pory są pod opieką tych rodzin. Dzisiaj wiele z nich ukończyło już liceum i podjęło studia. Dzięki obecności uczniów pochodzących z różnych stron świata polskie dzieci mogły poznawać różne kultury, ucząc się w praktyce tolerancji, otwartości, akceptacji wielokulturowości i solidarności z przybyszami. Oto jeden z przykładów takiej solidarności. Pewnego razu władze zdecydowały się deportować rodzinę dziewczynki z Ukrainy, która chodziła do naszej szkoły. Nasi uczniowie, nawet nie porozumiewając się z dorosłymi, poszli protestować pod urząd do spraw cudzoziemców przeciwko deportacji ich koleżanki. Nagrała to telewizja, o sprawie zrobiło się głośno i władza wycofała się ze swojej decyzji. Dziewczynka została w Polsce.

Dlaczego nasza edukacja nie chce iść w kierunku systemu, o którym pani mówi? Systemu uczącego rozmowy, dyskusji, rozwijającego

zainteresowania, nastawionego na rozwój myślenia, a nie powtarzania wyuczonych formułek. Systemu, w którym najważniejszy będzie uczeń, a nauczyciel będzie się czuł spełniony.

Uważam, że nasz system trzyma się skostniałych form edukacyjnych, które obowiązywały od lat. Reforma pani minister Anny Zalewskiej cofnęła go do czasów PRL-u, nie tylko jeśli chodzi o strukturę szkolnictwa, ale także programy zmierzające do ideologizacji nauczania. Obecna władza chce wychowywać obywateli według przyjętych założeń ideologicznych. W nowych podstawach programowych dla szkoły podstawowej mówi się wprost, że głównym celem nauczania jest kształtowanie postawy patriotycznej uczniów. Tak określony jest nawet zasadniczy cel nauczania geografii. Program historii zaczyna się w klasie czwartej od polecenia opanowania przez uczniów życiorysów kilkudziesięciu wielkich Polaków. Nie znają jeszcze historii, a mają znać losy wielkich rodaków od Mieszka I po żołnierzy wyklętych. W zasadzie w szkole podstawowej na lekcjach języka polskiego uczniowie nie będą poznawać żadnych lektur z literatury powszechnej, nie ma na tej liście nawet Szekspira, jest przede wszystkim dziewiętnastowieczna literatura patriotyczna. Do minimum ograniczona jest literatura współczesna. Specjalna instrukcja mówi o tym, że na egzaminie uczeń powinien posługiwać się lekturami przewidzianymi w programie, a nie przeczytanymi przez siebie książkami spoza listy lektur. Innymi słowy: nie można dobrze ocenić pracy, jeśli dziecko napisze ją na podstawie innych lektur niż te, które są uznane za obowiązujące.

Przecież to paranoja!

Zgadza się, paranoja! I teraz pytanie: dlaczego system jest skostniały? Właśnie dlatego! Po roku 1989 zaczął leciutko iść do przodu, a teraz się cofa do czasów PRL-u. Narzucana ideologia jest wprawdzie inna niż obowiązująca w tamtych czasach, ale tak jak wtedy cały system kształcenia i wychowania ma być jej podporządkowany.

Po reformie szkolnictwa budzącej tyle emocji, po wielkich zmianach w systemie edukacji, dzisiaj słyszymy od polityków, że ten system jest niewydolny. Co to właściwie znaczy?

Nie wiem, co politycy mają na myśli. Jeśli system jest niewydolny, to dlatego, że wprowadza się takie właśnie cofające go reformy.

Ale pani będzie dalej szła własną drogą, na której to uczeń będzie najważniejszy?

Zawsze szłam tą drogą i nie zmienię kierunku.

MIMO WSZYSTKO WCIĄŻ MI SIĘ CHCE

Dariusz Martynowicz

nauczyciel dyplomowany

Kraków, 30 kwietnia 2019 roku

Jestem młodym nauczycielem – mam 36 lat – ale w szkole przepracowałem już 12 i osiągnąłem stopień nauczyciela dyplomowanego. Ta perspektywa wiele mi daje. Z jednej strony widzę pędzący świat, zmieniającą się rzeczywistość i jestem otwarty na nowe technologie, zmiany, młodego człowieka, z drugiej strony dzięki doświadczeniu zawodowemu wiem, jakich reform potrzebuje polska szkoła – widzę, co jest jej siłą, a co wymaga natychmiastowych korekt, czego potrzebują uczniowie. Niestety, takich nauczycieli nikt nie chce słuchać.

Niewątpliwie nigdy wcześniej pedagodzy nie byli tak zmobilizowani jak dzisiaj. Stało się coś niesamowitego. Nie sądziłem, że jesteśmy w stanie tak mocno się zjednoczyć. Środowisko nauczycielskie, oprócz tego, że jest fascynujące, jest też bardzo trudne i raczej konserwatywne i zachowawcze w swoim myśleniu. Uczą osoby o różnych przekonaniach, starsze i młodsze. Ale średnia wieku polskiego nauczyciela to 43 lata, więc to ludzie, którzy mają ustabilizowane życie, często patrzą na świat z perspektywy ułożonych już puzzli. W małych środowiskach rzeczywiście pracują belfrzy, którzy nie zwracają tak wielkiej uwagi na to, ile zarabiają, często godzą się z tym, są może bardziej zachowawczy w ubieganiu się o swoje prawa, bo często spotykają się z presją wójta, Kościoła, wpływowych sąsiadów. I nagle w tych statecznych, zazwyczaj ułożonych, może trochę marudzących, ale summa summarum zawsze pracujących dość dobrze i wracających do swoich obowiązków nauczycielach coś pękło.

Chyba najbardziej zabolało nas poniżanie, którego doświadczyliśmy z różnych stron. Minister Michał Dworczyk powiedział, że bierzemy naszych uczniów za zakładników, minister prezydencki Krzysztof Szczerski stwierdził, że możemy się rozmnażać, jeśli chcemy więcej zarabiać, Pierwsza Dama, także nauczycielka, milczała. Jeszcze raz

powtórzę, bo już to kiedyś powiedziałem: porównywanie nas do terrorystów było przekroczeniem granicy, której nie wolno było przekroczyć. Myślę, że jedyny terroryzm, z jakim mamy teraz do czynienia, to terroryzm poniżania. Gdyby rządzący nie spełnili naszych żądań finansowych, ale wykazali odrobinę szacunku, otwartość, chcieli z nami rozmawiać, historia potoczyłaby się zupełnie inaczej. Wielu moich znajomych, także tych głosujących na Prawo i Sprawiedliwość, strajkowało. Zobaczyli, z jaką pogardą odnosi się do nas państwo. Jasne, tak było także wcześniej, za poprzedniej władzy, która teraz chciałaby z nami usiąść w jednej szkolnej ławce. Minister Joanna Kluzik-Rostkowska zajmowała się głównie drożdżówkami, dołożyła nam biurokratycznej roboty, chciała sprawdzać, jak pracujemy w Wigilie, a teraz stała się nagle naszą orędowniczką. A przecież nauczyciele mają dobrą pamięć i nie kierują swojej antypatii w stronę jednej tylko partii. Ale dzisiaj skala ataków na nas jest nieporównywalna.

Wracając do szkół, jeszcze niczego nie skończyliśmy. Tak naprawdę dopiero zaczynamy walkę o godność naszego zawodu. W wielu miastach powstały międzyszkolne komitety strajkowe, które niezależnie od działalności związkowej nawiązały ze sobą kontakt. Mamy mnóstwo pomysłów na to, co robić dalej. Przede wszystkim chcemy zacząć akcję informacyjną wśród rodziców, społeczeństwa. Mam takie poczucie, że ten strajk to nie tylko wina państwa, lecz trochę także nasza – nauczycieli. Bardzo długo zamykaliśmy swoje historie w pokojach nauczycielskich. Narzekaliśmy między sobą, tylko czasami odbiorcami naszej rozpaczy, frustracji były osoby nam najbliższe. Klepaliśmy biedę i płakaliśmy w rękawy, zamiast działać. Niestety, zemściło się to na nas.

To prawda, że nasze zarobki nigdy nie były wysokie, ale dużo łatwiej było mi żyć i funkcjonować pięć czy dziesięć lat temu. Kolosalna przepaść między sektorem prywatnym a nami, nauczycielami, to kwestia ostatnich kilku lat. Moi znajomi, często osoby bez wyższego wykształcenia, zarabiają 8, 10 tysięcy miesięcznie brutto, a ja uczę trzynasty rok, mam najwyższy stopień awansu zawodowego – jestem nauczycielem dyplomowanym i…

nic mnie już finansowo nie czeka. Nie ma dla mnie żadnego systemu motywacyjnego w przyszłości. Mając 35 lat, zarabiam 3 tysiące złotych na rękę. I pytam sam siebie: co dalej? Rządowa i medialna propaganda zrobiła z nas nierobów, którzy niewiele pracują, więc mało zarabiają, a teraz chcą skorzystać na wzroście gospodarczym. Niestety, tak myśli wielu Polaków. Dlatego tak bardzo potrzebna jest pedagogizacja wszystkich, którzy tworzą szkołę. Rodzice naszych uczniów naprawdę często nie wiedzą, ile zarabiamy, na czym polega nasza praca i jakie mamy problemy. Uczniowie podobnie. Działania państwa podczas strajku sprowadzały się przede wszystkim do lekceważenia nauczycieli i próby skłócenia rodziców, nauczycieli i uczniów. Polska szkoła nigdy nie będzie już taka sama.

Po tej reformie polska szkoła siądzie...

Osobnym tematem jest reforma minister Zalewskiej. Mam do siebie pretensje, w ogóle do naszego środowiska, że mocniej się jej nie przeciwstawiliśmy. Jestem najlepszym przykładem, że może przyjść refleksja. Byłem zwolennikiem przywrócenia czteroletniego liceum, z sentymentem wspominam swoje LO jako jeden z ostatnich roczników tamtego systemu, i zobaczyłem na własne oczy, jaką krzywdę wyrządzono młodzieży, pozbawiając ją ostatniego roku w liceum. Nie bądźmy hipokrytami, dzisiaj liceum trwa praktycznie dwa i pół roku, bo już w kwietniu ostatnie klasy kończą edukację, a na początku klasy pierwsze przez dwa miesiące zaznajamiają się z tym, jak funkcjonuje szkoła. Pierwszaków traktuje się pobłażliwie, bo są nowi, więc praca tak naprawdę zaczyna się w październiku czy nawet listopadzie. Zobaczyłem, jak pozbawiono te dzieciaki czasu na rozmowę, refleksję. Nauka w liceum zaczęła przypominać walkę z czasem, stała się jednym wielkim przygotowywaniem do matur, testów, procentów. Tyle tylko, że styl przeprowadzenia reformy minister Zalewskiej był dla mnie porażający. Nie potrafię powiedzieć o niej niczego dobrego, chociaż teoretycznie, jako pracownik liceum, jestem jej beneficjentem. Ta reforma bazuje na tym, na czym bazowała polityka edukacyjna tego państwa przez ostatnie trzy lata –

na uśmiechu pani minister. Zniszczyła wysiłek tysięcy nauczycieli. Niektórzy, by utrzymać etat, zostali zmuszeni do pracy w kilku szkołach. Ta reforma to nieprzemyślane, napisane na kolanie, często archaiczne podstawy programowe, to przeciążenie uczniów (zwłaszcza obecnych klas siódmych i ósmych), to podwójny rocznik, czyli organizacyjny paraliż i zbliżający się chaos, którego doświadczymy wszyscy, choćby nie wiem kto i co mówił. Doświadczymy jeszcze jednej rzeczy, o której nikt nie mówi. W pierwszej klasie liceum we wrześniu pojawią się uczniowie gimnazjum i podstawówki. Zacznie się stygmatyzacja i rywalizacja wśród młodych ludzi obydwu grup: zapewne jedni będą się śmiać z drugich. Może dojść do różnych trudnych sytuacji, które trudno teraz przewidzieć. Ta reforma to wreszcie dramatyczne zniszczenie świetnie zbudowanej infrastruktury gimnazjów oraz wysiłku wielu ludzi tam pracujących. Reforma minister Zalewskiej przyniosła porażający brak szacunku do wszelakich instytucji państwa zgłaszających swoje zastrzeżenia – począwszy od naukowych, na przykład Polskiej Akademii Nauk, skończywszy na społecznych, na przykład rzeczniku praw obywatelskich. To wreszcie kuriozalny brak szacunku do protestów i uwag środowiska nauczycielskiego. Nie przypominam sobie nigdy tak pozornych, niemerytorycznych i udawanych konsultacji. Po tej reformie i po strajku, jeśli nowy minister edukacji narodowej nie podejmie działań, między innymi doceniających nauczycieli i wzmacniających ich poczucie wartości, polska szkoła po prostu „siądzie". Nic nikomu się nie będzie już chciało.

Były samochodziki i był dziennik...

Od najmłodszych lat bawiłem się w nauczyciela. Były samochodziki i był dziennik. Wpisywałem do niego oceny i uwagi swoim wyimaginowanym uczniom. Pierwszą nauczycielką, która miała na mnie ogromny wpływ, była Bogumiła Łazarz, pani od wychowania wczesnoszkolnego, czyli klas I–III. Uwielbiałem ją, chciałem, żeby tak wyglądała moja mama. Pani Łazarz była dla mnie kwintesencją kobiecości, może się nawet trochę w niej podkochiwałem. Miałem tylko siedem lat, a dokładnie pamiętam, jak

się zachowywała na lekcjach: jak chodziła, mówiła, krzyżowała ręce. Była niesłychanie wymagająca, powiedziałbym nawet oschła, ale jednocześnie widać było, że nas kocha. Była naszą drugą mamą, robiła coś wielkiego. Potrafiła przytulić, pocieszyć, zażartować. I myślę sobie: jak bardzo my, rodzice, nie doceniamy ludzi, którym oddajemy dzieci na tak długo. Mam tu na myśli nauczycieli przedszkoli i nauczania wczesnoszkolnego. Utarło się takie przekonanie, że w sumie w przedszkolu czy na początkowym etapie edukacji poradzi sobie każdy, bo to taka zabawa z dziećmi i właściwie niewiele trzeba umieć. A to, moim zdaniem, najbardziej niedoceniani ludzie w systemie szkolnym. Poważniej traktuje się polonistę czy informatyka w liceum niż panią w przedszkolu. Nawet samo określenie „przedszkolanka" to pokazuje. A to naprawdę ważni ludzie, bo to oni często pierwsi pokazują dzieciakom biedronki, wycierają nosy, przytulają, uczą świata.

Potem miałem różnych nauczycieli: dobrych i złych – jak każdy z nas. Trzy osoby zapamiętałem szczególnie. Anna Grec była polonistką w mojej podstawówce. Kiedy wchodziła do klasy, wiedzieliśmy, że nie będzie łatwo, ale czuliśmy jednocześnie, że być nauczycielem to być artystą. Że to zawód, który budzi szacunek, bo każdy uczeń patrzy na swojego belfra i myśli sobie: „Kurczę, trochę się go boję, ale się z nim liczę". Kolejna nauczycielka, matematyczka, Lucyna Stryczek, pokazała mi, że matematyka może być piękna, chociaż później już w to nie wierzyłem. W liceum miałem trzy polonistki i tylko jedna była bardzo dobra, pozostałe wolałbym zapomnieć. Magdalenę Millan szanowali wszyscy, nawet ci, którzy nienawidzili polskiego. Była trochę jak z obrazów, jak namalowana: pewna siebie, elegancko ubrana, nieukrywająca emocji, dowcipna i ironiczna, bardzo wymagająca. Zwracała się zawsze do nas: „proszę państwa". Sam czasami mówię do swoich uczniów na „ty", ale mówię również jak ona: „proszę państwa". Chcę, żeby młodzież poczuła się partnerem na lekcji, partnerem w życiu szkolnym. Profesor Millan była polonistką, która przede wszystkim słuchała. Nigdy nie pozwoliła się zdominować, ale chciała słuchać drugiego człowieka – dla niej lekcja była dialogiem.

Trafiłem też na wspaniałą osobę na zajęciach dodatkowych i wydaje mi się, że takie lekcje mogą być bardzo rozwojowe. Niekiedy bywa tak, że nauczyciel, który pracuje indywidualnie z dzieckiem, rozwija je, wzbogaca wewnętrznie, poszerza horyzonty, nieraz objaśnia świat i towarzyszy w życiu. Mam kilku znajomych, którzy ograniczyli pracę w szkole, założyli działalność gospodarczą i organizują indywidualne zajęcia z dziećmi czy lekcje w małych grupach. Taka forma pracy staje się w Polsce coraz bardziej popularna, wręcz kultowa. Często rodzicom wydaje się, że ich dziecko nie jest odpowiednio zaopiekowane w polskiej szkole, i szukają sposobu na rozwój jego talentów. Ja, od Bogumiły Pasieki, do której chodziłem na dodatkowe lekcje, nauczyłem się nie tylko warsztatu pisania, gramatyki i literatury. Między jednym a drugim papierosem wypalanym przez nią z gracją Wisławy Szymborskiej prowadziliśmy długie rozmowy o życiu, o wyborach, o naszych decyzjach, o wartościach, o świecie. To rzeczy nie do przecenienia. Może popularność korepetycji wynika dziś tak naprawdę z tęsknoty uczniów za bliską relacją z nauczycielem? Bo na taką indywidualną bliską relację obecnie nie ma niestety szansy w polskiej szkole.

To dzięki tym kobietom wciąż mi się chce

To dzięki tym kobietom byłem w stanie zbuntować się, zawalczyć o siebie i swoje środowisko, bo one wszystkie nie zagadywały rzeczywistości, mówiły rzadko, tylko wtedy, kiedy miały coś do powiedzenia. Przez ich pryzmat patrzyłem i patrzę na zawód nauczyciela, dla mnie – wymarzony. Wiedziałem, że w szkole nie zarabia się kokosów, ale wiedziałem również, że nauczyciel wzbudza szacunek, że to droga mocno rozwojowa, na której można się cieszyć tym, co się robi. Wybór polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim był więc raczej oczywisty – to były wartościowe studia, choć nie pokazały mi do końca, jak uczyć. Pamiętam swoje zajęcia z metodyki, które prowadziła wspaniała metodyczka doktor Marta Rusek. Wychodziliśmy często do szkół, były warsztaty praktyczne, ćwiczenia. Ale to i tak za mało. Uczyliśmy się na przykład o fazach lekcji, o tym, jak

powinna wyglądać idealna lekcja. Dzisiaj to wspomnienie wywołuje u mnie pusty śmiech, bo to mało istotny szczegół. Nie było przedmiotu dotyczącego literatury dla dzieci i młodzieży, zbyt mało skupiano się na praktyce zawodu nauczyciela, zagadnienia z psychologii nie obejmowały praktycznych szczegółów na temat umysłu młodych ludzi, które mogłyby mi pomóc w dotarciu do uczniów. Oczywiście widzę też tego zalety: nauczyłem się samodzielności, zyskałem bardzo pogłębioną wiedzę dotyczącą poetyki, teorii literatury czy językoznawstwa – oj, dużo na tych studiach musiałem przeczytać – ale też nie pokazano mi prawie w ogóle, jak z tym, co będę czytał z młodymi ludźmi, pracować. Do wszystkiego dochodziłem więc sam. Przyswajałem wiedzę z entuzjazmem, przede wszystkim uczyłem się czytać młodych ludzi – ich potrzeby, marzenia, zdolności. Nauczyciel to nie jest zawód teoretyczny, nauczyciel musi być praktykiem. Jasne, że trzeba mieć warsztat, ale trzeba być także, a może przede wszystkim, artystą, marzycielem, fighterem, couchem. Tylko wtedy można coś wyrzeźbić. Każdy nauczyciel, który zaczyna pracę w szkole, zderza się z rzeczywistością i widzi, że nie jest przygotowany do tego zawodu. Trzeba dużo serca, aby dostosować się do szkolnej rzeczywistości, do wszystkiego, co w szkole istotne, ale też nie zatracić siebie i ucznia w podstawach programowych, biurokracji, wymaganiach, ocenianiu.

Pamiętam pierwszą lekcję, którą prowadziłem. Nie mogłem ukryć entuzjazmu, po prostu cały czas się do siebie śmiałem. Wystarczył mi fakt, że stoję przed dzieciakami, miałem gdzieś to, co powinienem powiedzieć, zrobić. Rozpierała mnie radość. Tym bardziej że trochę przypadkowo dostałem się do najlepszego krakowskiego liceum. Młody, bez żadnego doświadczenia, za to z wielkim zapałem i tysiącem pomysłów w głowie. Uwierzyli we mnie.

Najważniejszą księgą metodyczną jest umysł nauczyciela

Tak, jestem fighterem. Jeśli chce się uczyć fajnie i dobrze, trzeba nim być, bo takie nauczanie to ciągła walka. Walka o każde dziecko, o to, żeby dotrzeć do młodego człowieka, mimo że w klasie siedzi trzydzieści pięć

osób. Dzisiaj w szkole nie ma miejsca na relacje, nie ma czasu na coś, co jest podstawą edukacji – na dialog, a przecież w rozmowie dzieją się największe, najważniejsze rzeczy. Swoim protestem walczę więc także o te dzieciaki, które zostawiłem nietknięte. W każdej klasie jest tak, że albo widzimy tych, którzy sprawiają problemy, albo tych, którzy osiągają sukcesy. Jest jednak spora grupa uczniów niewidocznych. Oni czekają, aż ktoś ich zauważy. System edukacji w Polsce ich nie zauważa. Często, mówię o tym z bólem, sam też ich nie dostrzegam, bo nie mam na to czasu. Niełatwo jest mi pogodzić się z tym, że częstokroć nie pamiętam imion moich uczniów. Ale trudno spamiętać imiona stu pięćdziesięciu ludzi – dodatkowo co rok jedni wypadają, inni wpadają. Nie jest to możliwe w trzydziestoosobowej klasie.

Rajcuje mnie praca z ludźmi, praca projektowa. Lubię wyzwania może właśnie dlatego, że jestem fighterem. Nie mógłbym zostać księgowym, nienawidzę robić ciągle tego samego. Każda moja lekcja jest inna, prowadzę ją przecież w innym dniu. Czasami widzę, że moi uczniowie są zmęczeni i mimo że mam w głowie pewien pomysł na zajęcia, zmieniam go – najważniejsi są młodzi ludzie, którzy siedzą naprzeciwko mnie, a nie podstawa programowa. Nawet jeśli rozmawiam o tej samej książce, inaczej robię to z uczniami klas o profilu matematyczno-algorytmicznym, a inaczej z klasą biologiczno-chemiczną. Staram się, żeby moje lekcje nie były teatrem jednego aktora. Bo nie jestem reżyserem szkolnego spektaklu. Chcę, by lekcja była czasem młodzieży. Wymyśliłem ostatnio taki projekt w klasie biologiczno-chemicznej, a dzieciaki popatrzyły na mnie jak na szaleńca. Rozmawialiśmy o sztuce w czasie średniowiecza i renesansu, a pod koniec lekcji zadałem niektórym do domu prezentację na temat tego, jak zmieniała się medycyna w tym okresie, bo działy się w niej rzeczy niesamowicie ważne, także dla kultury. Podobnie robię w klasach matematycznych. Jeśli omawiam na lekcjach języka polskiego starożytność, chcę, aby młodzi ludzie pokazali mi starożytny świat liczb i równań. Gdy mówimy o sztuce renesansu i baroku, chcę, żeby matematycy wiedzieli, co się wydarzyło w historii matematyki w tamtych czasach. Historia matematyki to przecież także historia kultury. Uważam,

że takie uczenie ma sens – trzeba podchodzić przede wszystkim indywidualnie do dzieciaków, z którymi się pracuje. Zawsze wieczorem przez godzinę, czasami dwie godziny, myślę o każdej lekcji, którą przeprowadzę następnego dnia. Układam w głowie plan. Dzisiaj większość energii wkładam w przygotowanie zajęć tak, aby były ciekawe, twórcze. Metodyka bywa okropnie nudna. Najważniejszą księgą metodyczną jest umysł nauczyciela. To w jego głowie mają się rodzić wielkie rzeczy. Dla mnie największą inspiracją są moi uczniowie. Ostatnio zastanawiałem się, jak w klasie matematyczno-algorytmicznej sprzedać III część *Dziadów*, jak sprawić, aby te dzieciaki zrozumiały, że to książka ciekawa i ważna. Żeby to przeczytały. Zacząłem im mówić, zupełnie spontanicznie, że jeżeli nie przeczytają III części *Dziadów*, nie zrozumieją stosunku polskiego społeczeństwa do Smoleńska, do krzyża na Krakowskim Przedmieściu, nie zrozumieją tego, co dzisiaj dzieje się w społeczeństwie, bo nasze społeczne zachowania, nasze postawy są spuścizną romantyzmu. Widziałem, jak coraz szerzej otwierają oczy. Nie spodziewali się, że lekcje z Mickiewicza mogą być twórcze. Omawialiśmy *Wielką improwizację*, a ja poprosiłem, aby napisali swoją własną *Wielką improwizację*. Pomyśleli o rzeczach totalnie dla siebie ważnych, bo o takich mówił Konrad w III części *Dziadów*. Osadzili romantyczny manifest w swojej współczesności. Zaskoczył mnie bardzo jeden manifest skierowany do Mickiewicza, w którym uczeń dość śmiało wypowiedział się o jego twórczości. Dowodził, że wypacza ona psychikę młodych ludzi i jest jej zbyt dużo w polskiej szkole. Drugi, równie interesujący, w bardzo krótkiej formie, która przypominała biały wiersz, mówił o tonach plastiku wyrzucanych rocznie przez ludzi na całym świecie, o imigrantach, o hipokryzji Kościoła. To była dla tego ucznia *Wielka improwizacja*, to były problemy uniwersalne, które siedziały w jego sercu. Wartość literatury bierze się z tego, że można, a nawet trzeba, konfrontować ją z rzeczywistością. To była klasa matematyczno-algorytmiczna, a podeszli do tego zadania niesamowicie poważnie, ambitnie. Pewnie dlatego, że zobaczyli, że nie zadaję kolejnych poleceń z podręcznika, ale myślę o tym, by nie tracić ich czasu, by czegoś się podczas zadania domowego nauczyli – także o sobie.

Szkoła to nie przedsiębiorstwo

Po czterech godzinach pracy przy tak zwanej tablicy jest jeszcze dobrze, przy piątej paruje mi w głowie, przy szóstej mam dość – prowadząc lekcję, muszę panować nad wszystkim, co się na niej dzieje. Po pierwsze, mam coś do przekazania, po drugie, przede mną są ludzie, którzy czują, przeżywają, bywa, że mają ciężki dzień. Czasami pytam uczniów, czy jedli śniadanie. Podeszła do mnie kiedyś dziewczyna, powiedziała, że nigdy mi tego nie zapomni, bo jeszcze nikt jej o to w polskiej szkole nie zapytał. To było kilka lat temu. Pomyślałem wtedy, że na przekór systemowi będę pytał swoich uczniów o zwyczajne, codzienne sprawy, choćby o to, jak się czują. Nawet kosztem części lekcji. System na to nie pozwala. Zakłada, że wszyscy mamy być superprofesjonalni. Od nauczyciela wymaga się, żeby był menedżerem, ale szkoła to przecież nie przedsiębiorstwo. Nie da się mierzyć szkoły miarą korporacji, chociaż praca nauczyciela coraz częściej przypomina zarządzanie projektem. Zmieniły się kompetencje pedagoga: mniej ważne jest to, co wie, dużo istotniejsze, czy jest entuzjastycznie nastawiony do młodzieży, czy potrafi ją rozpalić naukowo, pokazać jej, że nauka może być piękna, czy potrafi zmotywować, docenić. Nauczyciel może czegoś nie wiedzieć, to żaden obciach, bo uczeń wszystko znajdzie i doczyta w Wikipedii czy internecie, nauczyciel ma być tylko intelektualnym przewodnikiem. Nie wszyscy niestety nadążają za tymi zmianami. Dlaczego? Bo mamy fatalny system doskonalenia zawodowego. Robię studia podyplomowe, ciągle się doszkalam, może dwa szkolenia zmieniły coś w moim życiu. Sami musimy niestety dbać o swój rozwój, bo sensowny system doskonalenia zawodowego w Polsce po prostu nie istnieje. Świetny przykład: zacznę niebawem uczyć młodzież w systemie liceum czteroletniego. Młodszą o rok, nawet dwa. Z inną podstawą programową. Z innymi wymaganiami. Nie mieliśmy żadnego, podkreślam, żadnego szkolenia z Ministerstwa Edukacji Narodowej pokazującego, jak pracować w tej nowej rzeczywistości, co usunąć, co dodać, na co zwrócić uwagę. Znowu zostaliśmy pozostawieni sami sobie i znowu nauczyciele będą sami przygotowywać te zmiany – za własne pieniądze… Więc ten, kto

nie jest nauczycielem, nie wie, jak ważny jest dla nas oddech, który teraz chcą nam niektórzy zabrać, mówiąc o podniesieniu pensum. Tymczasem jedna z rzeczy, która trzyma mnie w zawodzie, to fakt, że w święta mam więcej czasu, aby pobyć z rodziną, że mam czas na regenerację. Mam poczucie, że panuję nad życiem. Są dni, kiedy w szkole jestem faktycznie tylko cztery godziny. Nie muszę w tym dniu robić niczego więcej – zwłaszcza jeśli wydarzyła się jakaś sytuacja traumatyczna czy trudna. Mogę odpocząć, a prace sprawdzić innego dnia wieczorem – sam rozporządzam swoim czasem. Jeśli pensum nauczyciela języka polskiego zostanie zwiększone z 18 do 24 godzin, będę pierwszym, który zrezygnuje z pracy. Już teraz, aby wyrobić 18 godzin, muszę być od września do kwietnia 20 godzin przy tablicy, ponieważ w liceum jest tak zwane uśrednienie (trzecie klasy odchodzą w kwietniu, więc w maju i czerwcu mniej pracujemy przy tablicy). Zwiększenie godzin pracy przy tablicy do 24 godzin spowoduje po pierwsze zwolnienie około jednej trzeciej nauczycieli, a po drugie gwałtowny spadek efektywności prowadzonych zajęć. Oznacza to bowiem dla mnie realnie około 27 godzin tablicowych od września do kwietnia. Plus okienka. Co więc zrobię? Zamiast zadać trzy wypracowania na semestr, zadam jedno, ponieważ nie będę miał tyle czasu na czynności, które wykonuję poza tablicą. Ograniczę jakiekolwiek wyjazdy, wyjścia do kina, aktywności pozaszkolne.

Młodzi ludzie chcą być traktowani serio

Młodzi ludzie są wspaniali. Mam ciekawe doświadczenie, bo nie uczę wyłącznie w krakowskim prestiżowym liceum. Przez dwa lata zastępowałem koleżankę w myślenickim technikum. Zobaczyłem świat szkoły z dwóch różnych perspektyw i uważam, że młodzież jest fantastyczna. Czasami z ust nauczycieli padają złe słowa pod adresem uczniów, ale to bierze się ze zmęczenia, z tego, że nie daje się nauczycielom szansy na zajęcie się tym, co najważniejsze w ich pracy – właśnie młodymi ludźmi. Nauczyciel jest ciągle przygniatany, dołowany – łatwo zniszczyć jego entuzjazm i motywację. Przyznam szczerze, miałem

moment krytyczny w mojej pracy, kiedy jeden z rodziców próbował mi zaszkodzić, bo nie podobało mu się, że jestem sprawiedliwy. Miałem na głowie kuratorium, co chwila pisałem notatki służbowe, byłem oskarżony o mobbing – stało się to podczas drugiego roku mojej pracy i bardzo mną wstrząsnęło. Cała klasa stała za mną murem, ale i tak w miesiąc schudłem cztery kilo. Stres był potworny.

Nikt, kto nie przeżyje takich chwil, nie zrozumie, jak ważne są dla nauczyciela czas wolny, wypoczynek, regeneracja. Mam fantastycznego dyrektora, który wychodzi z założenia, że mamy pracować na tysiąc procent, kiedy jesteśmy w szkole, ale mamy mieć także czas na relaks. To szef, który nie obciąża nas biurokracją, nie siedzi z nami co miesiąc na pięciogodzinnych radach pedagogicznych. Jest dyrektorem od ponad 20 lat – wie, że podstawą dobrej szkoły jest dobry nauczyciel. Jeżeli ten nie będzie wypoczęty i zmotywowany, to szkoła będzie kiepska, choćby rodzice robili nie wiadomo co.

Wracając do młodzieży, oprócz tego, że jest fantastyczna, jest wciąż niedowartościowana – to niestety duża wina zarówno rodziców, jak i nauczycieli. Miałem wychowawstwo w klasie biologiczno-chemicznej. Rodzice dzieci mieli wielkie ambicje – wszyscy, albo prawie wszyscy, chcieli, aby syn czy córka zostali lekarzami. Klasa była fantastycznie świrowata: nie chcieli iść na medycynę, chcieli robić inne dziwne rzeczy, w ogóle wychodzili z założenia, że mają jeszcze czas na uczenie się, że najważniejsze jest, aby się dobrze bawić, poznać, nawiązać przyjaźnie. Pomyślałem sobie: „Cholera, jak niefajnie przeżyłem to swoje liceum!", bo byłem jednak inny: bardziej obowiązkowy, poukładany. Pewnie gdybym mógł cofnąć czas, byłbym taki jak oni – korzystałbym bardziej z życia. Zbliżała się matura, a w nich narastała presja. Któregoś dnia na godzinie wychowawczej, nie zapomnę tego do końca życia, powiedziałem: „Pamiętajcie, jesteście ważni, niesamowici, wartościowi, piękni. Nie wszyscy musicie iść na tę cholerną medycynę". Dwie dziewczyny rozpłakały się i wyszły. Zobaczyłem wtedy, czego się od tych młodych ludzi

wymaga, jak bardzo są samotni, jak bardzo się ich nie słucha. A młodzi ludzie chcą być traktowani serio. Chcą być traktowani podmiotowo.

Może jestem nienormalny, ale trudno mi powiedzieć coś negatywnego o młodzieży. Chociaż nie, jest jedna rzecz – współczesna młodzież często wychodzi z założenia, że jej się wszystko należy. Nie muszą okazywać wdzięczności, szacunku, ale jeśli czegoś chcą, muszą to mieć natychmiast. Moją rolą jest pokazać im, że nie są pępkami świata, że wokół nich są także inni ludzie. Robię to w klasie, rozmawiam z uczniami o życiu, bo największa i najważniejsza lekcja, jaką można dać młodym ludziom, to lekcja życia. Nie ma takiego znaczenia, czy uczeń zapamięta, co to jest onomatopeja, przydawka, większe znaczenie w zakresie przedmiotów humanistycznych ma to, żeby uczeń humanizm, o którym się mówi na lekcjach polskiego, rozumiał tak, jak rozumieć powinien: jako system wartości, przedkładanie człowieczeństwa nad inne rzeczy, patrzenie w stronę potrzeb człowieka. Humanizm to nauka szacunku, tolerancji dla inności, godności. Otrzymuję niestety coraz mniej wyrazów szacunku ze strony młodzieży – nie mówiąc już o rodzicach – i nie mogę się z tym pogodzić. Na palcach jednej ręki mogę policzyć sytuacje, kiedy przyszedł do mnie jakiś ojciec i powiedział: „Panie Darku, pan jest supernauczycielem!". Rzadko zdarza się, żeby rodzic napisał: „Dziękuję za świetne lekcje, pana zaangażowanie, koncert charytatywny". Częściej otrzymuję wiadomości, jeśli ktoś ma zastrzeżenie do zaproponowanego przeze mnie kanonu lektur czy prosi o podniesienie oceny jego dziecka. Stąd pojęcie „roszczeniowych rodziców" nie jest terminem tekturowym, bo ci przychodzą do szkoły najczęściej wtedy, kiedy chcą pokazać swoją władzę albo kiedy czują, że ich dziecko jest traktowane niesprawiedliwie. Bardzo rzadko, by powiedzieć dyrektorowi, nauczycielom: „Wow, jesteście świetni!" czy: „Dziękuję panu, bo moje dziecko tak się przy panu wspaniale rozwinęło".

Rodzice i uczniowie coraz rzadziej komunikują pedagogom, że ci robią dobrą robotę, że są kochani, wartościowi, a polscy nauczyciele tego bardzo potrzebują – jeśli nie mają informacji zwrotnej o swojej pracy od osób,

które są ich partnerami, tracą motywację. Wkurzam się, kiedy ktoś przychodzi do mnie z prezentem. Wolałbym, żeby młodzież na koniec roku przyniosła mi swoje zdjęcia i wyraziła swój szacunek, chociażby wstając i mówiąc: „Dzięki za wszystko, pokazał nam pan więcej świata". Nie wiem, skąd to się w nich bierze. To chyba kwestia wychowania. Myślę ostatecznie, że to nie ich wina. Rozmawiam o tym z młodzieżą, ale jeśli rodzice nie rozmawiają o nauczycielach z szacunkiem, to czemu się dziwić?

Jak widać, niewiele złego mogę powiedzieć o młodzieży. Uważam, że najfajniejszym elementem naszej pracy jest praca z dzieciakami. Jeśli polski nauczyciel czegoś chce, to wyraziłby to słowami: „Dajcie mi pracować z młodzieżą, dajcie mi godnie zarabiać, a co do reszty, to dajcie mi święty spokój". Nikt tego głosu nie słucha.

My, nauczyciele, bywamy trudni

Zderzenie moich wyobrażeń o pracy w szkole z rzeczywistością było dotkliwe. Do dzisiaj nie mogę pogodzić się z tym, że system edukacyjny w dużej mierze oparty jest na podległości i strachu: dyrektor boi się kuratorium, nauczyciel boi się dyrektora, a uczeń, wprawdzie coraz mniej, ale jednak nadal boi się nauczyciela. Wszyscy, no, prawie wszyscy, boją się rodziców, bo we współczesnej szkole zaczyna dominować rodzic, a nauczyciel ma coraz mniej do powiedzenia. Mimo mojego wielkiego szacunku wobec rodziców moich uczniów, bo lubię ich i zrobiłem z nimi masę fajnych rzeczy, uważam, że za bardzo wtrącają się w sprawy szkoły i, niestety, wszystko wskazuje na to, że to się nie zmieni, a wręcz umocni. Na obrady „okrągłego stołu" zorganizowane przez premiera Mateusza Morawieckiego zostało zaproszonych dwudziestu rodziców i… pięciu nauczycieli. To był komunikat wysłany do nauczycieli, że można rozmawiać o edukacji bez nich. Żaden szanujący się pedagog na taki dialog się nie zgodzi. Bo to tak, jakby o służbie zdrowia rozmawiać przede wszystkim z pacjentami i ich rodzinami. Jakby to oni mieli decydować, jak rozwiązać największe problemy polskich szpitali. Oczywiście, uczniowie

i rodzice są ważnym elementem szkoły, ale to nauczyciel wie najlepiej, czego szkole brakuje, czego w niej za dużo – co zrobić, żeby wszystkim było lepiej, bo sprawa jest prosta: chodzi o to, żeby każdemu w szkole było dobrze – i uczniowi, i nauczycielowi. Nawet jeśli ten nauczyciel nie jest doskonały.

Niektórzy wybierają konkretny zawód, żeby się ustawić, inni, żeby mieć święty spokój – w latach 80. czy 90. praca nauczyciela była prostym pomysłem na życie, bo dochodzi się do pewnego etapu i nic się już nie musi. Jeżeli się nie pije, nie ćpa, nie pozwoli wyskoczyć uczniowi przez okno, to zostaje się w zawodzie, nawet jeśli naucza się średnio – szkoła jest niestety dobrą przechowalnią. Spotkałem w szkole słabych nauczycieli, zarabiają tyle co ja albo więcej. Odsetek idiotów wśród nauczycieli jest taki sam jak odsetek idiotów w innych grupach zawodowych. Wiem, że nauczyciele są różni, ale dziwi mnie, że tak wielu z nich jeszcze się chce. Przecież najbardziej optymalnie byłoby odbębnić 20 godzin w szkole i zająć się robieniem innych rzeczy, inną pracą, bo są takie możliwości. Wielu nauczycieli tego nie robi, mają w sobie mnóstwo pasji, energii, tylko niestety to właśnie ich najbardziej wgniata się w podłogę. Są niesłuchani nie tylko w szkole, są niesłuchani także przez państwo, bo gdy dyrektor musi wyrzucić pracownika, to zwalnia nie najsłabszego, ale najmłodszego. Jeśli zrobi inaczej, przegra w każdym sądzie, ponieważ nauczyciel mianowany, czyli ten, który pracuje w zawodzie 10 lat, jest chroniony prawnie. Do dziś mnie zaskakuje, że tak trudno pozbyć się złego nauczyciela. Równie trudno niestety nagrodzić dobrego. Ten system jest niesprawiedliwy dla wszystkich.

Nauczyciele są trudną grupą zawodową. Jedni cieszą się, że ktoś inny robi coś ciekawego, że osiąga sukcesy, drudzy tylko zazdroszczą – w tym środowisku panuje niesamowita zazdrość. Doświadczyłem wielu nieciekawych sytuacji, kiedy próbowano mnie zniszczyć, bo osiągam sukcesy, bo za dobrze mi idzie. To mnie już dzisiaj nie zniechęca, ale kiedyś mocno to odchorowywałem. Przyznam szczerze, że nawet zdarzyło mi się płakać.

Zacząłem stawiać granice. Co dalej?

Wziąłem roczny urlop dla podreperowania zdrowia, wróciłem z niego w grudniu 2018 roku i czuję, że jestem innym człowiekiem. Patrzę na pewne sprawy z dystansu. To okrutne, co powiem, ale jestem wart więcej niż trzy tysiące, które zarabiam, a szkoła nie jest jedynym miejscem pracy, które dla siebie widzę. Chcę uczyć dalej, kocham to, ale jestem w takim momencie życia, że gdyby ktoś powiedział: „Darek, jest fajna praca, będziesz mógł robić to, co lubisz: zarządzać projektem, pracować z ludźmi, rozwijać się, to dla ciebie nowe wyzwanie", dałby mi siedem tysięcy na rękę, szczerze, nie zastanawiałbym się. Czuję, że przez 12 lat mojej pracy zrobiłem mnóstwo ciekawych, inspirujących rzeczy i że nie jestem za to ani odpowiednio wynagradzany, ani doceniany. Gdzie indziej byłbym dużo bardziej. Bo o takiego pracownika się dba.

Przy tablicy roznosi mnie energia. Może dlatego robię dużo poza szkołą, uczę, dokształcam między innymi nauczycieli. Mam dużo do zaoferowania, czuję w sobie potencjał, ale jednocześnie mam świadomość, że on jest w szkole marnowany. Ludzie pytają mnie czasami, skąd we mnie tyle pasji, tyle powera. Nie wiem. Jeśli już coś robię, to albo najlepiej, jak potrafię, albo wcale. I… dostaję 300 złotych dodatku motywacyjnego. Przepraszam, jaka to jest motywacja do lepszej pracy?

Bo, umówmy się, paradoksalnie w polskiej szkole, tak bardzo okaleczonej, to nauczyciel jest jedyną osobą, która z uczniem próbuje rozmawiać. Nie chcę generalizować, ale wielu rodziców traci kontakt z dzieckiem. Nie wiem, czemu tak się dzieje, sam jestem rodzicem, widzę, jak ciężkie jest wychowanie, ale wiem, że nigdy nie chciałbym stracić swojego dziecka. Dlatego gdy strajkowałem, wkurzało mnie, że cały czas mówiło się o uczniach, którzy zdają maturę, piszą egzaminy gimnazjalne, a nie mówiło się o dzieciach nauczycielskich. Jakbyśmy my nie mieli dzieci albo były one mniej ważne niż inne.

Młodzież jest myśląca, empatyczna, czuje się niedoceniana, czuje żal do szkoły, nauczycieli, że nie może współtworzyć systemu edukacyjnego. Uczeń, podobnie jak nauczyciel, nie jest w szkole słuchany. Wiem, że moi

uczniowie chcieliby ze mną częściej rozmawiać, ale nie mam czasu, bo po pracy muszę biec do następnej. Rzadziej wychodzę z nimi wieczorami. Zacząłem stawiać granice. I myślę, że po tym strajku postawię następne. Uważam, że idea strajku włoskiego jest warta rozważenia. Jako nauczyciel nie pozwolę sobie na to, aby w jakimkolwiek stopniu obniżyła się jakość moich zajęć. Moi uczniowie nie będą mieli gorszych lekcji, ale być może mniej się będę udzielał w swoim czasie wolnym, a tak naprawdę 70 procent szkół stoi aktywnością pozalekcyjną. Znam fantastycznych nauczycieli, którzy robią ciekawe projekty naukowe, przyrodnicze, jeżdżą z dziećmi do lasu obserwować wilki. Sam byłem na ośmiodniowej wycieczce na Bałkanach, chciałem pokazać dzieciakom inne kultury, innych ludzi, bo tak widzę swoją rolę. Na osiem dni zostawiłem rodzinę, a płacono mi za to tak, jakbym stał cztery godziny przy tablicy. Nikt tego nie docenił. Nie dostałem żadnej delegacji, nie zapłacono mi za godziny ponadwymiarowe, a jeszcze usłyszałem kiedyś, że „wożę się za nieswoje pieniądze". Rodzice mieli wysokie oczekiwania, nie wiedzieli, że charytatywnie opiekuję się ich dzieciakami 20 godzin na dobę. Ale to nasz błąd, nauczycieli. Trzeba było powiedzieć na zebraniu: „Proszę państwa, chcę wziąć państwa dzieci na wycieczkę, ale nie będę tego robił za darmo". Może jako nauczyciele powinniśmy się zupełnie inaczej komunikować z rodzicami. Musimy zacząć mówić o realiach swojej pracy, inaczej będziemy tonąć w propagandowych paskach, że zarabiamy 5600 złotych na rękę. Utarło się takie społeczne przekonanie, że nauczyciel robi wszystko za darmo, że tak powinno być, od tego przecież jest – on pedagog, przewodnik. Oczywiście, że mam poczucie misji, dlatego tak się wkurzam, kiedy ciągle słyszę o etosie nauczyciela, którym grają wszyscy. Przestaję się na to godzić.

Uczenie może być sexy – o czterech filarach dobrej szkoły

I dość mam słuchania o naprawie polskiej szkoły. Uczenie może być sexy: pociągające, przyjemne, sprawiające satysfakcję, pobudzające, ale coraz mniej w polskich warunkach. A sprawa jest banalnie prosta. Widzę cztery filary dobrej polskiej szkoły: większa wolność, nastawienie na twórczość

i kreatywność oraz nowoczesność. Jest taki cytat z Gombrowicza: „Niech kształt mój rodzi się ze mnie, niech nie będzie zrobiony mi". Czuję, że polska szkoła próbuje wszystkim nadawać kształt, każdy każdemu chce coś narzucić. A to wielki błąd! To my wspólnie – nauczyciele, rodzice, uczniowie – powinniśmy decydować o tym, jak ma wyglądać polska szkoła, żeby nauczyciel miał więcej wolności, był szanowany, jeśli chodzi o swoje wybory, żeby mógł rozwijać młodzież w takim kierunku, w jakim chce.

Druga sprawa – twórczość – bardzo jej niestety mało w polskiej szkole. Należę do grupy Superbelfrzy, zaczęliśmy w niej działać osiem lat temu. Chodzi nam o to, aby uczyć nowocześniej, fajniej, właśnie twórczo. To grupa 150 wariatów – wspieramy się, podpowiadamy sobie różne rzeczy. Jeśli natrafimy na jakąś ciekawą aplikację, od razu ją sobie przesyłamy, testujemy na lekcjach. Twórczość trudno rozwijać w systemie, w którym lekcje odbywają się pięć dni w tygodniu. Uważam, że powinny się odbywać cztery razy, a piąty dzień mógłby być na przykład dniem projektów. Twórczy może być każdy nauczyciel na swojej lekcji przy odrobinie czasu, chęci, pomysłów. Muszę przyznać z wielkim smutkiem, że nie wszyscy nauczyciele tak pracują. Na jednej z lekcji, przy omawianiu *Pana Tadeusza*, kazałem uczniom stworzyć gry planszowe i ich pomysły były fantastyczne. Dziewczyny wymyśliły na przykład planszówkę z pytaniami do książki pod tytułem *Jak uwieść Tadeusza*. Gdy mówiłem o Wyspiańskim, inny uczeń stworzył grę komputerową, zręcznościową. Polegała na tym, że wchodził do każdej komnaty, podchodził do obrazu Wyspiańskiego, czytał o tym obrazie, a po przejściu każdej komnaty był quiz. Gdy kończyłem omawiać romantyzm, moi uczniowie przygotowali gry o dramatach romantycznych. Jedna z nich, Caropoly (nawiązanie do III części *Dziadów*), zbudowana na podstawie popularnej gry Monopoly, zachwyciła całą klasę. Takie uczenie mnie rajcuje. Takie uczenie jest ważne.

Na moich lekcjach bardzo ważnym gadżetem jest telefon komórkowy. Często gram z uczniami w Kahoot! – wyświetla się quiz, uczeń loguje się do gry przez telefon komórkowy i odpowiada, klikając w klawiaturę, a wyniki pojawiają się na tablicy multimedialnej. Polska szkoła nie może

być zamknięta na nowoczesne technologie, a niestety jedynie udaje, że je wykorzystuje. Jest mnóstwo ludzi, którzy zakazaliby używania telefonów komórkowych na lekcji. Pytam, gdzie tu zdrowy rozsądek? Wszyscy ich przecież używamy: w pracy, w domu. Jeśli uczeń wchodzi do szkoły i słyszy, że nie można korzystać z komórki, to traktuje szkołę jako miejsce zupełnie archaiczne. Oczywiście, że te nowoczesne technologie trzeba wykorzystywać z głową. Jestem ich fanem, ale nie fanatykiem, jednak wciąż ich za mało w polskiej szkole. Moi uczniowie grają nie tylko w Kahoot!, ale także szyfrują, tworzą memy, wykorzystują kody QR.

Czy mam marzenia? Chciałbym zarabiać tyle, żebym mógł pracować tylko i wyłącznie w szkole, i chciałbym, żeby szczęśliwi byli w niej i uczniowie, i nauczyciele. Jeżeli uczeń czuje się w szkole źle, jeżeli czuje się pozbawiony opieki, jeżeli także nauczyciel czuje się niezaopiekowany, a do tego poniżany, nieszanowany, to choćby ministerstwo nocą wprowadziło dziesięć ustaw, nic się w polskiej szkole nie zmieni.

Jeśli rządzący nie zrozumieją, że nauczyciel jest ważny, najlepsi z nas odejdą. Niestety, moja diagnoza jest smutna – za chwilę do szkoły będą trafiać ludzie, którzy nie radzą sobie w korpo, są po prostu słabi. W korporacjach na starcie dostaje się 4000 złotych na rękę, w szkole – 1900 złotych. Tyle zarabia moja koleżanka, która po studiach zaczęła uczyć w szkole języka angielskiego. Pensja stażysty jest dzisiaj bardzo zbliżona do pensji minimalnej. Czy to nie przerażający komunikat? Owszem, jest to informacja, że nauczyciel to zawód słabych ludzi.

Jeżeli nikt mnie nie zatrzyma, odejdę

Nie będę ukrywał: sam myślę o odejściu. Mam różne propozycje. Cholernie będzie mi brakowało młodzieży. Czasami jestem zmęczony, zniechęcony. Ale niekiedy wieczorem przychodzi na Messengerze wiadomość od ucznia, który pisze, że bardzo wiele zmieniło się w jego życiu po moich lekcjach, albo absolwent, z którym nie mam kontaktu, odzywa się i komunikuje, że bardzo mi kibicuje i trzyma za mnie kciuki. Innym razem podchodzi do mnie uczeń, tuż przed strajkiem, i mówi, że jego rodzice mnie kochają, on

mnie kocha, że muszę walczyć, bo może ta walka przyniesie jakiś skutek. To takie fantastyczne, ważne, niemierzalne! W tym zawodzie najważniejsze jest bowiem to, czego się nie da zmierzyć, wyliczyć, uchwycić. A my w Polsce robimy szkołę opartą o rankingi i wyniki. Taka szkoła okalecza i nauczyciela, i ucznia. Wiem, że muszę wybrać: albo ja i moja rodzina, albo praca w szkole. Przykro mi, że ktoś każe mi wybierać. Jestem w takim momencie życia, że jestem gotów zaryzykować. Wkurzył mnie ostatnio mój przyjaciel, powiedział: „Cały czas powtarzasz, że odejdziesz, a tak naprawdę nic nie robisz w tym kierunku". Miał rację. Nic nie robiłem. Za bardzo zależało mi na uczniach. Mówiłem sobie, że jakoś to będzie. Nie będzie. W tym roku zacząłem bardziej szanować swój czas, stawiać wyraźniejsze granice, odmawiać – także uczniom. Wiem, że jest we mnie jeszcze wielka pasja, ale wiem też, że mogę tę pasję wykorzystać w innym miejscu, niekoniecznie w szkole, bo ta pasja jest warta dużo więcej, niż zarabiam. Mam dosyć słuchania o sobie, że jestem nieudacznikiem i nierobem. Jeżeli nikt mnie nie zatrzyma, odejdę. Jestem otwarty na życie i coraz bardziej otwarty na zmiany.

ZROBIĆ COŚ Z NICZEGO

Monika Bereta

nauczyciel dyplomowany

Margonin, 21 czerwca 2019 roku

Dorota Kowalska: Z pani to taka współczesna siłaczka.

Monika Bereta: No nie, bez przesady.

Uczy pani w szkole, jest prezesem Stowarzyszenia Małe Radości, startowała pani w wyborach samorządowych, działa w Związku Nauczycielstwa Polskiego. Dużo jak na jedną osobę.

Od dziecka tak mam. Zawsze chciałam zrobić coś z niczego. Uwielbiałam na przykład przestawiać meble albo doprowadzać do stanu używalności coś, co było w ruinie. Potem ta moja chęć działania przeniosła się na życie szkolne, zawsze do wszystkiego się zgłaszałam...

Typowa prymuska.

(śmiech) Raczej społecznica. Trzeba było gdzieś pojechać, coś załatwić, coś zrobić, coś przygotować – byłam pierwsza. Bardzo chętnie uczestniczyłam i uczestniczę we wszelkiego rodzaju projektach czy innych szkolnych aktywnościach. To silniejsze ode mnie, bo leży w mojej naturze. Albo się to „coś" ma, albo się tego nie ma.

To „coś" to gen działania?

Można to i tak nazwać. Od dziecka miałam masę pomysłów, lubiłam nowe doświadczenia, stawiałam na umiejętności. To mi zostało do dziś. Wychodzę z założenia, że wszystko, czego się uczę, nawet jeśli dzisiaj z tego nie skorzystam, może mi się kiedyś przydać, a przy okazji sam proces uczenia jest zajmujący i rozwijający. To chyba wypływa z chęci poznawania świata, a w szerszej perspektywie z potrzeby radzenia sobie w życiu. Poza tym zawsze wychodzę do ludzi, cenię sobie osobisty kontakt

z drugim człowiekiem, to ludzie pozytywnie mnie nastrajają, czegoś ważnego uczą. Mam to szczęście, że poznaję ludzi, którzy mnie inspirują: ciekawych, niebanalnych. Kiedy spotkam taką osobę, mówię sama do siebie: „Przecież ja też mogę to robić!". I robię.

Czemu zapisała się pani do Związku Nauczycielstwa Polskiego?

Będę szczera: jako młoda nauczycielka nie miałam pojęcia, na czym polega praca w związku zawodowym, ale z czasem nabierałam przekonania, że trzeba coś zrobić dla nauczycieli. Tak naprawdę moja ścieżka zawodowa zaczęła się od pracy w gimnazjum. Nowa szkoła, nowi ludzie, bardzo mnie to wszystko ekscytowało, bo to był czas, kiedy gimnazja dopiero powstawały. Nauczyciele, którzy pracowali wówczas w szkołach średnich czy podstawowych, mieli odmienne odczucia, bo tracili godziny pracy, pewnie byli w rozterce. Dla mnie to był świetny okres w życiu, bo wraz z gimnazjami pojawiły się przede mną nowe perspektywy. Przeprowadziłam się do Margonina, nauczyciele języków obcych byli w cenie, język rosyjski stawał się językiem przeszłości, nikt nie chciał się go uczyć – modne były języki angielski i niemiecki, a że germanistów na rynku pracy było niewielu, bardzo o nas zabiegano. Nauczycieli zachęcano do przenoszenia się do małych miasteczek i wiosek. Oferowano im różne ulgi, pomoc, żeby tylko chcieli uczyć w miejscowych szkołach.

A gdzie pani pracowała wcześniej?

W szkole podstawowej w Wałczu. Już wtedy ktoś mnie zagadnął: „Czemu się pani nie zapisała do związku?". Właściwie nie wiedziałam czemu, ale kiedy przyszłam z Wałcza do Margonina, zaczęłam się dopytywać, czy w gimnazjum działają związki zawodowe. Dowiedziałam się, że jest w szkole komórka Związku Nauczycielstwa Polskiego, więc od razu: „To ja jestem chętna!". Miałam w głowie tysiące pomysłów, naczytałam się, ile można zrobić dla nauczycieli, że trzeba bronić ich praw, walczyć o lepsze warunki pracy, więc pierwsza rwałam się do tej walki. Szybko zapisałam się do związku i działam w nim do dziś.

Nauczyciele, którzy dzisiaj protestują przeciwko likwidacji gimnazjów, wtedy byli przeciwni ich tworzeniu. Pamięta pani?

Byłam wtedy młodym nauczycielem. Słyszałam o rozterkach, docierały do mnie głosy krytyczne. Jednak młodzi nauczyciele, tacy jak ja, zatrudniani w gimnazjach, byli przeszczęśliwi. Otwierały się przed nami nowe możliwości. Pracowaliśmy jeszcze w szkołach podstawowych, ale braliśmy też pierwsze klasy gimnazjalne, uzupełnialiśmy w ten sposób etaty. Potem, kiedy w gimnazjum pojawiły się trzy roczniki, zrobiliśmy się pełnoetatowcami, a w szkołach podstawowych dopełnialiśmy godziny albo zatrudniano w nich innych nauczycieli. Przychodziliśmy już tylko do pracy w gimnazjum.

Chciała pani bronić praw nauczycieli, ale macie dużo praw zawartych w Karcie Nauczyciela, której od lat się trzymacie i której nie chcecie zmieniać.

Karta Nauczyciela powstała po to, żeby chronić prawa nauczyciela, które musiały być kiedyś łamane czy też nie były przestrzegane w taki sposób, w jaki powinny. Sama Karta Nauczyciela nie jest dokumentem czy aktem prawnym, który całkowicie chroni nauczyciela. Pedagog, aby zostać nauczycielem mianowanym, być zatrudniony na czas nieokreślony, musi przejść poszczególne ścieżki awansu zawodowego, po każdym takim awansie dostaje ocenę dorobku zawodowego. Jeśli konkretny nauczyciel nie nadaje się do zawodu, istnieje możliwość, żeby otrzymał ocenę negatywną.

I co wtedy?

Daje mu się jeszcze jedną szansę – rok, żeby tę ocenę poprawił, zmienił metody pracy, swoje podejście do niej. Jeśli w ciągu tego roku nie udowodni, że nadaje się do zawodu, zostaje z nim rozwiązany stosunek pracy, traci posadę. Nie zgadzam się więc z zarzutem, że Karta Nauczyciela nas chroni. Mamy jeszcze inne akty prawne, które nas obowiązują i których musimy przestrzegać: ciąży na nas odpowiedzialność

dyscyplinarna, odpowiedzialność karna, odpowiedzialność za dzieci, mamy rzecznika dyscyplinarnego przy każdym wojewodzie. Możliwości ukarania nauczyciela czy wydalenia go z zawodu jest całkiem sporo. Ostatnia reforma sprawiła, że duża grupa nauczycieli zostanie zwolniona, przecież likwidowane są szkoły, więc to także furtka do pozbycia się nauczycieli, niekoniecznie tych złych, bo tacy oczywiście też się zdarzają, ale tych niewygodnych. Jako nauczyciele potrzebujemy poczucia bezpieczeństwa: musimy być neutralni, musimy przekazywać treści, które nie mają nic wspólnego z doktryną polityczną.

Musimy być pewni, że nikt nie będzie na nas wymuszał nauczania dzieci w taki czy inny sposób, bo rządy w kraju objęła partia X czy Y. To trochę jak z sędziami: sąd jest niezawisły, niezależny, to trzecia władza w kraju. Nauczyciele też muszą mieć poczucie niezależności.

Słyszała pani o przypadkach, kiedy niedobry nauczyciel traci pracę, bo dostaje negatywną ocenę i w ciągu kolejnego roku jej nie poprawia?

Powiem szczerze, że nie spotkałam się z takim przypadkiem. I w tym momencie możemy mieć pretensje do dyrektorów, którzy przyjmują negatywne sprawozdania ze stażów poszczególnych nauczycieli i nie podejmują niewygodnych decyzji, bo to jest, najzwyczajniej w świecie, trudne!

Dlaczego taka decyzja jest niewygodna?

Z czysto ludzkiego powodu: decyzje, które rozstrzygają o czyimś życiu, drodze zawodowej, karierze, mogą być dla przełożonych trudne. Nie każdemu wystarcza odwagi, żeby je podejmować, powiedzieć takiemu człowiekowi: „Słuchaj, będziesz świetny gdzie indziej, ale nie w zawodzie nauczyciela. Szkoła to nie twoje miejsce i nie twój świat". I najczęściej jest tak, że fakt, iż ktoś nie nadaje się do tego zawodu, wychodzi na jaw później. Nie na poszczególnych etapach awansu, ale podczas dalszej pracy zawodowej. Przychodzą sytuacje konfliktowe, one się kumulują, uczniowie i rodzice dostrzegają, że konkretny człowiek nie sprawdza się przy tablicy,

i sprawa, jak bumerang, wraca do dyrektora. Nie podjął wcześniej tej trudnej decyzji, musi ją podjąć teraz. Tyle tylko, że gdyby zdobył się na odwagę kilka lat wcześniej, oszczędziłby sobie być może wielu nieprzyjemnych sytuacji. Słyszałam jednak o sytuacjach, kiedy dyrektorzy przedłużali awans o rok, dawali nauczycielom szansę, aby ci się poprawili. Słyszałam również o komisjach – bo zanim nauczyciel awansuje, zdaje egzamin przed specjalną komisją – które nie nadawały stopni wyższych, bo uważały, że konkretny nauczyciel nie jest przygotowany do pracy w sposób właściwy.

Mówi się, że Związek Nauczycielstwa Polskiego jest bardzo silny, że z nauczycielami lepiej nie zadzierać. Wprawdzie do górników wam daleko, ale i tam jesteście zwartą grupą zawodową.

Ale to chyba dobrze: tak czy nie?

Dobrze, jak najbardziej!

Każdej grupie zawodowej potrzebny jest taki związek, który będzie reprezentował i bronił jej praw, czy to będą nauczyciele, pielęgniarki czy górnicy. To prawda, są grupy zawodowe, które mają bardzo silne związki zawodowe, i bardzo się cieszę, że my jako nauczyciele do tych grup zawodowych należymy.

Ale pani została zwolniona?

Tak.

Dlaczego?

Oficjalnie czy nieoficjalnie?

Zacznijmy od oficjalnych powodów.

Byłam zatrudniona w szkole podstawowej, potem w gimnazjum, teraz znowu w szkole podstawowej, bo po reformie wróciliśmy do niej

z oddziałami gimnazjalnymi. W związku z tym, że gimnazjum jest wygaszane, język niemiecki był w nim drugim językiem, a w szkole podstawowej będzie nauczany jedynie w klasach siódmej i ósmej, redukuje się godziny pracy dla nauczycieli niemieckiego. Ale nie tylko dla nas, podobny los spotyka chemików, fizyków, biologów, geografów. Ludzie zostaną na niepełnych etatach albo bez nich. I właśnie na tej podstawie dostałam wypowiedzenie umowy o pracę – to wersja oficjalna.

A nieoficjalna?

A nieoficjalna jest taka, że byłam w ostatnich wyborach samorządowych kontrkandydatką obecnego burmistrza w walce o fotel szefa gminy Margonin. Kampania wyborcza ma swoje blaski i cienie, gmina Margonin jest malutka: miasteczko i wioski, sześć tysięcy mieszkańców. Każdy z każdym jest powiązany, a im mniejsza gmina, tym większy wpływ wójta czy burmistrza na to, co dzieje się lokalnie, choćby w szkołach. Jeśli więc znalazła się nauczycielka, którą ludzie widzieli w fotelu włodarza, wybrali ją jako liderkę miejscowej opozycji, że tak to określę, to stała się niewygodna, stała się zagrożeniem.

To po co się pani wychylała?

Bo taka już jestem! Brałam pod uwagę różne konsekwencje mojej decyzji, czułam przez skórę, że może dojść do takiej sytuacji, chociaż wszyscy mnie zapewniali, że mam ochronę związku, że jestem pracownikiem pełnoetatowym, mieszkanką tej gminy od 20 lat, mam dorobek zawodowy, wielkie osiągnięcia, więc to niemożliwe, żeby mnie zwolniono. Koledzy i koleżanki wspierali mnie w decyzji o starcie w wyborach i tłumaczyli, że jestem bezpieczna. Jednak burmistrz, czyli organ prowadzący, podjął decyzję, że zabiorą dodatkowy język niemiecki klasom czwartym. Już we wrześniu dano mi do podpisania dokumenty ograniczające mój etat, nie zgodziłam się na to, bo to działanie niezgodne z procedurami i terminami. Pismo o zmianie zatrudnienia powinnam otrzymać do 31 maja. Nie podpisałam dokumentu, nie zgodziłam się na ograniczenie godzin pracy,

więc przydzielono mi dyżury w świetlicy. To był wrzesień, trwała kampania, chciałam zebrać jak najwięcej głosów – nie podjęłam studiów w kierunku nauczania innego przedmiotu. Mam naprawdę świetne wyniki pracy, liczyłam, że dyrektor będzie brał to pod uwagę.

Przegrała pani w wyborach?

Tak, przegrałam.

I została zwolniona?

Tak.

Jak się pani poczuła, kiedy usłyszała, że traci posadę?

Tak jak mówiłam, podświadomie czułam, że tak się może zdarzyć, że mogę zostać zwolniona. Podpowiadał mi to instynkt.

Załamała się pani?

Nie, nie załamuję się, ale pewnie gdybym nie była na to przygotowana, byłabym w szoku. Mam naturę wojownika, znam trochę świata, znam ludzi – wiem, że poradzę sobie w życiu. Irena Kwiatkowa w *Czterdziestolatku* cały czas powtarzała: „Ja jestem kobieta pracująca, żadnej pracy się nie boję", to powiedzenie pasuje do mnie idealnie. Na pewno się odnajdę, jak nie w szkole, to poza nią, gdzieś na pewno będę.

Pytam o to, bo krążą opinie, że nauczyciele to grupa ludzi zestresowanych, cierpiących na depresje, nadużywających środków uspokajających i alkoholu. Ostatnie reprezentatywne badania profesora Uniwersytetu Adama Mickiewicza doktora habilitowanego Jacka Pyżalskiego pochodzą sprzed dziesięciu lat, potem nikt się już nauczycielami nie zajmował. I już przed dekadą 86 procent nauczycieli miało poczucie, że ich obciążenia zawodowe są wyższe niż w innych profesjach. 20 procent zdradzało pełne objawy zespołu wypalenia

zawodowego, 16 procent mówiło o obciążeniu konfliktami w szkole. Natomiast jedna czwarta miała niskie poczucie sensu swojej pracy.

Tak, to jest problem, zdaję sobie z tego sprawę, ale chyba nie tylko nauczycieli, także innych grup zawodowych. Zgadzam się z opinią, że nauczyciele to ludzie zestresowani. Byłam młodą nauczycielką, nie znałam jeszcze realiów pracy w tym zawodzie, ale zauważyłam, że starsze koleżanki mają taki posępny, odstraszający wyraz twarzy. Mówiłam sobie wtedy: „Boże, jeśli ja mam wyglądać jak one za 20 lat, to dziękuję bardzo!". Ten stres maluje się na naszych twarzach. Z perspektywy czasu myślę, że on jest wpisany w nasz zawód: na każdym kroku musimy młodych ludzi upominać, musimy zwracać im uwagę, bo jeśli tego nie robimy, zaraz pojawia się zarzut, że powinniśmy nie tylko uczyć, ale i wychowywać. Nie spotykamy się zbyt często w innych zawodach z sytuacjami, kiedy ktoś komuś cały czas musi zwracać na coś uwagę. Przychodzą do nas rodzice dzieci, też mają pretensje, na przykład o oceny z zachowania, że niby za niskie. Często wyczuwamy w ich głosie agresję, złe nastawienie. To wszystko na nas wpływa. Jeśli przez dwadzieścia kilka lat mamy do czynienia z sytuacjami, które generują stres, to wyglądamy, jak wyglądamy, i czujemy się, jak czujemy.

A niektórym się wydaje, że niewiele robicie i macie sporo wolnego. Porozmawiajmy o waszym pensum: 18 godzin tygodniowo to rzeczywiście niezbyt dużo.

Czytałam na różnych forach negatywne opinie o naszym zawodzie i miałam wrażenie, że kiedy strajkowali po nas rehabilitanci, w dyskusji padały te same argumenty: „nieroby, jak im źle, to niech sobie wyjadą do Irlandii, Anglii i pracują tam, gdzie im będzie lepiej". Za rządów Donalda Tuska kilka milionów wykształconych Polaków wyjechało z kraju, obserwowaliśmy spory odpływ kadry intelektualnej. Martwimy się dzisiaj, kto nas będzie leczył, za chwilę będziemy się martwić, kto nas będzie uczył. Osobiście rozważam swoją dalszą pracę w zwodzie nauczyciela w Niemczech. Zrobię uznanie dyplomu i nie będzie dla mnie problemem

przeniesienie się do naszych zachodnich sąsiadów, uczenie tam mojego przedmiotu. Jeśli więc ktoś na forum używa takiego argumentu, to nie myśli przyszłościowo. I co jeśli iluś nauczycieli, którzy nadają się do tego zawodu, są wartościowymi ludźmi, dobrze wykształconymi, po pięcioletnich studiach magisterskich, a nie podyplomowych rocznych, postanowi wyjechać? Wie pani, na dzisiaj sprawa wygląda tak, że wszyscy, żeby zdobyć kwalifikacje do nauczania drugiego przedmiotu, robią roczne studia podyplomowe. Pytam: jaka będzie jakość nauczania tego drugiego przedmiotu? Nie wyobrażam sobie zrobienia rocznych podyplomowych studiów z chemii i uczenia tego przedmiotu dzieci czy młodzieży. Może będę potrafiła wytłumaczyć wszystkie zagadnienia, ale moja wiedza nie będzie porównywalna z wiedzą tego, kto skończył chemię na pięcioletnich studiach dziennych. Ale wróćmy do słynnego pensum.

Czyli tak zwanych godzin spędzonych przy tablicy?

Dokładnie tak: weźmy strażaka albo policjanta z drogówki. Kiedy jeden nie gasi pożaru, a drugi nie patroluje ulic, to znaczy, że nie pracują? Nie, pracują, są w gotowości, przygotowują się do akcji, ćwiczą, są pod telefonem. To nie jest tak, że pracujemy tylko wtedy, kiedy machamy łopatą. Ja jako nauczyciel dokształcam się, sprawdzam klasówki, zostaję po lekcjach ze swoimi uczniami, piszę projekty pozaszkolne i szkolne, przygotowuję uczniów do olimpiad przedmiotowych i sama siebie do lekcji. Cały czas muszę podnosić swoje kwalifikacje, bo nie jest tak, że mam wiedzę daną raz na zawsze. Dzieci się zmieniają, świat się zmienia, muszę być na bieżąco z mediami, z nowoczesnymi technologiami, także komunikacyjnymi. Dzisiaj dziecko potrafi się posługiwać laptopem czy telefonem komórkowym dużo lepiej niż dorośli. Nie mogę pozostawać w tyle, te dzieciaki nie mogą mnie we wszystkim przegonić, bo wtedy nie będę dla nich żadnym autorytetem. Idąc do tego zawodu, nie wyobrażałam sobie, abym siedziała za biurkiem i liczyła słupki.

A teraz pani siedzi i liczy?

A teraz się okazuje, że mam spotkania z młodzieżą, spotkania z rodzicami, muszę uzupełniać tysiące papierów: liczyć frekwencje, średnie, Bóg wie, co jeszcze. Całe szczęście, że do szkół wchodzi tak zwany e-dziennik, to na pewno bardzo duże ułatwienie w pracy nauczyciela, chociaż dla starszych nauczycieli może to być problem. Absolutnie nie zgadzam się ze stwierdzeniem, że praca nauczyciela to 18 godzin spędzonych w szkole na lekcjach. 18 godzin spędzonych przy tablicy i dziesiątki godzin pracy poza salą lekcyjną. Tylko nikt tego nie widzi. Nikt nie przyjdzie do mnie do domu i nie odnotuje, że klasówkę napisaną przez jedną klasę sprawdzam godzinę. A jeśli mam kilka klas? Owszem, można być nauczycielem, może są tacy, jak w każdym zawodzie, że zrobią trzy sprawdziany w ciągu półrocza, ale jeśli ktoś chce naprawdę nauczać, to musi się liczyć z tym, że będzie pracował dużo więcej ponad owe 18 godzin. Przede wszystkim musi się sam kształcić, aby wiedzę przekazać w sposób najbardziej atrakcyjny.

Nawet międzynarodowe rankingi pokazują, że polscy nauczyciele, w porównaniu z pedagogami z innych krajów europejskich, mało zarabiają, ale też mało pracują.

Jeśli tak pokazują rankingi, to trudno z tym dyskutować. Będąc w Niemczech, spotykałam koleżanki i kolegów nauczycieli, pytałam, jakie mają pensum. To bardzo różnie wygląda w zależności od landu, od typu szkoły. Na przykład nauczyciel w gimnazjum zarabia więcej niż w szkole podstawowej, czyli im młodsze dzieci w szkole, tym mniejsze zarobki nauczycieli. Są bardzo różne systemy wynagradzania – to raz. Dwa – bardzo często ci nauczyciele, czy nauczycielki, którzy mają pensum 24 godziny, pracują 16 godzin. Niemieccy nauczyciele już podczas studiów robią dwa kierunki, więc mogą uczyć dwóch przedmiotów. Moja koleżanka na przykład jest wuefistką i uczy równocześnie przedsiębiorczości, ale nie chce pracować 24 godzin, pracuje 16. Pytam: „Dlaczego pracujesz tylko tyle?". Nie chce więcej, za te pieniądze, które zarobi, może godnie żyć, wcale nie musi wyrabiać pensum. U nas gdyby pani posłuchała nauczycieli, którzy nie mają pełnego etatu czy mają sam goły etat, to pani usłyszy, że

nie są w stanie przeżyć do pierwszego. Bardzo trudno utrzymać się z tych pieniędzy. Kiedyś pracowałam na półtora etatu, miałam więcej w portfelu, ale byłam potwornie zmęczona, wyeksploatowana. Gdy przeszłam na gołe pensum, stwierdziłam, że ustalał je ktoś, kto wie, na czym polega praca w tym zawodzie. Dzisiaj mam więcej czasu dla uczniów, mam więcej czasu na przygotowanie się do lekcji, nie jestem zmęczona, nie padam na pysk. Mówię o tym z własnego doświadczenia. Przez wiele, wiele lat, kiedy język niemiecki był na topie, byłam rozchwytywana, pracowałam w trzech szkołach, miałam 36 godzin tygodniowo, tylko potem przychodziłam do domu i przez godzinę się nie ruszałam.

I dlatego Związek Nauczycielstwa Polskiego nie chce się zgodzić na tę propozycję podniesienia wam pensum?

Między innymi dlatego. Wie pani, co jeszcze idzie za podniesieniem nam pensum? Otóż nauczyciele, którzy nie mają uprawnień do nauczania dwóch przedmiotów, odejdą z pracy. Zwolnimy iluś tam nauczycieli, którzy skończyli pięcioletnie studia magisterskie, którzy byli wykwalifikowani, i przejdziemy na nowy system.

Jaki?

Taki, o jakim już wspominałam. Dam przykład: skończyłam pięcioletnie studia z germanistyki, zrobię sobie jeszcze podyplomowe z geografii i będę nauczać drugiego przedmiotu, żeby uzupełnić te 24 godziny, ale z mojego powodu zwolnią nauczyciela geografii, który ma magistra z tego przedmiotu. Więc po pierwsze – wielu nauczycieli straci pracę, po drugie – obniży się poziom nauczania, bo wielu przedmiotów będą uczyć ludzie po rocznych studiach podyplomowych z danego przedmiotu.

Dopytam jeszcze: co pani właściwie robi na co dzień jako związkowiec?

Opiniujemy różne dokumenty, które dostajemy od samorządu terytorialnego, w naszym przypadku od gminy. Często jesteśmy zapraszani na różnego rodzaju negocjacje. Musimy nasze koleżanki

i kolegów informować, jakie są zmiany w prawie. Jeśli dochodzi do jakichś konfliktów na linii rząd – zarząd główny ZNP i przystępujemy do strajku, musimy przeprowadzić całą procedurę legislacyjną. Nad tym musimy czuwać. Z przyjemniejszych obowiązków: organizujemy spotkania integracyjne na święta, wyjazdy, szczególnie dla nauczycieli, którzy nie są już w zawodzie. Wyjeżdżamy z nimi do teatru, kina, chcemy, żeby emeryci i czynni nauczyciele mieli ze sobą kontakt. Jako zarząd podejmujemy też różne uchwały zależnie od tego, jak układa się sytuacja w kraju – teraz mamy pogotowie strajkowe, więc jest sporo do roboty.

Pani jednak znalazła czas na inne aktywności. Skąd pomysł założenia Stowarzyszenia Małe Radości?

Swego czasu byłam na stanowisku wicedyrektora szkoły i razem z panią dyrektor cały czas słyszałyśmy, że nie ma dla nas pieniędzy. Cokolwiek chciałyśmy zrobić w szkole, nigdy nie było funduszy. Jak już mówiłam, lubiłam się szkolić, spotykać z ludźmi, bo dużo się od nich uczyłam, i ktoś mi kiedyś na takim szkoleniu powiedział: „Słuchajcie, jest taka książka, jak założyć stowarzyszenie". Wyszukałam sobie szybko w internecie tę książkę, zamówiłam i po jej przeczytaniu stwierdziłam, że to jest coś, w co chciałabym się zaangażować. Autorzy krok po kroku opisywali, jak można zaangażować ludzi w życie szkolne: dzieci, ich rodziców, nauczycieli, jak z jeszcze większą pasją wykonywać swój zawód. Sprzedawać trochę bardziej na zewnętrz to, co się robi. Zaprezentowałam ówczesnej pani dyrektor swoją wizję, zebrałyśmy piętnaście osób, tak zwany pierwszy komitet założycielski, przestawiłam zarys działania stowarzyszenia, zapytałam wszystkich, jak to widzą, i tak powstało stowarzyszenie. To był też czas, kiedy wszyscy mówili o środkach unijnych, tylko nikt, albo prawie nikt, nie wiedział, jak z tych środków korzystać, jak o nie walczyć. Nie umieliśmy pisać wniosków, nie mieliśmy doradców, nie było instytucji, które by nas tego uczyły, organizowałyby szkolenia.

Pani się tego wszystkiego nauczyła i zaczęła walczyć o unijne pieniądze?

Dokładnie tak. Dowiedziałam się, jak walczyć o unijne pieniądze. Zaczęłam pisać projekty, rozsyłać je po instytucjach. I udało się, dostaliśmy jako stowarzyszenie 60 tysięcy na organizację zajęć pozalekcyjnych. Bardzo nas to ucieszyło, bo nie mieliśmy pracowni komputerowej, brakowało sprzętu i właśnie na komputery postanowiliśmy przeznaczyć te pieniądze.

Cieszyliście się!

O Jezu, i to jeszcze jak! Tyle tylko, że potrzebny był tak zwany wkład własny. Cała szczęśliwa poszłam na sesję rady miasta i zapytałam, czy w ramach wkładu własnego możemy liczyć na osiem tysięcy złotych z samorządu, bo 52 tysiące pozyskałyśmy, ale całość projektu opiewa na 60 tysięcy. No i zaczęło się!

Co się zaczęło?

Nie dostałyśmy tych środków. Padały zarzuty, że zaskoczyłyśmy samorząd naszą prośbą, że budżet jest już ustalony i nic nie można zmienić, że trzeba było wcześniej o tym mówić. O czym miałam mówić? Że napisałyśmy projekt? Przecież nikt by mi z tego powodu nie dał pieniędzy, do końca nie wiedziałyśmy, czy nasz projekt zostanie przyjęty. Skończyło się więc na tym, że poszłyśmy do darczyńców, szukałyśmy sponsorów i to oni zapewnili nam te środki. Krótko mówiąc, uzbierałyśmy te pieniądze po ludziach. Ale nagle nasza gmina, a konkretnie jej włodarze, zrozumieli, że trzeba inwestować w stowarzyszenia, bo „skoro dziewczyny zdobyły pieniądze, to inni też mogą". Trzeba więc zakładać jak najwięcej stowarzyszeń, walczyć o dotacje. I tak w naszej gminie, właściwie w każdej wsi, w każdej szkole zaczęły powstawać stowarzyszenia.

Czyli pokazała pani ludziom, jak walczyć o środki unijne?

Właściwie tak, od nas się zaczęło.

Podobno nie zna pani pojęcia „nie da się". Przynajmniej tak o pani mówią.

(śmiech) Coś w tym jest. Jak słyszę: „nie da się", to wstępuje we mnie jakiś diabeł, muszę udowodnić, że się da. Jak można od razu zakładać, że coś się nie da zrobić? Przecież to jakiś absurd!

Związki, stowarzyszenie, chyba jeszcze samorząd, prawda?

W zeszłej kadencji byłam w radzie powiatu, a potem z moim komitetem startowałam w ostatnich wyborach samorządowych.

Kiedy pani znajduje na to wszystko czas?

Chyba jestem dobrze zorganizowana, wszystko obmyślam, zawsze układam sobie w głowie plan, w ogóle bardzo mi się chce. Kiedy mam chwilę spokoju, natychmiast coś sobie znajdę do zrobienia, bo musi się dziać. Skończymy z dziewczynami jakiś projekt w stowarzyszeniu i mówimy sobie: „Dobra, chwila spokoju, musimy odpocząć", bo jesteśmy strasznie tym wszystkim wyeksploatowane. Pisanie projektów to spore przedsięwzięcie, jego realizacja – jeszcze większe, przecież trzeba zebrać chętnych do tego projektu, wszystko zorganizować, potem projekt przeprowadzić, rozliczyć się z niego, a z każdym rozliczeniem przychodzi poprawka, więc trzeba się do niej ustosunkować – to kosztuje masę energii. „Dziewczyny, pół roku odpoczywamy!" – tak sobie mówimy na początku. I jeszcze nigdy tego pół roku nie przesiedziałyśmy spokojnie, bo za chwilę któraś nieśmiało rzuci: „Ale wiecie co, jest bardzo fajna rzecz do zrobienia". Niby miałyśmy się relaksować, ale kiedy pojawia się szansa na zdobycie pieniędzy, to walczymy, w szkole i gminie brakuje masę rzeczy.

Myśli pani, że tą swoją pasją, społecznictwem zaraża młodzież?

To zależy od projektu. Są takie, które strasznie się rozpędzają, w które młodzież mocno się angażuje. Polsko-Amerykańska Fundacja Wolności ma taki program „Równać szanse" – w nim już na etapie tworzenia projektu trzeba wypracować go z młodzieżą, wspólnie zastanowić się nad realizacją, więc młodzi ludzie krok po kroku mają dojść do tego, jak ten projekt ma

wyglądać. Ogromnie takie wyzwania lubią! Mieliśmy projekt o edukacji prawniczej: jeździliśmy raz w miesiącu na sprawę karną do Sądu Rejonowego w Wągrowcu. Młodzież bardzo się w takie inicjatywy włącza, zwłaszcza jeśli daje się jej możliwość decydowania, współtworzenia. Mieliśmy projekt przedstawień teatralnych dla dzieci i dorosłych, występowali w nich mieszkańcy naszej gminy: ludzie chętnie przychodzili zobaczyć swoich sąsiadów, którzy wcielali się w jakieś role. Spotykamy się na drodze, mówimy sobie „Dzień dobry", a tu nagle nasz sąsiad Janek zostaje wilkiem w *Jasiu i Małgosi*. To ludzi bardzo uaktywniło i zbliżyło do siebie.

Skąd bierze pani tyle energii?

Mówiłam już, taka jestem od dziecka. Wspominam swoją babcię, ona była osobą niesłychanie pracowitą i zawsze mi powtarzała: „Głupi zawsze sobie robotę znajdzie". Nie wiem, czy to się nadaje do druku…

Nadaje, nadaje. Mój tata powtarzał, że niektórych robota kocha.

Więc moja babcia nigdy nie potrafiła usiedzieć na miejscu, ciągle musiała coś robić. I chyba mam coś po niej, bo nie cierpię stagnacji. Taki stan codzienności nazywam nudą. Ktoś powie, że żyje komfortowo, bo ma dużo czasu, niewiele się udziela, zajmuje się sobą, a ja taki komfort nazywam nudą. Muszę się realizować na zewnątrz, muszę działać: kiedy nie robię projektu, jadę na jakieś szkolenie, bo bardzo się na tych szkoleniach nakręcam, dostaję powera na kolejne dwa lata.

Co jest dla pani w pracy z młodzieżą najważniejsze?

Żeby dziecko zawsze czuło, że może przyjść do mnie, swojego nauczyciela, porozmawiać i zawsze uzyska pomoc. Po latach pracy uważam to za najważniejsze. Zaufanie, które się między nami buduje. Fakt, że uczeń widzi we mnie osobę, do której zawsze może zgłosić się ze swoimi problemami. Młodzi nauczyciele myślą, że zawojują świat, z upływem czasu zmieniają się priorytety. My się zmieniamy, zmienia się nasze

podejście do uczniów, do nauczania. Kiedy przychodziłam do pracy, mówiłam sobie: „Ja nauczę wszystkich!", bo jak można nie nauczyć? Dzisiaj mówię: „Nie, przede wszystkim muszę młodego człowieka przygotować do dorosłego życia". Mam go wyposażyć w wiedzę, ale ta wiedza ma mu służyć do tego, żeby potrafił się odnaleźć w życiu. Do takiego stanu umysłu nauczyciele dochodzą powoli, widzę to po sobie – jak zmieniają się moje priorytety, mój pogląd na kształtowanie młodego człowieka.

Jak pani ocenia dzisiejszą młodzież? Jacy to są ludzie?

Bardzo kreatywni, lecz także bardzo rozleniwieni przez to, że wszystko mają podane na tacy. Kiedyś, 20, 30 lat temu, żeby zaczerpnąć jakichś informacji, trzeba było wyjść z domu. Tak było w moim przypadku: żeby się czegoś dowiedzieć, trzeba było iść do biblioteki, znaleźć pewne rzeczy, skserować albo wpisać do zeszytu, spotkać się z tymi, którzy wiedzieli. Więc musieliśmy się ruszyć, żeby nauczyć się czegoś nowego. Dzisiaj dzieciaki mają wszystko w telefonie, mogą wszystko znaleźć w internecie. To okropnie rozleniwia. Bardzo ciężko jest pobudzić takiego młodego człowieka, bo on nie chce wyjść ze swojego internetowego świata, nie chce opuszczać swojej strefy komfortu. Trudno rezygnować z wygody, prawda? Po co czytać, szukać, spisywać, jak można ściągnąć coś z sieci? Wiedza młodych ludzi jest bardzo powierzchowna, ulotna. Ale z drugiej strony, jeśli tego młodego człowieka wyposażymy w odpowiednie środki, postaramy się, żeby się zaangażował i pozwolimy mu skorzystać z tych wszystkich technologicznych zdobyczy, to może nas bardzo pozytywnie zaskoczyć. Młodzi ludzie potrafią być wyjątkowi. Mamy na przykład nakręcone sceny, z których chcielibyśmy zmontować film, jeśli znajdziemy takiego frika komputerowego, kogoś zupełnie zwariowanego na punkcie komputerów, to on nam ten film zmontuje w ciągu godziny i będzie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Najważniejsze i najtrudniejsze dzisiaj to trafić do nich, zainteresować ich czymkolwiek i namówić, aby skorzystali z tego, co mają pod nosem. Ale jest też dzisiaj bardzo duży dysonans między młodymi ludźmi.

Co to znaczy?

Jest młodzież bardzo ambitna, od razu wyłapuje się takie jednostki, bo rzucają się w oczy. Tacy ludzie często idą do szkół prywatnych albo renomowanych, odchodzą ze szkół zbiorczych, gminnych, tracimy na tym. Druga grupa to lenie, którzy nie widzą sensu w nauce, bo też nie trzeba zbyt dużego wysiłku, by uzyskać w szkole ocenę dopuszczającą, która umożliwia zdanie do następnej klasy. Uczeń musi praktycznie nic nie robić w szkole podstawowej, aby dostać jedynkę na koniec roku czy na półrocze. Dzieciaki to widzą i wykorzystują, dla nich samo zdobywanie wiedzy nie jest inspiracją. Więc istnieje duża przepaść między tymi, którzy mają jakieś ambicje, chcą się rozwijać, mają wizję, pasje, pomysł na siebie, a tymi, którym się po prostu nie chce.

Jak pani myśli, co szwankowało w polskim systemie edukacji przed ostatnią reformą?

Powiem tak: najpierw zachłysnęliśmy się gimnazjami. Mówiliśmy, że będzie pięknie, tak jak powinno być. Było pięknie przez trzy, cztery lata. Potem przyszedł trudny czas nagonki na gimnazja, zgadzałam się z wieloma zarzutami pod ich adresem, bo w gimnazjach pojawiła się bardzo trudna młodzież. Moim zdaniem taki stan rzeczy był pokłosiem tego, że Polska przechodziła właśnie transformację: wielu rodziców straciło pracę, było spore bezrobocie, wiele rozbitych rodzin, zdarzało się, że jedno albo dwoje rodziców pracowało za granicą, a dzieci wychowywali dziadkowie. To wszystko odbijało się na tych dzieciakach. Przynosiły swoje frustracje i agresję do szkoły. Przypominam sobie lata, kiedy zatrudnialiśmy w gimnazjum tak zwanych bodyguardów, czyli ochroniarzy – krążyli po terenie szkoły, po boisku i wychwytywali tych, którzy palą, biją się, uciekają, nie przychodzą na lekcje. Społeczeństwo było oburzone, że gimnazja w ogóle powstały, wszyscy mówili: „Co żeście zrobili tej młodzieży? Spędziliście ją w jedno miejsce w tym głupim, cielęcym wieku. Myślą sobie teraz, że wszystko im wolno, bo przyszli do nowej szkoły, a są prawie dorośli". Stopniowo jednak sytuacja zaczęła się

poprawiać, oczywiście nie z roku na rok, powoli. Nagle do gimnazjów zaczęły przychodzić spokojniejsze roczniki, zrezygnowaliśmy z ochroniarza, wystarczyły kamery na głównych korytarzach i przed szkołą. Sytuacja się ustabilizowała, mogliśmy normalnie pracować, nie musieliśmy się bać o bezpieczeństwo uczniów czy własne, bo wcześniej, proszę mi wierzyć, pojawiały się groźby słowne w stosunku do nauczycieli, porysowane samochody... W gimnazjum było bardzo niebezpiecznie.

Uważa pani, że to skutek transformacji?

Tak, jestem o tym przekonana. I potem, jak powiedziałam, stopniowo ta młodzież zaczęła się wyciszać. My, nauczyciele, mamy swoje metody pracy z tymi najtrudniejszymi jednostkami, szkolono nas i pedagogów, jak z takimi uczniami postępować. I kiedy sytuacja się wyklarowała, kiedy ją opanowaliśmy, a w gimnazjach zaczęto pracować tak, jak powinno się to robić, zapadła decyzja, aby je rozwiązać.

Zdenerwowaliście się?

Oczywiście. Kiedy już wypracowaliśmy odpowiednie metody nauczania, wychowania, kiedy po 20 latach doszliśmy do konsensusu, wiedzieliśmy już, jaka młodzież do nas przychodzi, jakie ma problemy, to stwierdzono: wracamy do starego.

Stąd to oburzenie nauczycieli na reformę Anny Zalewskiej?

Dokładnie tak. To zdenerwowało nauczycieli gimnazjów, bo one nareszcie zaczęły funkcjonować tak, jak powinny. I w tym momencie mówi się nam: „Nie, nie, te gimnazja to jakąś pomyłka! Są fatalne". No nie, nie są fatalne!

A nie jest trochę tak, że przychodzi kolejny rząd, wprowadza zmiany i zostawia nauczycieli samym sobie? Mówi: radźcie sobie!

Ależ oczywiście, że tak jest! To w naszym zawodzie bardzo frustrujące. Rząd PO-PSL wymyślił w pewnym momencie, że do szkoły będą przychodzić sześciolatki. A co się z tym wiązało dla nauczyciela? Nowa

podstawa programowa, zmiana treści programowych, inne nauczanie. Potem przyszedł rząd Prawa i Sprawiedliwości i stwierdził, że nie, sześciolatki nie pójdą do szkoły, więc znowu zabrakło jednego rocznika w szkole – część nauczycieli straciła albo godziny pracy, albo zatrudnienie w ogóle. No i mamy kolejną podstawę programową. Brak stabilizacji w tym zawodzie, wynikający z tego, że cały czas wprowadzane są zmiany, nie pomaga w pracy. Już nie mówię o reformie wprowadzającej, a potem likwidującej gimnazja – jedna i druga była dla nauczycieli frustrująca.

Słucham dyrektorów szkół średnich i słyszę, że to oni muszą znaleźć miejsca dla podwójnego rocznika, ułożyć plan lekcji, pomieścić jakoś tych młodych ludzi w swoich szkołach. Wszystko na ich barkach, pomocy z zewnątrz nie widać.

Oczywiście, że to wszystko spada na nas, to my jesteśmy obciążani wszystkimi zmianami. Przychodzą do nas potem rodzice, którzy słusznie chcą, aby ich dzieci miały jak najlepsze warunki do nauki, wiedzą, że mają prawo żądać od szkoły pewnych rzeczy, i żądają. Kiedy wchodziły do szkół sześciolatki, stworzono przepis, który mówił, że w klasach muszą być dywany, bo dzieci częściej będą miały przerwy, będą więc mogły usiąść czy nawet się położyć na podłodze. Szkoły nie miały na stanie dywanów, część zaopatrzyła się w nie na czas, część nie, więc przychodzili rodzice i dopytywali o te nieszczęsne dywany. To wielkie obciążenie także dla samorządów, które na reformy muszą wydawać pieniądze z własnych budżetów, a średnio co trzy lata wprowadzane są jakieś zmiany, które dotyczą naszej pracy. Nie mówię już o tym, że szkoły powiatowe są niedofinansowane, że nauczyciele sami kupują sobie papier do ksero, podręczniki. Dzisiaj jest lepiej, nauczyliśmy się mówić: „Przepraszam, nie będę kupował papieru do ksero, bo powinien zapewnić mi go zakład pracy". Tak, nauczyciele w ostatnim czasie czegoś się nauczyli. Nauczyli się mówić: „Nie".

Co pani zamierza teraz robić? Jaką decyzję pani podjęła?

Mam kilka pomysłów na siebie, będę szła kilkoma torami, a co dokładnie wybiorę, to się dopiero okaże. Pracuję nad sobą, zdobywam kolejne kwalifikacje, za chwilę będę mogła wykonywać inny zawód. Na nauczaniu świat się nie kończy. Chociaż ono zawsze było moją pasją, podchodziłam do tego zawodu z sercem. Dowód? Moje wyniki nauczania, zaangażowanie w pracę dla miejscowej społeczności. Przecież prowadziłam projekty, w których uczestniczyła nie tylko młodzież, lecz także lokalni mieszkańcy.

Nie szkoda pani szkoły?

Szkoda mi szkoły i dlatego, jak już wspomniałam, myślę o Niemczech, ale także o szkole średniej, bo ma się w niej pojawić skumulowany rocznik, a ja zawsze chciałam przygotowywać młodych ludzi do matur. Kiedy w gimnazjum niemiecki był językiem rozszerzonym, przychodziły do nas dzieciaki, które tego języka uczyły się w szkole podstawowej, mogłam prowadzić zajęcia na poziomie zaawansowanym. Teraz przychodzą do mnie uczniowie, którzy niczego nie potrafią. To jednak zupełnie inna nauka. Przygotowanie do matury jest wyzwaniem, bo rozumiem, że w szkole średniej będę miała młodzież, która już w gimnazjum uczyła się języka niemieckiego przez ostatnie trzy lata. Taka nauka języka jest ciekawsza dla nauczyciela.

Pani jest nie do złamania!

Tak, bo jestem optymistką. Uważam, że jeden etap życia się zamyka, a inny otwiera. Zmiany mnie budują, bo mam wrażenie, że otwierają się przede mną kolejne drzwi. Nie traktuję zwolnienia z pracy jako porażki, zrobiłam dużo: jesteśmy klasyfikowani także przez Okręgową Komisję Egzaminacyjną, przez wiele lat byłam pierwsza w rankingu, najlepiej oceniana w naszej szkole. Spełniłam się w swojej pracy, jestem dumna z moich uczniów.

Może jednak szkoda, że tacy nauczyciele opuszczają polskie szkoły?

Cóż mam pani powiedzieć? Pewnie szkoda.

A tak po ludzku, nie jest pani przykro?

Jest mi bardzo przykro. Zostawiam w tyle 20 lat w murach margonińskiej szkoły. Rozstaję się nagle z moimi koleżankami i kolegami, uczniami, wychowankami, z którymi się zżyłam i byłam ich wychowawcą. W pamięci mam wspólne projekty, filmy, wyjazdy, spotkania. To był wspaniały czas z młodzieżą, czas niebanalnych przedsięwzięć, międzynarodowych projektów, kręcenia zwariowanych filmów czy reportażu dla niemieckiego programu *Kowalski spotyka Schmidta* dla berlińskiej telewizji publicznej RBB. Tego się nie zapomina. Moja „dusza", mam nadzieję, pozostanie jeszcze przez chwilę z nimi w pracowni języka niemieckiego. Malowidła wykonane przez uczniów przy wejściu do pracowni, wewnątrz olbrzymia fototapeta sugerująca wejście w nieznany świat, piękne zdjęcia niemieckich miast. Ta pracownia stworzona przeze mnie i uczniów, taka oaza. Inna niż wszystkie pozostałe w szkole. Tylko ona im po mnie zostanie i wspomnienia, które, jak wiemy, z czasem niestety się zacierają.

NIE TYLKO PRZY TABLICY

Jolanta Jastrzębska

nauczyciel dyplomowany

Domanice-Kolonia, 10 czerwca 2019 rok

Jolanta Jastrzębska, rocznik 1983: szczuplutka, wysoka, blond włosy przycięte do ramion. Poniedziałek, 10 czerwca, zaczyna jak co dzień, wstaje o 5.00: szybki prysznic, kawa, jakiś twarożek albo serek wiejski. Nie jada dużych śniadań. Zanim wyjdzie do szkoły, przegląda pocztę, odpowiada na służbowe maile. Dzisiaj o 7.30 ma spotkanie z jednym z rodziców, więc musi się spieszyć. Mieszka w pobliżu szkoły, 10 minut spacerkiem.

– Chodziłam do tej szkoły, nawet lekcje mam w klasie, w której kiedyś sama się uczyłam – opowiada.

Szkoła w Domanicach-Kolonii, 18 kilometrów od Siedlec, stoi przy samym wjeździe do wioski: kameralna, nie przypomina szkolnych molochów. Chociaż uczniów jest sporo: prawie 200. I 20 nauczycieli. Przez ostatnie lata było tu także gimnazjum, ale już nie będzie, ostatnia gimnazjalna klasa czeka na wyniki egzaminów i odlicza dni do wakacji. Jest też oddział przedszkolny, jak tu mówią, maluchy.

Jolanta jest w szkole o 7.20, nie lubi się spóźniać. Rodzic jednej z uczennic przychodzi punktualnie, zamykają się w klasie, rozmawiają jakieś 15 minut. W szkole coraz gwarniej. Są dzieciaki, jest młodzież z pierwszymi objawami trądziku. Zbijają się w grupki, rozmawiają. Klasówek już nie ma, większość uczniów ma już powystawiane oceny, niektórzy jeszcze próbują je poprawiać, walczą o lepszą średnią albo świadectwo z paskiem.

O 7.50 Jolanta Jastrzębska zaczyna dyżur. Chodzimy szkolnym korytarzem, a ona opowiada: skończyła szkołę podstawową, potem wybrała liceum w Siedlcach jak większość dzieciaków z okolicy. Chciała studiować psychologię w Warszawie, ale to wiązało się z wyprowadzką,

wynajmowaniem mieszkania i życiem w stolicy, rodziców nie było stać na taki wydatek. Zresztą nie chciała zostawiać ich samych. W liceum polubiła język angielski, ma talent lingwistyczny, pomyślała więc, żeby pójść do siedleckiego Nauczycielskiego Kolegium Języków Obcych. Świetna szkoła, szkoda, że już jej nie ma. Zrobiła licencjat z języka angielskiego. Pierwsze lata pracy to było zupełne wariactwo: lekcje od rana do wieczora w kilku szkołach, także prywatnych językowych. Musiała jakoś żyć, a pensja początkującego nauczyciela to marne pieniądze. Po kilku latach postanowiła przystopować, doszła do wniosku, że „łapanie kilku srok za ogon" nie ma sensu. Poza tym była po prostu zmęczona. Została w szkole w Domanicach-Kolonii. Znalazła czas na ukończenie studiów magisterskich. Uczy w klasach I–VIII, ma też lekcje z ostatnią klasą gimnazjum – w sumie 32 godziny tygodniowo.

***

O 8.00 zaczyna pierwszą lekcję, właśnie z gimnazjalistami, ma grupę średnio zaawansowaną, jedenaście osób. Przychodzi ósemka. Ale czekają jeszcze 10 minut, bo autobus, którym dojeżdża młodzież z kilku pobliskich miejscowości, jest w Domanicach kilka minut po ósmej. Dzisiaj nikt się nie spóźnia, kilku uczniów po prostu nie pojawiło się w szkole.

Ci, którzy przyszli, rozwiązują quiz klasowy.

Gimnazjaliści są rozmowni: dwóch Jakubów i dwóch Kacprów idzie do Technikum Elektrycznego w Siedlcach. Świetna szkoła, mają ciekawe kierunki, no i potem można pójść na studia. Mateusz wybrał technikum kolejowe, Kasia, wysoka, z szerokim uśmiechem, technikum żywieniowe. Nie wiedzą jeszcze, co będą robić w czasie wakacji, na razie czekają na wyniki egzaminów, będą za cztery dni – w piątek, 14 czerwca. W tym roku do szkół średnich idą dwa roczniki, więc będzie trudniej niż zazwyczaj. Na początku lipca powinni wiedzieć, czy dostali się do swoich wymarzonych szkół. Stresują się?

– Może trochę – odpowiadają niemal jednocześnie.

Jolanta Jastrzębska otwiera komputer, wyświetla quiz na tablicy, a oprócz tego rozdaje wszystkim skserowane kartki z quizowymi pytaniami. Rozwiązują zadania z wiedzy o świecie, trzeba wykazać się znajomością geografii, polityki, sportu, historii. Nauczycielka puszcza muzykę popową. Młodzież tak dzisiaj uczy się angielskiego: słucha muzyki i ogląda seriale, więc trzeba nadążać za trendami. Rozmawiają po angielsku, czasami wtrącą jakieś polskie słowo.

– Rozumiecie pytania? – dopytuje Jastrzębska. Potakują głowami.

Kasia szeptem opowiada, że na egzaminach najłatwiejsza była historia, najtrudniejsza matematyka i przedmioty przyrodnicze. Dobrze wspominają gimnazjum, wielu z nich chodziło tu do podstawówki.

Na koniec lekcji układają własny quiz. I częstują Jolantę Jastrzębską cukierkami, tak na pożegnanie. Jutro rada pedagogiczna w gimnazjum, w środę – w szkole podstawowej. Trochę smutno.

Kolejna przerwa i kolejny dyżur na korytarzu.

***

Druga lekcja jest mocno kameralna – dwóch uczniów z orzeczeniami o potrzebie kształcenia specjalnego. Ma z nimi osobne zajęcia. Przychodzi tylko Maciej z burzą czarnych włosów nad czołem i grubymi szkłami na nosie. Właśnie z powodu wady wzroku to orzeczenie. Maciek nie usiedzi spokojnie na miejscu.

– To co miałeś powtórzyć i poprawić? – pyta Jolanta Jastrzębska; bije od niej spokój, to nie jest typ choleryczki, która biega po klasie i wymachuje kredą.

Maciek odpowiada, że „miał się nauczyć po angielsku o filmach i programach", jest nauczony i już teraz „może mu pani wpisać piątkę".

Jolanta Jastrzębska uśmiecha się leciutko, odpytuje Maćka. Uczył się, to widać, ale nie zna odpowiedzi na wszystkie pytania.

– Dwójka będzie? – dopytuje zatroskany.

– Czwórka – mówi Jastrzębska i wstaje.

Maciek podbiega, chwyta ją wpół i przytula. Wszyscy w szkole znają Maćka: dobry dzieciak, chociaż trochę narwany.

Do klasy wbiega Klaudia Olszewska, nauczycielka w oddziale przedszkolnym. W piątek mają debatę o systemie oceniania zachowania w szkole. Rodzice zgłaszają zastrzeżenia, więc zorganizowali spotkanie: będą uczniowie, nauczyciele, ktoś z gminy i kuratorium. Olszewska i Jastrzębska są odpowiedzialne za przygotowanie tej debaty. Muszą nakręcić i zmontować film, który ją zapowie i na którym sami uczniowie wypowiedzą się na temat tego, jak są oceniani. Maciek wraca do swojej klasy, która ma lekcję polskiego. Klaudia Olszewska chwyta za telefon i ruszają nagrywać. Jest już Ala, ósmoklasistka, przewodnicząca samorządu uczniowskiego – będzie w filmie narratorem i jednocześnie przewodnikiem po szkole. Ali jest wszędzie pełno; szczupła, proste włosy do pasa, wielkie oczy. Lubi tę szkołę. Chodziła tutaj od początku, zawsze aktywna, zawsze chętna do pomocy. W tamtym roku też była w samorządzie, w tym roku wybrali ją na przewodniczącą.

Kolejna przerwa, kolejny dyżur na korytarzu. Coraz głośniej, coraz bardziej gorąco.

– Egzaminy ósmoklasistów były dużo trudniejsze niż te w gimnazjach – opowiada Jolanta Jastrzębska. – Ósmoklasiści są więc trochę poszkodowani, także dlatego, że musieli materiał z trzyletniego gimnazjum przerobić w dwa lata. W każdym razie ja uczyłam w ostatnich dwóch klasach szkoły podstawowej i gimnazjum tego samego – tłumaczy.

Uważa, że likwidacja gimnazjów była błędem. Maluchy i nastolatki to przepaść, dwa różne światy. Różne problemy. Młodzi ludzie, już nie dzieci, ale jeszcze nie dorośli, powinni mieć swoją szkołę, miejsce, które będzie tylko ich. Z takimi ludźmi inaczej się rozmawia, inaczej się ich uczy.

Pokazuje nagrane sceny do filmu. Jedna z uczennic: „Chcemy, żeby w systemie ocenienia zachowania był brany pod uwagę wolontariat pozaszkolny. Ja na przykład udzielam się w schronisku dla psów w Wiśniewie. Jeżdżę tam dwa razy w tygodniu i wyprowadzam psy, ale nie dostaję za to dodatkowych punktów". Jeden z uczniów: „Osoby niezbyt

aktywne na terenie szkoły mają trudność w zdobyciu zachowania wzorowego, mimo że szanują innych i nie sprawiają trudności wychowawczych". Uwag jest jeszcze kilka: każdy uczeń ma na początku określoną liczbę punktów, może je tracić albo dostawać kolejne. Tyle tylko, że zdaniem uczniów bardzo trudno o zachowanie wzorowe. Jeden z siódmoklasistów: „Czasami mówimy nauczycielom, że czegoś nie zrobiliśmy, ale nam nie wierzą, nawet jeśli mamy na to świadków".

***

Na trzecią lekcję przychodzi klasa siódma. Bartosz, ich starszy o rok kolega, przedstawia prezentację „Życie w USA – *American dream*". Opowiada o tym, jak wygląda rzeczywistość za oceanem, czy trudno jest znaleźć pracę, jakie są ceny, co warto w Stanach zobaczyć. Pozostali słuchają z zainteresowaniem. Tylko Przemek nie może usiedzieć na miejscu, wrócił niedawno z rodziną z Irlandii. Zaczepia kolegów, stroi miny. Jolanta Jastrzębska zwraca mu uwagę, chłopiec uspokaja się zaledwie na kilka minut.

Przemek siedzi w ostatniej ławce, tuż obok wielkiego Big Bena, do złudzenia przypominającego londyński oryginał, dzieciaki zrobiły go z kartonów. Na ścianach flagi Wielkiej Brytanii, gazetka o królowej Elżbiecie II. Jastrzębska otwiera jedną z szaf: stosy sprawdzianów, sterty papierów.

– To moje weekendowe zajęcia. – Wzrusza ramionami.

Od poniedziałku do piątku ma po sześć, siedem lekcji. Wolne robi sobie tylko w soboty, w niedziele zaraz po śniadaniu siada do pracy. Stawia bardzo dużo ocen, często robi sprawdziany. Ale też wychodzi z założenia, że nauka języka to przede wszystkim systematyczna praca, codzienne powtarzanie słówek i gramatyki. Chce, żeby jej uczniowie to zrozumieli, żeby nabrali odpowiednich nawyków. I stąd takie metody nauczania. Tylko że klasówki trzeba później sprawdzić i ocenić. Nie jest w stanie zrobić tego w tygodniu, więc zostają niedziele.

Na przerwie większość uczniów wychodzi na boisko. W pokoju nauczycielskim głośno o zbliżającej się klasyfikacji. Jastrzębska uśmiecha się, niektórzy z nauczycieli, z którymi dzisiaj pije kawę, uczyli ją w szkole podstawowej.

– Ale nie miałam z tym problemu, ten fakt mnie nie paraliżuje – mówi.

Była dobrą uczennicą. Swoich nauczycieli wspomina z sentymentem. Ci dobrze o niej mówią, a dzisiaj chwalą za podejście do uczniów i świetną pedagogiczną robotę.

***

Kolejna lekcja – tym razem klasa szósta. Projekt: „*All about me*. Wszystko na temat podawania informacji osobowych". Coraz trudniej się skupić. Nauczyciele prowadzą lekcje przy otwartych drzwiach. Upał.

Szóstoklasiści otwierają książki. Dostają skserowane kartki z zadaniami pomocniczymi. Nauczycielka każdą lekcję próbuje urozmaicić: przynosi całą masę materiałów. Chce, żeby zajęcia były ciekawe, żeby to było coś więcej niż tylko przerabianie ćwiczeń z podręczników.

– Młodzież chyba mniej chętnie się uczy, jest tyle ciekawszych rzeczy do robienia – uśmiecha się. – Chociaż to różnie bywa. Mam koleżankę w Siedlcach, jej córka ma najniższą średnią w klasie – 4,45. W naszej szkole, w klasie ósmej czy w trzeciej gimnazjum, to jedna z najwyższych – konstatuje.

Ona sama uczy się nieustannie. Na Facebooku jest w grupach skupiających nauczycieli: wymieniają się pomysłami, spostrzeżeniami, jeździ na kursy do Samorządowego Centrum Doradztwa i Doskonalenia Nauczycieli w Siedlcach, szkoli się online, ogląda na YouTubie filmy o tym, jak pracują amerykańscy nauczyciele.

– Mam porównanie szkoły amerykańskiej i naszej – mówi.

– I jak wypadamy? – dopytuję.

– Marnie. To nie jest prawdziwe nauczanie. Gnamy z programem, robimy wszytko, żeby zdążyć. Nie ma czasu na prawdziwą naukę, na

dogłębne nauczenie, powtarzanie materiału, na indywidualne podejście do ucznia – wylicza jednym tchem.

Tak, popierała protest nauczycieli. Sprawa zarobków była drugorzędna. Chodziło głównie o reformę edukacji, która jest transformacją wyłącznie na papierze. Nic się nie zmieni. Formalnie znikną gimnazja, ale nauczanie będzie wyglądać tak jak do tej pory – będą realizować program szybko, na bezdechu. Uczyć rozwiązywania testów, nie będzie czasu na rozmowę, na powtórki, na analizę.

– Strajkowaliśmy w szkole, chociaż zwolennicy protestu wygrali w głosowaniu chyba jednym głosem – mówi.

Na przerwie w stołówce podają zupę neapolitańską. Jest całkiem dobra, z makaronem i żółtym serem startym na tarce. Jastrzębska macha ręką.

– Niech pani idzie, nie jestem w stanie jeść w tym upale – mówi. Zostaje w klasie i przegląda jakieś papiery.

***

Do sali wchodzi klasa piąta, w której ma wychowawstwo. Jest w niej niesforny Maciek, patrzy na mnie i uśmiecha się od ucha do ucha. Dzisiaj mają lekcję o wskazywaniu drogi, ale zanim do niej przejdzie, sprawdza obecność, zbiera składkę – po 17 złotych na piknik, który organizują w środę 12 czerwca. Będzie pizza i jakieś napoje. Rozmawiają o debacie i o poniedziałkowym rajdzie, na który wybierają się całą klasą.

Wreszcie otwierają książki, a ona komputer. Na tablicy wyświetla zadania. Powtarzają na głos kolejne angielskie zwroty. Maszerują ulicami miasta, skręcają w prawo i w lewo, przechodzą koło różnych instytucji, przez przejście dla pieszych.

– A teraz pochodzimy trochę po szkole – mówi Jastrzębska.

Patrzą po sobie z niedowierzaniem.

– Jak to? – Po klasie przechodzi szmer.

– Zobaczycie, no zbierajcie się, wychodzimy – uśmiecha się.

Stają wokół niej, każdy chce być jak najbliżej. Zadanie jest proste: jeden z uczniów pyta, jak dojść w określone miejsce w szkole, drugi mu odpowiada. Idziemy na boisko, pod salę z numerem 31, pod stołówkę. Zmieniają się pytający i udzielający odpowiedzi. Tuż przed przerwą wracamy do klasy. Dzwoni dzwonek, ale dziewczyny biegną do jej biurka: jedna chwali się ocenami, jakie będzie miała na świadectwie, druga dopytuje, co będzie na pikniku, trzecia opowiada, gdzie jedzie na wakacje. Nie odstępują jej na krok.

Uważa, że w tej pracy najważniejsi są oni – uczniowie, bardzo sobie ceni kontakt z młodzieżą, dzięki temu, jak sama mówi, nie gnuśnieje, jest otwarta na nowości.

– Dzieciaki mnie inspirują – nie ukrywa.

Nie ma swoich pupilów, wszystkich traktuje tak samo. O każdym, po tym, jak opuści szkołę, myśli z sentymentem. Zresztą Domanice-Kolonia to malutka wioska. Spotyka swoich byłych uczniów, już dorosłych, w sklepie albo po prostu na drodze. Zazwyczaj wie, co się u nich dzieje, jak sobie poradzili w życiu. Ale młodzi stąd wyjeżdżają: do Siedlec, Warszawy, Lublina. Wracają na weekendy albo święta, odwiedzić rodziców.

***

Na szóstą lekcję przychodzi klasa ósma, ta, w której uczy się Ala, przewodnicząca szkoły. Rozmawiają o muzyce, najważniejszych zespołach.

Przede mną w ławce siedzi Bartek, to on robił prezentacje dla klasy siódmej. Ciemnowłosy, wysoki, dobrze się uczy. Jest optymistą: liczy, że matematykę zdał na 80 procent, polski na 85 procent, angielski na 90 procent. Chce iść do I LO im. Bolesława Prusa w Siedlcach. W klasie, do której chciałby się dostać, jest 40 chętnych na 30 miejsc, więc nie tak źle. Interesuje się ekonomią i nowymi technologiami. Angielskiego uczy się nie tylko w szkole, ale sam w domu – z filmów i książek. Mobilizuje go tata, wojskowy, który był dwa razy w Stanach Zjednoczonych na półrocznych szkoleniach, mówi świetnie po angielsku. Zresztą Bartek wie, że dzisiaj bez

znajomości języków obcych niczego się nie osiągnie, a on chciałby pójść na studia.

Karol, jasnowłosy i lekko piegowaty, siedzi obok, on wybrał klasę informatyczną w Technikum Elektrycznym. Tam jest czterech chętnych na jedno miejsce. Sporo.

Jastrzębska rozdaje skserowane kartki, grają w grę: „Jaka jest szansa, że zostaniesz gwiazdą rocka?".

Bartek z Karolem opowiadają, że wcale nie nudzą się na wsi. W Domanicach młodzież skupiona jest wokół księdza Jerzego Dudy. Przepadają za nim, prowadzi w miejscowym kościele schole, jeździ na misje, śpiewa, biega maratony, chodzi po górach, zdobywa siedmiotysięczniki. Wiedzą nawet, że lubi naleśniki i bułeczki z jagodami. Dużo z nim rozmawiają, o sobie i o problemach, zawsze ma dla nich jakąś radę, tłumaczy im życie i zaraża optymizmem. Wszyscy więc biegają na spotkania scholi, nawet jeśli kiepsko śpiewają.

Ala potakuje głową, tak, ksiądz Jerzy jest bardzo fajny. Ona, podobnie jak Bartek i Karol, będzie dalej uczyć się w Siedlcach, złożyła papiery do IV LO im. Hetmana Stanisława Żółkiewskiego, do klasy humanistycznej. Studia? Może audiologia w Lublinie albo psychologia w Warszawie.

Jolanta Jastrzębska chodzi między ławkami, rozmawia z uczniami, dopytuje. Widać, że ma z nimi świetny kontakt, to już nie są niesforne dzieciaki, ale młodzi ludzie, którzy za chwilę ruszą w świat spełniać swoje marzenia.

***

Ala zostaje na siódmą lekcję, chce poprawiać ocenę z angielskiego. Przychodzą też inni: dwie dziewczynki z klasy piątej i jakiś mały chłopiec. Ala miała średnią 4,76, poprawiła matematykę na czwórkę i teraz ma 4,82. Jeśli poprawi angielski na piątkę, będzie 4,88. Pisze test. Oddaje Jolancie Jastrzębskiej. Stoi obok i razem przeglądają zadania. Ala kręci głową, wie, że nie poszło jej tak, jak by chciała.

– Nie udało się. Możesz przyjść jeszcze jutro, ale to już ostatni termin, w środę rada pedagogiczna – mówi Jolanta Jastrzębska.

Kornelia, koleżanka Ali, czeka na nią i opowiada: też chce iść do Żółkiewskiego, potem na dziennikarstwo i medioznawstwo do Warszawy.

– Kolegujemy się wszyscy, jesteśmy ze sobą zżyci, spotykamy się na rowerach albo chodzimy na Forum Domanum – opowiada.

– A co to takiego? – Nic nie przychodzi mi do głowy.

– Stolik i ławeczki przy ośrodku gminy, potrafimy tam gadać godzinami. – Śmieje się, bo wie, że dziwnie brzmi to Forum Domanum, ale tak to kiedyś nazwali i tak zostało.

Mieszkają blisko siebie, a nawet jeśli ktoś jest z sąsiedniej wioski, to zaledwie kilka kilometrów od Domanic-Kolonii. Kornelia trochę się boi tego, co przed nią, ale z drugiej strony jest strasznie ciekawa nowego: wyzwań, kolegów.

Jolanta Jastrzębska powoli kończy dzień pracy, ten w szkole, ten „przy tablicy". Zbiera papiery, porządkuje klasę.

– Wie pani, co mnie najbardziej boli? – pyta nagle.

– Tak?

– To, jak nas podczas protestu przedstawiały media, przynajmniej niektóre. Jako nierobów, którzy pracują po cztery godziny dziennie. Po pierwsze, to nieprawda, po drugie, to bardzo niesprawiedliwe. – Jest spokojna, kiedy to mówi. Nie tylko ją to zabolało.

***

Kończy lekcje o 14.15. Zostaje w szkole kolejną godzinę. Musi uzupełnić dokumenty, a konkretnie arkusze klasyfikacyjne uczniów klas IV–VIII za rok 2018/2019. Papierkowa robota: przepisywanie z papierowego dziennika frekwencji, wyników w nauce, odpowiedź na pytanie o współpracę z rodzicami, o wspomaganie uczniów. To ją chyba najbardziej w tej pracy denerwuje: biurokracja. Na każdy swój ruch, każdy krok – musi mieć dokument. Wypełnia dziesiątki papierów, odpowiada na setki, czasem

identycznych, pytań. Inni nauczyciele też siedzą w pokoju nauczycielskim i piszą, wypełniają tabelki. Przed godziną 16.00 powoli zbiera się do domu. Rzadko się zdarza, aby wyszła ze szkoły wcześniej.

Idzie do rodziców, którzy mieszkają po sąsiedzku, po swojego psa; pekińczyk Gabi jest zabawny i bardzo za nią tęskni. Tylko nie może sam siedzieć w domu całymi dniami.

Przygotowuje sobie obiad: makaron z serem, bo najszybciej. Zjada i kładzie się na kanapie. Musi dojść do siebie. Po dwóch godzinach pije kawę i siada do komputera. Przez cztery godziny przygotowuje się do lekcji – jutro ma ich siedem, a do tego radę pedagogiczną w gimnazjum. Wstanie o 5.00, bo znowu musi iść do szkoły wcześniej, żeby skserować materiały potrzebne jej na lekcje.

– Co robię, kiedy mam trochę wolnego? Czytam książki i spaceruję z psem – odpowiada. Gabi na słowo „spacer" zaczyna merdać ogonkiem. Uwielbia spacery.

Koło 22.00 wyłącza komputer, idzie do łazienki. Przed spaniem próbuje jeszcze poczytać, nie zawsze jej się udaje.

SZKOŁA BOI SIĘ „INNOŚCI”

Katarzyna Kubanek

nauczyciel dyplomowany

Dąbrowa Górnicza, 12 maja 2019 roku

Dorota Kowalska: Nurtuje mnie jedno pytanie: dlaczego dzieci niepełnosprawne?

Katarzyna Kubanek: Już w siódmej klasie szkoły podstawowej wiedziałam – a rzadko się zdarza, żeby dzieci w tym wieku wiedziały, co będą chciały robić w życiu – że chcę pracować z dziećmi. Czy z niepełnosprawnymi? Nie, wtedy o tym nie myślałam, ale w mojej szkole była klasa z dziećmi z niedosłuchem, więc miałam z takimi dzieciakami kontakt. Poza tym czasami spacerowałam po parku w pobliżu naszego domu, przychodzili tam rodzice z dziećmi na wózkach. Nie czarujmy się, w latach osiemdziesiątych nie było tych dzieci widać, rodzice dość sporadycznie wychodzili z nimi z domów, bo większość wstydziła się ich niepełnosprawności.

Skąd więc wybór takiej właśnie pracy? Nie wiem, zawsze ciągnęło mnie do dzieciaków, do takich małych szkrabów, które nie wiedzą, co się wokół nich dzieje. One czekają na kogoś, kto im ten świat pokaże, wytłumaczy – to rola nie tylko rodziców, także nauczycieli. I chyba to mnie w tej pracy najbardziej fascynowało. Poza tym mam dwóch młodszych braci, trochę im matkowałam, jeśli była taka potrzeba, zajmowałam się nimi, może dlatego (śmiech).

Wracając do pani spacerów w parku, było pani żal tych niepełnosprawnych dzieci?

Nie, nigdy nie było mi ich żal. Zawsze traktowałam je jak normalne dzieciaki, które mają jakąś dysfunkcję. Do tej pory tak jest. Po szkole podstawowej zdawałam do liceum pedagogicznego. Potem zrobiłam studia pedagogiczne i zaczęłam szukać pracy. Poszłam także do ośrodka

dla dzieci z niepełnosprawnością intelektualną, mieli tam wolny etat. Zaczęłam swoją pracę od dzieci z głęboką niepełnosprawnością intelektualną, czyli tak naprawdę tych najciężej doświadczonych. Spodobało mi się – nauczyłam się, że to nie są dzieci niepełnosprawne, tylko po prostu dzieci. Że trzeba je traktować tak samo jak zdrowe, powiedziałabym nawet, że trzeba im stawiać poprzeczkę wyżej, żeby mogły chociażby w niewielki sposób dogonić swoich rówieśników. Więc tak to się zaczęło: najpierw praca z dzieciakami z głęboką niepełnosprawnością, potem poznałam dzieciaki z lekką, umiarkowaną i znaczną niepełnosprawnością, wreszcie z autyzmem.

Jakie to są dzieci? Czym się różnią od tak zwanych dzieci normalnych?

Mają w sobie więcej empatii. Ktoś by powiedział, że to bzdura, ale tak właśnie jest. Te dzieci potrafią okazać wdzięczność jednym gestem, spojrzeniem. Wszystkim nam jest ich żal, ale one nie potrzebują litości, tylko tego, żeby ktoś się nimi zainteresował, zwrócił na nie uwagę, porozmawiał, traktował tak samo jak dzieci pełnosprawne. Uczyłam kiedyś chłopca, Łukasza, dzisiaj to już dorosły mężczyzna. To były początki mojej pracy i to Łukasz uświadomił mi pewne rzeczy. Raz powiedziałam mu, że chciałabym mieć takiego fajnego dzieciaka jak on. A on spojrzał na mnie i powiedział: „Tylko żeby nie był niepełnosprawny". Łukasza wszyscy naokoło traktowali jak osobę niepełnosprawną, on tego nie chciał, chciał być traktowany jak normalne, zdrowe dziecko, tyle tylko, że jeżdżące na wózku.

Czy jakieś historie pani uczniów szczególnie zapadły pani w pamięć?

Pamiętam moją Paulinkę. Dziewczyna była z domu dziecka, razem z siostrą trafiły do naszego ośrodka. Małe, rude, dające ogrom radości. Historia Paulinki jest bardzo smutna.

Jej siostra miała lekką niepełnosprawność, ale była traktowana jak dziecko. Natomiast Paulinka została odrzucona przez ojca, u niej niepełnosprawność intelektualna była głębszego stopnia, miała krótszą

nóżkę, delikatne porażenie mózgowe, była tak zwanym brzydkim dzieckiem. Ale cudownym. Ogromnie odczuła to odrzucenie. Mogła biegać cały dzień wokół krzesła, na którym siedział jej ojciec, żeby ten zwrócił na nią uwagę. Nie zwrócił. Córka po prostu dla niego nie istniała. Kiedy przyszła do naszego ośrodka, trafiła do mojej klasy. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak okrutnie była traktowana. Ta mała od razu zdobywała serca wszystkich. Paulinka potrafiła okazać tyle miłości, wdzięczności za to, że ktoś zwrócił na nią uwagę, wziął na kolana, przytulił – to było niesamowite, bo sama tej miłości od bliskich nigdy nie doznała. Wszyscy to odczuli, nie tylko ja, ale terapeuci, którzy z nią współpracowali, wychowawcy w internacie. Była u nas bardzo długo. Kiedy odchodziła od nas do domu pomocy społecznej, bo niestety nie wróciła do domu rodzinnego, my płakaliśmy i płakała ona. Doskonale ją zapamiętałam.

Mieliśmy też ucznia, jest już dorosły, kawał łobuziaka. Kiedyś na korytarzu dość ostro zwróciłam mu uwagę, bo bardzo brzydko odezwał się do innego nauczyciela. Powiedziałam: „Widzisz, czasami też na ciebie nakrzyczę", a on spojrzał na mnie: „Ale pani może". Najlepsze jest to, że ja tego chłopca nigdy nie uczyłam. Kilka lat później stałam na przystanku autobusowym, a ten dorosły już mężczyzna wychodził ze sklepu monopolowego z dwoma piwami w ręku. Sklep był dokładnie naprzeciwko przystanku. Zauważył mnie, natychmiast obie ręce schował za plecami i mruknął: „O kurde, pani!". Dwudziestoparolatek. To są historie, których się nie zapomina.

Od kilku lat pracuję z dzieciakami z autyzmem, z małym kontaktem, ale gdy przyjdą po latach ciężkiej pracy, popatrzą na mnie, przytulą się, wtedy czuję, że jestem ich, że to, co robię, ma sens.

Z takimi dziećmi pracuje się jednak trochę inaczej?

To zupełnie inny charakter pracy, to jest praca, która wymaga od nauczyciela bardzo dużej samodyscypliny, bardzo dużej empatii i zrozumienia. Innego zrozumienia niż przy dzieciakach pełnosprawnych, bo jednak od dzieci pełnosprawnych można dużo więcej wymagać.

Ale powiedziała pani przed chwilą, że tym niepełnosprawnym dzieciakom wyżej stawia się poprzeczkę.

Zdecydowanie wyżej! Dziecko neurotypowe w wieku trzech, czterech lat potrafi sobie samo zapiąć guziki, ubrać się bez pomocy rodziców (nieważne, że założy prawy but na lewą nogę), samo może pójść do kuchni i wziąć sobie butelkę z sokiem – oceniam to, obserwując swoje, że tak powiem, prywatne dzieciaki. W przypadku maluchów z niepełnosprawnością wszystkiego trzeba dziecko nauczyć. Czasami rodzice przyprowadzają dzieci w wieku siedmiu, ośmiu lat, które wciąż noszą pampersy, bo matka z ojcem traktują je jak maluchy i do tego niepełnosprawne. To my uświadamiamy opiekunom, że nie mogą w taki sposób do nich podchodzić. To są normalne dzieci, tylko mają jakieś deficyty rozwojowe. I tak naprawdę zadaniem naszym i rodziców jest zrobienie wszystkiego, aby te dzieci były kiedyś samodzielne. Dlatego musimy im stawiać poprzeczkę bardzo wysoko, bo społecznie w stosunku do ich zdrowych rówieśników są opóźnione o kilka lat. Ich rodzice często są bezradni. Nikt wcześniej nie podał im ręki i nie powiedział: „Słuchaj, musisz to zrobić tak i tak".

Pani uczy te dzieci przede wszystkim życia?

Tak, uczymy je przede wszystkim życia, odnalezienia się w społeczeństwie, dostosowania do niego. Aczkolwiek czasami myślę sobie, że powinno być chyba trochę inaczej, że to społeczeństwo powinno nagiąć kark i być bardziej otwarte na osoby niepełnosprawne. Nie możemy patrzeć na dzieci niepełnosprawne przez pryzmat osób pełnosprawnych.

Wspomniała pani o tym, więc dopytam: dlaczego tak ważne jest zdyscyplinowanie nauczyciela podczas pracy z dziećmi niepełnosprawnymi?

Pracując z dziećmi niepełnosprawnymi, nie można sobie pozwolić na dawanie dzieciom wolnej ręki, na zasadzie: „dzisiaj możecie robić, co chcecie". Te dzieci muszą mieć stałość dnia, stałość zajęć. Dla nich każde

„wolne” może prowadzić do regresu wypracowanych już funkcji, dlatego tak ważna jest nasza samodyscyplina i oczywiście samodyscyplina rodziców.

Ile ma pani dzieci w klasie?

Jestem wychowawcą uczniów z autyzmem, więc w mojej klasie jest ich czworo – zgodnie z rozporządzeniem. Na początku miałam klasę dzieci z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu lekkim i znacznym, wtedy było ich w klasie nawet dwanaścioro, potem ośmioro. Kiedy zaczynałam pracę w zawodzie, nie było opiekuna w klasie, nauczyciel musiał sobie radzić ze wszystkim sam. Dobrze, że istnieje wolontariat. Studenci rzeczywiście bardzo chętnie do nas przychodzą, chcą pomagać i chcą się uczyć, ale tylko ci, którzy „czują” dzieci niepełnosprawne, zostają u nas na dłużej.

Podobno kiedyś uderzył panią uczeń. To prawda?

Tak, to prawda. Chłopiec był wyższy ode mnie, a do niskich nie należę. Przyjechał już z domu rozdrażniony, potem pojawiły się jakieś czynniki, które to rozdrażnienie pogłębiły, i dostałam „z główki”, miałam złamany nos. Sąsiadka śmiała się ze mnie, bo mówiłam o tym chłopcu „Łukaszek” i kiedy Łukaszek przyszedł do mnie do domu ze swoją mamą i bukiecikiem kwiatów, sąsiadka stanęła na korytarzu i zapytała: „Kasia, czy to jest Łukaszek?”. Odpowiedziałam, podnosząc głowę do góry, żeby na niego spojrzeć: „Tak, to jest Łukaszek”. Niestety, zdarzają się takie sytuacje, ale to nie jest wina dzieci. Po prostu pojawiają się jakieś okoliczności, które powodują, że one zaczynają się denerwować. To mogą być przeróżne historie. Teraz, w piątek, miałam zajęcia indywidualne z jedenastoletnim Kubusiem, chłopiec ma autyzm. Mama przyjechała z nim na terapię i stwierdziła od progu: „Pani Kasiu, jest w stanie krytycznym. Jechaliśmy, padał deszcz, wycieraczki mi głośno chodziły. Kubie to przeszkadzało, strasznie się denerwował. Nie mogłam wyłączyć tych wycieraczek, więc Kuba jest pogryziony, a ja w czasie jazdy dostałam kilka razy po głowie”.

Poświęciliśmy zajęcia na to, żeby Kuba się wyciszył i mógł spokojnie wrócić do domu. Obydwie z mamą prosiłyśmy Pana Boga, żeby przestał padać deszcz i nie trzeba było ponownie włączać tych przeklętych wycieraczek. Więc czasami drobne rzeczy mają wpływ na wystąpienie trudnych, często agresywnych zachowań u tych dzieciaków.

Nigdy się pani nie bała?

Oczywiście, że się bałam. Natomiast nie można okazać strachu. Jestem osobą, która potrafi schować ten lęk gdzieś głęboko w sobie, dopiero później przeżywam takie trudne zajęcia, zaczynają mi się trząść ręce, ale dopóki jestem z tym dzieckiem, pozostaję opanowana. Nie może być inaczej. Wielokrotnie byłam poszczypana, pogryziona, podobnie jak moje koleżanki. Chodzi do nas chłopiec z autyzmem, jest starszy, więc przeszedł do grupy kolegi. U tego chłopca frustracje zaczęły wywoływać hormony, bo u tych dzieciaków okres dojrzewania często przychodzi wcześniej niż u dzieciaków neurotypowych. Chłopiec nie potrafił sobie poradzić ze swoją seksualnością, był agresywny. Zdarzało się, że musiałyśmy go bardzo mocno przytrzymywać, oczywiście za zgodą rodziców, bo uderzał głową o ścianę, potrafił się gryźć, bić innych. Mama chłopca też miała przez niego złamany nos. W zeszłym roku chłopiec w wakacje kopnął ją w tchawicę. Lekarz stwierdził, że miała bardzo dużo szczęścia, bo jeszcze trzy milimetry i doszłoby do uszkodzenia strun głosowych, przestałaby mówić. Są też dzieciaki zupełnie pozbawione agresji – miłe, wiecznie uśmiechnięte. To jest właśnie najbardziej fascynujące w tej pracy, że te nasze dzieci są tak skrajnie różne. Gdyby wszystkie były idealnie grzeczne, byłoby trochę nudno (śmiech). Tak, zawsze jest jakieś wyzwanie, jakaś adrenalina. I najważniejsze: do każdego z naszych uczniów trzeba podchodzić indywidualnie.

Przypomina sobie pani sytuacje, kiedy naprawdę się przestraszyła?

Tak, kiedy pierwszy raz zobaczyłam dziecko, które dostało padaczki. Nie wiedziałam wtedy, co należy zrobić. Na szczęście były koło mnie koleżanki,

które pracowały dłużej i z pełnym opanowaniem udzieliły dziecku pomocy. Kolejne doświadczenie.

Ile lat pracowała pani wtedy w zawodzie?

Dwa lata. Dziecko dostało przy mnie ataku padaczki i wtedy autentycznie się bałam, że coś może się stać. Innym razem, pracowałam już w zawodzie długo, może z 15 lat, zobaczyłyśmy u chłopca wypadający odbyt. Jego mama nas nie uprzedziła, że coś takiego może się zdarzyć. Nie wiedziałyśmy, co robić, czy wzywać karetkę, czy dzwonić do mamy – ten chłopiec bardzo przy tym cierpiał.

Jak to „wypadający odbyt"?

Kiszka stolcowa wychodziła mu na zewnątrz, całkowicie. To były trudne chwile, nie tylko dla mnie, ale i innych koleżanek. Wiem, że teraz sytuacja u tego chłopca jest dużo lepsza: dieta, stała kontrola lekarska przyniosły oczekiwany efekt.

Nigdy nie miała pani dość? Nie pomyślała sobie, że może łatwiej byłoby pracować z pełnosprawnymi dziećmi?

Nie, chyba nie potrafiłabym pracować z dziećmi bez problemów rozwojowych, chyba jestem bardziej terapeutą niż nauczycielem. Mam sporą grupę małych dzieciaków z autyzmem na terapii indywidualnej. Niedawno po raz pierwszy przyszedł do mnie na zajęcia dwulatek, po zajęciach kucnęłam obok niego, żeby się pożegnać, powiedzieć, że było mi miło, i ku mojemu zaskoczeniu mały dał mi buziaka, przytulił się, dał drugiego i trzeciego. Najlepszy był komentarz jego mamy, powiedziała: „Pani Kasiu, ja dzisiaj nie dostałam tylu całusów, co pani". Od innego mojego podopiecznego usłyszałam: „Kasiu, czekałem na ciebie".Moja Wikusia mówi do mnie: „Ja ciebie też", co oznacza: ja ciebie też bardzo lubię. Mam takiego chłopca, który na zajęcia przychodzi z bratem, od którego usłyszałam: „Bo ty, Kasiu, jesteś nasza królową". Ciepło się robi na sercu. Potrafię zrozumieć frustrację i niechęć tych dzieci w momencie,

kiedy najprostsze rzeczy czy czynności sprawiają im trudność, i chociaż czasami zdarzają się trudne dni, nie zamieniłabym tej pracy na żadną inną.

Żeby uczyć niepełnosprawne dzieci, nie wystarczy ukończenie studiów pedagogicznych?

Nie, po samej pedagogice nie można pracować z dziećmi niepełnosprawnymi. Trzeba zrobić dodatkową specjalizację, całą masę kursów i szkoleń. W mojej konkretnie pracy niezbędne jest skończenie pedagogiki specjalnej. Mam dodatkowo szkolenia z logopedii, neurologopedii, wspomagania rozwoju. Sporo tego, ale to wszystko bardzo się potem przydaje. Można trafić na dziecko niemówiące i trzeba się z nim porozumieć. Trzeba też wiedzieć, jakie metody wprowadzić, żeby nauczyć je komunikacji funkcjonalnej (nawet jeżeli nie potrafi wyrazić swoich potrzeb w sposób werbalny), aby mogły pójść do sklepu i powiedzieć ekspedientce, że chcą kupić chleb.

Teraz to się trochę zmieniło, ale nie ma pani wrażenia, że rodzice dzieci niepełnosprawnych są pozostawieni sami sobie?

Z pewnością tak. Pytała mnie pani na początku, dlaczego wybrałam pracę z dziećmi niepełnosprawnymi – uczyłam się w czasach PRL-u i transformacji, widziałam tych dzieci naprawdę niewiele. Jak już wspomniałam, u mnie w szkole podstawowej była ich szóstka, dwójkę, może trójkę widywałam w parku na spacerach z rodzicami. Reszta dzieci siedziała w domu, tak jakby ich nie było. Rodzicie wstydzili się tych dzieciaków. Dzisiaj rodzic wsiada z niepełnosprawnym dzieckiem do autobusu i nic się nie dzieje, oczywiście czasami może usłyszeć: „Ale ma pani niewychowane dziecko! Niech pani coś z nim zrobi, bo krzyczy!”. Wie pani, co zrobiłam na początku swojej pracy? To był mój drugi, może trzeci rok w zawodzie. Pracowałam wtedy w dziennym ośrodku adaptacyjnym dla dzieci niepełnosprawnych, do którego pewna mama przyprowadziła dziewczynkę, chodzącą, ale z głęboką niepełnosprawnością intelektualną.

Wyraz twarzy od razu wskazywał na dziecko niepełnosprawne: otwarta buzia, duże zęby. Ta mama jeździła z małą autobusem, ja wtedy także korzystałam z komunikacji miejskiej, spotykałyśmy się czasami. Pewnego dnia jechałyśmy razem, rozmawiam o czymś, mała stała, bo ludzie nie kwapili się, żeby ustąpić miejsca dziecku niepełnosprawnemu – zdrowe może usiąść, niepełnosprawne niech stoi. Pamiętam panią, która wpatrywała się w naszą dziewczynkę jak sroka w gnat. Mama nie wiedziała, co ma zrobić, odwróciłam się do tej pani i pokazałam jej język.

Naprawdę?

Tak. Kobieta natychmiast przestała patrzeć w naszą stronę. Moja reakcja była może trochę nie na miejscu, ale pani z autobusu zachowała się zdecydowanie gorzej.

Sądzi pani, że rodzicie chowali się z dziećmi w domach, bo nie czuli społecznej akceptacji?

Myślę, że tak. O osobach niepełnosprawnych bardzo mało się wtedy mówiło. Takie dziecko to był straszny kłopot. Nawet dzisiaj słyszy się od rodziców, że ich najbliżsi potrafią powiedzieć: „Nie zapisuj tego dziecka do szkoły specjalnej, bo to wstyd!”.

Wstyd chodzić do szkoły specjalnej?

W ludziach nadal tkwi przekonanie, że szkoła specjalna to wstyd. Nie zdają sobie sprawy, że czasami to najlepsze rozwiązanie, że po ukończeniu szkoły specjalnej też można skończyć szkołę średnią i to niekoniecznie zawodową. Jeden z naszych absolwentów ukończył liceum, zdał maturę i jest absolwentem studiów wyższych. W tej chwili pracuje w urzędzie wojewódzkim. Inni uczniowie ukończyli szkoły zawodowe, technika, szkoły policealne. Oczywiście nie jest ich wielu, ale jednak takie przypadki też się zdarzają. Są dzieci, które przygotowują się do pracy w warsztatach terapii zajęciowej. Szkoła specjalna jest nastawiona na intensywną terapię dziecka z głębszą niepełnosprawnością i jak najlepszą edukację uczniów

z lekką niepełnosprawnością. Dlatego trudno zrozumieć, dlaczego wciąż jeszcze społeczeństwo ocenia szkoły specjalne w taki, a nie inny sposób.

Właśnie, co mówią rodzice dzieci niepełnosprawnych? Jak odnajdują się w tej sytuacji, bo chyba jest im bardzo ciężko?

Tak, jest im ciężko. Są rodziny, w których dziadkowie, wujkowie, ciocie akceptują niepełnosprawne dziecko i wtedy rodzicom jest na pewno łatwiej. Ale są też takie, w których oprócz ojca i matki, rodzeństwa, rodzina nie akceptuje niepełnosprawności. Tacy rodzicie czują się osamotnieni, odtrąceni nawet przez najbliższych. Matka się poświęca, rezygnuje z pracy zawodowej, bo babcia z takim „innym" dzieckiem nie zostanie, ojciec pracuje od rana do późnego wieczora, żeby utrzymać rodzinę, bo rehabilitacja i terapia są bardzo drogie. Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, mimo to dostęp niektórych dzieci do terapii jest ograniczony ze względu na miejsce zamieszkania, odległość od ośrodków terapeutycznych. Poza tym jest społeczeństwo, ludzie żyjący tuż obok, którzy czasami patrzą na te dzieci jak na dziwolągi. Nie potrafią zrozumieć, że te dzieciaki nie są niegrzeczne, one są po prostu inne, czasami mają autyzm, czasami porażenie mózgowe, a czasami się ślinią – przecież nie dlatego, że lubią, tylko dlatego, że ich mięśnie nie pracują tak jak nasze. Napięcie mięśniowe u dzieci niepełnosprawnych jest obniżone, ślina sama wycieka z buzi. Tacy rodzice słyszą często: „A czemu pani tego dziecka nie oddała?", albo: „Mogła się pani zastanowić przed porodem".

To się zdarza także dzisiaj, w dwudziestym pierwszym wieku?

Tak, rodzice opowiadają mi o takich sytuacjach. Wczoraj przyszła do mnie mama bliźniaków, trzylatków z opóźnionym rozwojem mowy. W pracy koleżanki nie potrafią jej zrozumieć. Kobieta ma wyższe wykształcenie, pracuje w biurze i cały czas słyszy: „A po co ty cały czas jeździsz na tę terapię? Dałabyś spokój tym dzieciom!". Nie, nie można dać spokoju tym dzieciom, one muszą się rozwijać. Oczywiście bez przesady, terapii nie może być zbyt dużo, muszą mieć w miarę normalne dzieciństwo: wyjść na

podwórko, zjeżdżać ze zjeżdżalni, huśtać się na huśtawce, pobawić w piaskownicy.

Jak pani powiedziała, taka rodzina funkcjonuje na ogół podobnie: jedno z rodziców opiekuje się dzieckiem, drugie od rana do wieczora pracuje. To nie jest łatwe życie.

Czasami jest jeszcze inaczej, to bardzo przykre sytuacje: ojciec w pewnym momencie odchodzi od rodziny i matka zostaje z „problemem" sama. To najgorszy scenariusz, ale spotkałam się z nim wielokrotnie. Ojcowie, oczywiście nie wszyscy, po prostu nie wytrzymują presji, napięcia, które towarzyszą wychowaniu dzieci niepełnosprawnych. Takie dzieci, oprócz tego, że potrzebują opieki terapeutycznej, potrzebują również specjalistycznej opieki medycznej. Często w środku nocy trzeba wezwać pogotowie albo jechać natychmiast do szpitala, bo dziecko musi mieć podany jakiś lek. Bywa więc, że ojciec ucieka od problemów, zostawia matkę samą z niepełnosprawnym dzieckiem.

Te kobiety muszą być bardzo silne?

Są bardzo silne, starają się takie być i bardzo wiele je to kosztuje. Często wpadają w stany depresyjne, ale nie chcą pokazywać na zewnątrz, że sobie nie radzą. Dopiero w domach tę swoją frustrację w taki czy inny sposób odreagowują.

Siedzą i płaczą?

Tak.

Czy siedzą i piją?

Też. Znałam mamę, ta kobieta już nie żyje, która sobie nie poradziła. Miała czwórkę dzieci, w tym jedno z autyzmem. Zaczęła zaglądać do kieliszka, podobnie jak jej mąż, w końcu odebrano im dzieci. Byliśmy w szoku, bo mężczyzna szybko się otrząsnął i te dzieciaki w ciągu czterech miesięcy

wróciły do domu rodzinnego. Niestety, kobieta nie wytrzymała presji, dwa miesiące po powrocie maluchów odeszła od rodziny. Piła dalej, w końcu zmarła.

Nie jest też trochę tak, że dla tych „innych" dzieci nie ma tak naprawdę miejsca w systemie edukacji? Szkoła też je odrzuciła.

Dzisiaj o integracji w szkolnictwie bardzo dużo się mówi, ale takim dzieciom i ich rodzicom jest niesłychanie ciężko. Integracja istnieje, ale nie dla dzieci z niepełnosprawnością intelektualną. Integruje się dzieci w normie intelektualnej z niepełnosprawnością na przykład ruchową. To teoretycznie bardzo dobry pomysł. Tyle tylko, że jeśli do jednej klasy piętnasto- czy dwudziestoosobowej w szkole masowej trafia trójka dzieci: jedno z autyzmem, drugie z zespołem Downa, trzecie na wózku inwalidzkim z niepełnosprawnością ruchową, pracuje z nimi nauczyciel i nauczyciel wspomagający, to pożytek z nauki dla tych dzieci jest niewielki.

Dlaczego?

Bo dziecko z autyzmem potrzebuje nauczyciela wspomagającego dla siebie. Ono nie rozumie pewnych norm, zasad – polecenia nauczyciela trzeba mu przełożyć z języka polskiego na jego język. Obok jest dziecko z zespołem Downa, które też potrzebuje wsparcia, podobnie jak dziecko na wózku inwalidzkim. Cała trójka wymaga współpracy z nauczycielem wspomagającym, a on jest tylko jeden. Tymczasem najlepiej, jeśli nauczyciel może pracować z każdym z tych dzieci indywidualnie. Poza tym każde z nich musi mieć dostosowany do swoich potrzeb materiał. Dzisiaj w systemie edukacji panuje potworna biurokracja – dotyczy ona nie tylko szkolnictwa specjalnego. My, nauczyciele, musimy pisać plany wychowawcze, dostosowania, rozkłady materiałów, indywidualne programy terapeutyczne, programy rewalidacyjne i wiele innych dokumentów. Przecież obok dzieci niepełnosprawnych są w klasach dzieci z dysleksją, z nadpobudliwością, zagrożone niedostosowaniem

społecznym – dla nich wszystkich trzeba pisać dostosowania programu, więc to jest dodatkowa praca, którą wykonuje nauczyciel.

Czy istnieje jeszcze coś takiego jak klasy integracyjne?

Istnieją, ale, tak jak mówiłam, dla mnie to nie są klasy integracyjne. Integracja powinna wyglądać tak, że dzieci w normie intelektualnej, na przykład z porażeniem kończyn dolnych, które intelektualnie świetnie sobie radzą i niczym nie odbiegają od rówieśników, trafiają do normalnej klasy w szkole masowej. Tyle tylko, że każde z nich musi mieć nauczyciela wspomagającego wyłącznie dla siebie. Jeżeli jednak w takich klasach znajdą się dzieci z niepełnosprawnością w stopniu lekkim czy umiarkowanym, to już nie jest integracja. Wiem, że nauczyciele w szkołach masowych borykają się z tym problemem.

Mam wrażenie, że szkoła publiczna nie akceptuje żadnej „inności". Moja przyjaciółka ma syna z zespołem Aspergera, przenosiła go ze szkoły do szkoły – nikt go nie chciał, jest bardzo zdolny, ale „niegrzeczny". W końcu chłopak wylądował w szkole prywatnej.

Nasze szkolnictwo nie potrafi sobie poradzić z tym problemem. Ktoś kiedyś wpadł na, cenny skądinąd, pomysł tworzenia szkół integracyjnych, ale nie zapewnił funduszy, żeby przeszkolić nauczycieli. Nie chodzi o szkolenie teoretyczne, bo wszystko można wyczytać w książkach, ale o szkolenie praktyczne. Są świetnie wyszkoleni ludzie, którzy wiedzą, jak radzić sobie z dziećmi z zespołem Aspergera. Taki fachowiec powinien przyjść do szkoły powszechnej, zobaczyć, jak nauczyciel prowadzi lekcje, i udzielić mu wskazówek. Powiedzieć: „Zobacz, tu masz chłopaka z zespołem Aspergera, on wszystko bierze dosłownie". Uczyła mnie swego czasu wspaniała pani doktor, też pracowała w szkole i pewnego razu opowiedziała nam taką historię: „Miałam ucznia z zespołem Aspergera, zadzwonił dzwonek, powiedziałam: »Podnosimy krzesła i wychodzimy z klasy«. Co zrobił chłopak z Aspergerem? Podniósł krzesło i zaczął wychodzić z klasy". Stanęła jak wryta. Nie dała jasnego komunikatu, bo

powinna powiedzieć: „Kładziemy krzesła na ławkę". I to jest problem, w szkołach masowych pracują nauczyciele, którzy nie wiedzą, że dzieci z Aspergerem traktują każde słowo dosłownie. Potrafią podejść do nauczycielki i patrząc jej prosto w oczy, powiedzieć: „Ale ma pani dzisiaj brzydką bluzkę". Nauczycielka się oburzy, ale ten dzieciak nie rozumie, że nie powinno się rzucać takich uwag, on nie czuje, że zrobił coś niewłaściwego. Kolejna sprawa: te dzieci nie znają się na żartach, dlatego bardzo różnie mogą reagować na dowcipy kolegów czy wychowawców. I to jest największy problem szkół masowych, które mają u siebie dzieci z zespołem Aspergera. Nauczyciele nie rozumieją wielu innych „inności". Nie ponoszą za to winy, bo nikt ich nie wyszkolił, nikt im nie powiedział, jak sobie z nimi radzić.

W sumie nie dziwię się nauczycielom, bo jeśli ci mają w klasie trzydzieścioro dzieciaków, to każdy „inny" uczeń jest dla nich kłopotem. Taki nauczyciel musi gnać z programem, nie ma czasu na indywidualne podejście do dziecka, chce, żeby wszystkie dzieci były grzeczne i najlepiej nie zadawały pytań.

Tak właśnie się dzieje. Mam wrażenie, że pojęcie „integracji" trochę nas przerosło, przytłoczyło, może dlatego nic z niej w szkołach masowych nie wychodzi. Zupełnie inaczej wyglądałaby sytuacja, gdyby te dzieci trafiały do miejsc, w których wiedzą, jak się nimi zajmować, bo są placówki, które mają wypracowany system postępowania z takimi podopiecznymi. Tam taki „inny" uczeń mógłby zacząć szkołę, a w momencie kiedy wdroży się do systemu, można by spróbować przenieść go do szkoły masowej i zobaczyć, jak sobie w niej radzi. Albo stwórzmy mniejsze klasy: nie dwudziestoosobowe, ale dziesięcioosobowe. W takich dwudziestoosobowych mogłoby się uczyć jedno niepełnosprawne dziecko, a nie dwoje czy troje.

Chyba nie należy się spodziewać, że szkoły masowe otworzą się na inność, na dzieci z problemami?

Myślę, że to trudne. Mam przykład własnego dziecka, którego jest wszędzie pełno, które ma dysleksję, zaburzenia uwagi słuchowej i opinię z poradni psychologiczno-pedagogicznej, gdzie jest jasno napisane, jak należy z nim pracować. Dzieci z dysleksją powinny mieć testy pisane większą czcionką, przynajmniej „czternastką", pogrubione najważniejsze rzeczy, powinny dostawać konspekty z lekcji. Moje dziecko tego nie ma. Kiedy zobaczyłam test z jednego z przedmiotów, pomyślałam: „Ja się wcale, synu, nie dziwię, że ty tego nie napisałeś". Sama miałabym problem, żeby odczytać niektóre zdania – test był pisany „dziesiątką", może „jedenastką", nie było praktycznie odstępów między jednym a drugim wersem. Sama jestem nauczycielem, ale jeśli moi koledzy i koleżanki nie potrafią zrozumieć tak prostych rzeczy jak praca z dziećmi mającymi dysleksję, to ciężko będzie im się otworzyć na jeszcze większą inność.

Wiem, że spory problem mają rodzice z dziećmi z zespołem nadpobudliwości psychoruchowej, czyli ADHD.

Zgadza się. Nie wolno takim dzieciakom biegać na przerwie, chodzić na lekcji, nie wolno im się ruszać. W jaki więc sposób mają się zachować przez osiem godzin w szkole? To są dzieci, które potrzebują ruchu. Jeśli już taki maluch siedzi 45 minut w ławce, to te 10 minut chciałby pobiegać. Dzieci w szkołach masowych dostają punkty ujemne za bieganie, za skakanie, za ruszanie się – tak wygląda nasz system. Oczywiście nie możemy wszystkich szkół wrzucić do jednego worka, znam placówki, w których podczas przerwy są wystawiane stoły do ping-ponga, a nauczyciel wychowania fizycznego nie idzie do pokoju nauczycielskiego, tylko sam z siebie organizuje jakieś zajęcia ruchowe. Są szkoły, które podczas przerw udostępniają dzieciakom sale gimnastyczne: niech ich uczniowie pokopią piłkę, pobiegają. Przecież nic się na tej sali nie stanie, bo zawsze jacyś nauczyciele pełnią dyżury podczas przerw. Niestety taka praktyka to rzadkość, bardzo mało szkół w ten sposób podchodzi do problemu. Nasze społeczeństwo cały czas się rusza: ludzie coraz chętniej biegają, chodzą na siłownię, coraz więcej dzieci, z różnych powodów, ma również ADHD czy

nadpobudliwość ruchową. Tyle że system edukacji w żaden sposób nie odpowiada na tę potrzebę.

Światowa Organizacja Zdrowia alarmuje, że co piąty nastolatek ma problemy psychiczne lub behawioralne, niektórzy psychiatrzy twierdzą, że nawet co trzeci. Czy uważa pani, że polscy nauczyciele są przygotowani, aby zmierzyć się z tym problemem?

Myślę, że nie. Polscy nauczyciele, jak już mówiłam, a przynajmniej zdecydowana ich większość, nie przeszli i nie przechodzą stosownych szkoleń, żeby sobie z tym problemem radzić. Nie ma mowy o odpowiednim podejściu do takich dzieci czy młodzieży. Owszem, w większości szkół pracuje psycholog, ale on zajmuje się najbardziej ewidentnymi przypadkami, nie jest w stanie pracować z jedną piątą czy jedną trzecią szkolnej społeczności.

Pani podopieczni, dzieci z niepełnosprawnością czy autyzmem, kończą naukę w ośrodku i co dalej? Jaka przed nimi przyszłość?

I tu jest problem, bo jeśli chodzi o dzieci z lekką niepełnosprawnością, to nie jest źle: kończą szkoły zawodowe, nawet masowe, niekoniecznie specjalne. Mogą iść do pracy i prowadzić w miarę normalne życie. Dzieci z umiarkowaną niepełnosprawnością też sobie radzą, jeżeli są społecznie dostosowane. Ostatnio przyszedł do mnie Damian, którego miałam pod opieką dawno temu, pracuje, radzi sobie. Problem zaczyna się u dzieci z niepełnosprawnością znaczną, głęboką, z autyzmem. Te pierwsze, jeśli nie mają dodatkowych zaburzeń, mogą trafić do domów opieki społecznej czy na warsztaty terapii zajęciowej, dzieci z autyzmem kończą 24 lata i ich rodzice stają przed wielkim dylematem, bo tak naprawdę są pozostawieni sami sobie. Nie ma w naszym systemie warsztatów terapii zajęciowej dla dzieci z autyzmem. Rodzicie zastanawiają się, co dalej, najbardziej chcieliby, żeby ich dzieci jak najdłużej chodziły do szkoły, bo nie ma na nie pomysłu. Wiem, że gdzieś pod Krakowem rodzice sami zbudowali wioskę dla dzieci z autyzmem: ich dorosłe pociechy mogą tam mieszkać,

oczywiście pod okiem opiekunów, bo cały czas pozostają pod opieką terapeutyczną, ale takich miejsc jest naprawdę niewiele. Na Zachodzie sytuacja takich osób wygląda zupełnie inaczej, u nas jest beznadziejna.

A jak radzi sobie z autyzmem Zachód?

Z relacji osób, które mają kontakt ze szkolnictwem w Szwecji czy Niemczech, wiem, że są tam inne rozwiązania. Przede wszystkim mają tam inne zaplecze socjalne i większy dostęp do terapii, nie tylko dla dzieci, ale także dla rodzin. Państwo stara się, aby rodziny nie zostały same z problemem niepełnosprawności swoich pociech. Takie dzieci mają szanse na pracę dostosowaną do ich możliwości, mogą na przykład uczyć się tylko naklejania etykiet lub odkładania butelek do pojemników, ale mimo tak prozaicznych, wydawałoby się, zadań, czują się potrzebni. U nas jest bardzo mało zakładów pracy, które chcą przyjmować pracowników niepełnosprawnych.

Dlaczego system edukacji nie toleruje, nie przyjmuje, nie pomaga „inności"?

Myślę, że się jej po prostu boi. Poza tym wychowanie, opieka nad takim „innym" wymaga większych nakładów, także finansowych, tak w szkole, jak i potem, chociażby w domu pomocy społecznej. Może stąd ta niechęć.

Swoją drogą nawet osoby publiczne zdają się nie rozumieć problemu. Janusz Korwin-Mikke swego czasu podczas spotkania na uczelni w Poznaniu nazwał chore umysłowo dzieci „bredzącymi debilami", a posyłanie ich do szkół określił „katorgą". Stwierdził też, że tylko prymitywne społeczeństwa mają koedukację.

Tak, jeśli spojrzeć na to, co się dzieje wokół systemu edukacji i wychowania dzieci niepełnosprawnych, kiedy wsłuchać się w wypowiedzi pewnych polityków, można odnieść wrażenie, że niektórzy chcieliby zgromadzić takie osoby w jednym miejscu i odizolować od społeczeństwa. Mówimy

o niwelowaniu barier, ale budowanie podjazdów nie wystarczy – przede wszystkim trzeba niwelować bariery w naszych głowach.

Z drugiej strony wydaje się, że świadomość społeczna rośnie, coraz więcej mówi się o niepełnosprawności, coraz więcej osób niepełnosprawnych jest aktywnych w życiu publicznym.

Zgadzam się, ale to często akceptacja pozorna. Dzisiaj nie wypada osób „innych" wytykać palcami, co wcale nie znaczy, że nie należy traktować ich jak kogoś gorszego. Czasami, jeśli chodzi o szkolnictwo specjalne, odnosimy wrażenie, że najlepiej byłoby je zlikwidować, bo nasze szkoły czy ośrodki są nierentowne, trzeba do nich dokładać, a terapia kosztuje. Lepiej, żeby osób niepełnosprawnych nie było, wtedy nie mielibyśmy problemu.

DYREKTOR, CZYLI MENEDŻER

Dariusz Orzeszko

nauczyciel dyplomowany

Agnieszka Mularska

nauczyciel dyplomowany

Trzciel, 30 maja 2019 roku

Czwartkowy poranek. Rodzice niespiesznie odprowadzają dzieci do szkoły.

– Pamiętaj, żeby zjeść śniadanie. – Kobieta trzymająca za rękę chłopca w kraciastych spodenkach gwałtownie przystaje. – Będziesz pamiętał? – nie daje za wygraną.

– Taaak – odpowiada lekko poirytowany malec.

Przy wejściu do szkoły grupka nastolatków żywo o czymś dyskutuje. Jedna z dziewcząt marszczy czoło i odwraca twarz w stronę słońca. Ciepło. Nareszcie można powyciągać z szafy letnie sukienki. To znak, że zbliżają się wakacje.

– Dzisiaj mamy ćwiczyć poloneza na bal gimnazjalny – słychać rozmowę dobiegającą z boku.

– Wiem – pada krótka odpowiedź.

Im bliżej godziny 8.00, tym większy ruch na szkolnych schodach.

Gabinet dyrektora jest nieopodal głównego wejścia, obok pokój nauczycielski. Dariusz Orzeszko wygląda tak, jak go sobie wyobrażałam: średniego wzrostu, lekko szpakowaty. Szybko mówi, bardziej biega, niż chodzi, w poczcie głosowej ma nagraną ścieżkę dźwiękową z *Mission: Impossible*. Kieruje Zespołem Edukacyjnym w Trzcielu od 18 lat i wciąż nie potrafi zwolnić.

– Muszę jeszcze coś załatwić. Zaraz wracam. – Robi przepraszającą minę, bo ledwie się ze mną przywitał. Wychodzi z gabinetu.

Agnieszka Mularska, jego zastępczyni, wzrusza ramionami. Ona jest zdecydowanie mniej rozbiegana. Doskonale się uzupełniają.

– Napije się pani kawy? – proponuje. Zza drzwi dobiega dźwięk szkolnego dzwonka. Rozpoczyna się pierwsza lekcja.

Lekcja muzyki

Mularska ma 47 lat, lekko falujące włosy, niebieskie oczy, jest uśmiechnięta i bardzo kobieca. Pochodzi z Lutola Suchego, to jakieś 12 kilometrów od Trzciela. Opowiada, że nigdy nie chciała zostać nauczycielką, chociaż wszystkie jej koleżanki bawiły się „w szkołę": prowadziły dzienniki, wystawiały oceny i miały swoje klasy – oczywiście takie „na niby". Po szkole podstawowej przyjaciółka namówiła ją na studium nauczycielskie w Sulechowie. Najpierw trzeba było skończyć czteroletnie liceum, później dwuletnie studium. Sama nie wie, czemu złożyła tam papiery, chyba nie miała pomysłu na siebie, a trzeba było uczyć się dalej.

– Koniec końców, koleżanka nie zdała do Sulechowa, ale też egzaminy wcale nie były łatwe: musiałyśmy zdać egzamin ze śpiewu, zajęć ruchowych, techniki, plastyki, języka polskiego i matematyki. Mnie się udało i tak znalazłam się w internacie sama. – Odgarnia włosy opadające na czoło.

Internat mieścił się w bardzo starym budynku, w którym wcześniej był klasztor. Zupełna magia. Grube mury, opowieści o duchach, było coś niesamowitego w tym miejscu.

Szkołę średnią po latach też wspomina z sentymentem. Oprócz zupełnie typowych przedmiotów miała zajęcia z psychologii, śpiewu i muzyki, uczyła się na przykład piosenek przedszkolnych, musiała umieć je grać na przeróżnych instrumentach, chociażby na dzwonkach czy fortepianie. Zresztą w Sulechowie wszyscy na czymś grali. Obowiązkowo biegali na próby chóru. Były zajęcia z plastyki i techniki. Organizowali przedstawienia, dawali koncerty. To była rozwijająca, wszechstronna edukacja. Po maturze, na kolejne dwa lata nauki w studium nauczycielskim, wybrała jako specjalizację wychowanie przedszkolne z muzyką. Tak się szczęśliwie złożyło, że kiedy wróciła do Lutola

z dyplomem ukończenia studium, w miejscowej szkole podstawowej zwolniło się miejsce – choć była młoda, dostała pracę.

– Pewnie dlatego, że grałam na gitarze – tak dzisiaj myśli.

Tak naprawdę w Lutolu wszyscy chodzili po wiejskich drogach z gitarami pod pachą. Mieli tu zespół muzyków grających na wiejskich weselach – ich synowie, chłopcy w jej wieku, brzdąkali, gdzie się dało: na ławkach w parku, na imprezach, i tak ich zarazili muzyczną pasją.

Zaczęła uczyć czytać, pisać i liczyć klasy I–III, muzyki zaś nauczała klasy IV–VIII. W szkole podstawowej w Lutolu spędziła 15 lat, z czego sześć była dyrektorem.

– Zetknęłam się z dziećmi i spodobała mi się ta praca. Uwielbiam patrzeć, jak maluchy się rozwijają – opowiada.

To właśnie w Lutolu poznała Dariusza Orzeszko, wuefistę.

– Załatwione! – Drzwi się otwierają i staje w nich nie kto inny jak dyrektor Orzeszko. Siada naprzeciwko, ale nie mija pięć minut, a nerwowo stuka palcem w tarczę zegarka. Rozlega się dzwonek.

– Apel, musimy iść! – nakazuje.

Na korytarzu tłum. Wszyscy zbierają się w auli. Agnieszka Mularska tłumaczy, że obchodzą jutro święto patrona szkoły, majora Henryka Dobrzańskiego „Hubala", dlatego dyrektor postanowił zorganizować apel.

– Powiem raz i nie będę powtarzał. Ktoś nie usłyszy, będzie miał problem. – Dyrektor Orzeszko stoi z założonymi rękami. – Jutro mają być 22 stopnie Celsjusza, z prognoz wynika, że nie będzie padać. Wszystko wskazuje na to, że zaplanowany dzień sportu i zawody sportowo-pożarnicze odbędą się bez zakłóceń. Rozpoczynamy więc mszą o godzinie 8.30, po mszy przejdziemy na stadion, w asyście strażaków i wozu bojowego. Przypominam o zabraniu szkolnych sztandarów. – W auli cisza, słychać wyłącznie donośny głos dyrektora.

Przekaz jest krótki: na stadionie klasy I–V rozegrają mecze w dwa ognie i ringo, będą zawody w przeciąganiu liny i inne atrakcje, które przygotowali nauczyciele. Klasy VI, VII i VIII oraz III gimnazjum będą

rywalizowały w zawodach sportowo-pożarniczych po drugiej stronie boiska. Całość zawodów poprowadzą oficerowie Państwowej Straży Pożarnej w Międzyrzeczu. Rywalizacja potrwa dwie, trzy godziny.

– Będzie kuchnia polowa, więc każdy ma zapewniony posiłek. O godzinie 12.00 autobus zacznie odwozić was do domów. A ci, którzy mieszkają w Trzcielu, pomogą w sprzątaniu – dodaje jeszcze dyrektor. Słychać cichy pomruk, to pewnie tych sprzątających. Dzwonek, koniec przerwy.

Lekcja baseballu

Dariusz Orzeszko, 55-latek, w przeciwieństwie do swojej zastępczyni doskonale wiedział, co chce robić w życiu. Śmieje się, że był skażony genetycznie. Pochodzi spod granicy polsko-niemieckiej – urodził się w Jałowicach, małej wiosce w gminie Brody. Matka uczyła maluchy w klasach I–III, ojciec był wuefistą w szkole w Starosiedlu i Murzynowie. Po szkole podstawowej Dariusz Orzeszko poszedł do technikum chemicznego, bo, jak to określa, „tato kazali". To była dobra szkoła, laboratoria chemiczne z prawdziwego zdarzenia i – co szczególnie go ucieszyło – praktyki zawodowe w pobliskich Zakładach Włókien Chemicznych Stilon. Tam nauczył się obsługi tokarek, miał zajęcia ze spawania, liznął trochę ślusarstwa; nie przypuszczał, że te umiejętności bardzo mu się kiedyś przydadzą. Poszedł drogą przetartą przez ojca, po technikum wybrał Akademię Wychowania Fizycznego w Gorzowie Wielkopolskim. Skończył studia i zaraz po ślubie zamieszkał w Trzcielu. Skierowano go do pracy w szkole podstawowej w Lutolu Suchym. Przyszedł pierwszego dnia na lekcje i zapłakał: niczego w starej podstawówce nie było. Ale atmosfera w szkole fantastyczna: świetni nauczyciele, fajne dzieciaki. Szybko się zorientował, że jest z kim pracować. Zaczął od budowy boiska – pomagali uczniowie i ich rodzice. Sprawę rozwiązał systemowo: każda klasa miała trzy godziny wychowania fizycznego w tygodniu, przez dwie godziny ćwiczyli, godzinę budowali.

Powstało boisko wielofunkcyjne: do gry w piłkę nożną, siatkówkę, koszykówkę. Pod groźbą tortur nie zdradzi, jak załatwił asfalt.

– Załatwiłem i tyle. – Uśmiecha się tajemniczo.

Po boisku przyszedł czas na tor przeszkód: zbudowali go ze starych opon i drewna.

– Dzieciaki chciały się ruszać, uwielbiały moje lekcje. Przychodziły do mnie i pytały: „Tylko trochę pada. Idziemy na dwór?". Nie było sali gimnastycznej, więc biegaliśmy po lasach, polach, w zimie jeździliśmy na łyżwach. Nikt nie narzekał, wszyscy chcieli się ruszać – wspomina.

Dwa lata później w zupełnej tajemnicy zgłosił szkołę do ogólnopolskiego konkursu „Budujemy obiekty sportowe" w kategorii wioski i miasta do pięciu tysięcy mieszkańców. Po kilku tygodniach ówczesna pani dyrektor została listownie zawiadomiona o wizycie w ich szkole komisji konkursowej. Zrugała go, ale co było robić – kontrola to kontrola. Na szczęście członkowie komisji wysoko ocenili wkład i zaangażowanie nauczyciela, dzieci i rodziców w budowę wiejskiej infrastruktury sportowej. Szkole przyznano drugie miejsce i nagrodę pieniężną na zakup profesjonalnego sprzętu sportowego. Po nagrodę Orzeszko pojechał osobiście z przewodniczącym rady rodziców.

– Dzieciaki szalały ze szczęścia, sport wciągnął je na dobre – wspomina.

Jego ojciec był zafascynowany grami podwórkowymi, palantem, kwadrantem. Swoją pasję przelał na syna, który w 1994 roku pierwszą specjalizację zawodową z wychowania fizycznego zrobił właśnie z kwadranta.

– Kwadrant wywodzi się od palanta, w Polsce znany był od czasów średniowiecza. Rozwijał się jako gra szkolna i ludowa – tłumaczy cierpliwie dyrektor Orzeszko, a oczy mu błyszczą.

Aby rozegrać mecz, potrzeba dwóch drużyn, boiska o wymiarach 25 na 50 metrów, drewnianego kija, piłeczki tenisowej, pięciu chorągiewek i czterech pachołków. Gra się dwie połowy.

Dzieciaki z Lutola tę grę pokochały.

– Ale ja chciałem zrobić coś więcej, wciąż było mi mało. – Tak już ma.

Był rok 1991. Dostał zaproszenie na konferencję do Brzegu, pani dyrektor z miejscowej szkoły krzewiła baseball, stworzyła nawet małą ligę baseballową. Wspierali ją w tym Amerykanie, odwiedzili Brzeg, przekazali nauczycielom wskazówki, jak uczyć dzieciaki gry. Orzeszko wrócił z konferencji z dziesięcioma kaskami, pałkami, rękawicami – pani dyrektor zaopatrzyła go w stary sprzęt i kazała przyrzec, że zapisze się do małej ligi baseballowej. Dał słowo, a słowa trzeba dotrzymywać, zapisał swoją drużynę. Zaczęli grać, razem z nimi osiem, może dziewięć drużyn. Pamięta, że pojechali na mecz do Brzegu i pierwszy raz biegali po prawdziwym boisku do baseballa. W Lutolu Suchym pojawili się nawet dziennikarze, to była sensacja na całe województwo, bo dzieciaki z małej lubuskiej wioski stały się „bardzo światowe".

Dyrektor Orzeszko zamyśla się na chwilę.

– Wie pani, w sumie to wygrałem los na loterii, bo robię to, co kocham, i jeszcze mi za to płacą. – Znowu zerka na zegarek.

W 1999 roku został dyrektorem szkoły podstawowej w Lutolu, trzy lata później przeszedł do Trzciela.

– Ożeniłem się z dziewczyną z Trzciela, chciałem tu pracować, ale 12 lat pracowałem w Lutolu Suchym i byłem tam szczęśliwy. Z czasem miałem jednak świadomość, że ta szkoła umiera – tłumaczy.

Zbliżał się koniec świetnej podstawówki w Lutolu, przyszedł niż demograficzny 2000 roku i ze 130 uczniów zrobiło się nagle 40. Powoli obowiązki placówki zaczęła przejmować szkoła podstawowa w Brójcach. Agnieszka Mularska też widziała to powolne umieranie.

– Pamiętam, kiedy wcześniej organizowaliśmy andrzejki czy dyskoteki, sala gimnastyczna nie mogła pomieścić dzieciaków. Nagle stała się dla nich zbyt obszerna – mówi.

W Trzcielu potrzebowali kogoś z charyzmą, po odejściu starego dyrektora atmosfera wśród nauczycieli nie była najlepsza. Dlatego burmistrz postanowił ściągnąć człowieka z zewnątrz, licząc, że komuś

takiemu łatwiej będzie zaprowadzić tu porządek. Wybór padł na Dariusza Orzeszko.

– Byłem obcy, jak to się dzisiaj mówi: zostałem do Trzciela przywieziony w teczce – tłumaczy.

W 2008 roku do Trzciela przeniosła się także Agnieszka Mularska, najpierw dostała etat wychowawcy w przedszkolu. Przez pierwszy tydzień chodziła między dzieciakami i śpiewała pod nosem „Co ja robię tu?", słowa przeboju Elektrycznych Gitar. Przedszkolaki to jednak zupełnie inna praca – nauczyciel organizuje im dzień od pierwszej do ostatniej godziny, nieustannie matkuje. Nie była do tego przyzwyczajona. Ale szybko przywykła.

W 2010 roku utworzono w Trzcielu Zespół Edukacyjny – połączono przedszkole ze szkołą podstawową i gimnazjum. Dzisiaj jest w nim wicedyrektorką, ma tygodniowo cztery godziny dydaktyczne. Uczy języka polskiego ośmioro ukraińskich dzieci, które są u nich w szkole. Sporo jest Ukraińców w okolicy – przyjeżdżają do pracy w zakładzie meblowym w Chociszewie, w kilku przedsiębiorstwach w Świebodzinie, przy zbiorze szparagów.

Lekcja historii

Dzwonek, aż w uszach brzęczy. Dyrektor podrywa się z miejsca. Zapewnia, że za godzinę porozmawiamy, ale teraz musi biec do uczniów. On ma tygodniowo jedną lekcję dydaktyczną – informatykę. Klasa VII została podzielona na cztery grupy, każda pracuje nad swoim autorskim filmem – ponagrywali już scenki, teraz muszą wszystko zmontować w całość. Malutka klasa, 12 uczniów – dyrektor doskonale zna każdego z nich. Większość nakręciła film o historii Trzciela, o walorach okolicy, o tym, co w ich małej gminie warto zobaczyć i dlaczego w lecie zjeżdżają do nich turyści.

Gmina Trzciel leży we wschodniej części województwa lubuskiego, w powiecie międzyrzeckim. Jej zachodnią część przecina autostrada A2

prowadząca do granicy w Świecku. Bardzo się cieszą z tej autostrady – wcześniej tuż przed szkołą, która stoi przy wjeździe do miasteczka, przejeżdżały dziennie setki TIR-ów. Przejście na drugą stronę drogi graniczyło z cudem, nie było miesiąca, żeby nie doszło do wypadku. W końcu wybłagali zamontowanie świateł przy przejściu dla pieszych. Pięć lat temu została oddana ostatnia część autostrady A2, odcinek od Trzciela do Świecka, więc TIR-ów jakby mniej, ale kierowcy, którzy chcą zaoszczędzić na autostradowych opłatach, wciąż ciągną starą drogą przez Trzciel.

Samo miasteczko, stolica gminy, ma swój niepowtarzalny urok: stare poniemieckie domy, rynek z bazarem w sezonie pełnym świeżych warzyw i owoców, wszechobecne kocie łby. Wokół lasy, dziesiątki jezior i rzeka Obra, którą upodobali sobie kajakarze. Miejscowi żyją z uprawy wikliny i szparagów oraz ze stolarstwa, życie kulturalne skupia się przy Centrum Kultury, bibliotece publicznej i przy ich szkole.

– To może chodźmy, pokażę pani tę szkołę – proponuje Agnieszka Mularska, kiedy dyrektor znika za drzwiami pracowni informatycznej.

Idziemy, a ona opowiada: ich zespół edukacyjny to dzisiaj przedszkole, szkoła podstawowa i gimnazjum, które zniknie w przyszłym roku szkolnym, ale tak naprawdę pierwszą szkołę w Trzcielu otworzono już w 1945 roku. Anna Wasilewska, nauczycielka, która do Trzciela przyjechała z Wiśniowczyka, skupiła wokół siebie kilka osób, którym leżało na sercu wykształcenie miejscowych dzieciaków. I zaczęli działać. W lutym 1946 roku w Trzcielu mieszkało 1265 osób, dziesięciu nauczycieli uczyło pięć przepełnionych klas. Szkoła często się przenosiła, przez kilka lat uczniowie chodzili na lekcje do budynku starej przychodni zdrowia, potem do internatu szkoły rolniczej.

Dzisiaj w zespole szkół pracuje 45 nauczycieli, mają 459 wychowanków, połowa dojeżdża z okolicy – jeden autobus szkolny wynajęła gmina, dowozi dzieciaki z Siercza, Jasieńca, Lutola Mokrego. Mają też dwa busy. Na szkolnej tablicy wisi rozkład jazdy – trochę jak na przystanku autobusowym, dzieciaki są w szkole kilka minut przed 8.00, odwożenie

zaczyna się od 12.30. Jeśli ktoś skończy lekcje wcześniej, czeka w świetlicy albo w bibliotece.

Idziemy korytarzami szkoły; jasno i schludnie. W każdej klasie rzutnik, telewizor i komputer projektowy. Duże okna, kwiaty na parapetach.

– Chodźmy na stołówkę – proponuje Mularska.

„Dzień dobry!" – rzucają na powitanie przedszkolaki, siedzą przy stołach i pałaszują swoje śniadania: chleb, dżem, pomidor, ciepła herbata. Przekomarzają się ze sobą i patrzą z ciekawością na gości. Kuchnia jest biało-kafelkowa. Trzy kucharki od lat gotują ponad 300 obiadów dziennie. Pani Ilona wyciera duży, aluminiowy gar, zaraz trzeba będzie obierać ziemniaki, tłuc kotlety, trzeć marchewkę i jabłka na sałatkę. Idziemy dalej – w bibliotece, oprócz książek, stanowiska z komputerami, tak żeby dzieciaki, czekając na lekcje albo na busa, mogły przejrzeć coś w sieci. Jest też niewielka sala gimnastyczna.

– Mamy pedagoga, logopedę, psychologa i panią pielęgniarkę – wylicza Mularska, ale jej słowa zagłusza dźwięk szkolnego dzwonka.

Lekcja przedsiębiorczości

Dyrektor Orzeszko odnajduje nas w labiryncie szkolnych korytarzy.

– A nową halę sportową pani pokazałaś? – pyta Agnieszkę Mularską.

Niemal biegnie pochwalić się nowymi murami, ale po drodze mijamy jeszcze dwa place zabaw, trzeci w budowie, boisko do gry w piłkę siatkową, boisko o nawierzchni sztucznej. Wreszcie jest – nowiuteńka hala. 46 metrów długości, 26 – szerokości, 11 – wysokości, okna otwierane pilotem, nowoczesna tablica wyników, cztery szatnie, pokój nauczycieli. Robotnicy kończą właśnie drugie śniadanie.

– Świetna ekipa – zachwala Orzeszko, wskazując głową na budowlańców. – Gdyby nie oni, nie oddalibyśmy hali we wrześniu, a tak planujemy – wyjaśnia.

Ładnych parę lat przekonywał do jej budowy burmistrza i radę miasta. Potem pomogła Monika Michalik, ich absolwentka, która swoimi kanałami

załatwiła spotkanie z ministrem Witoldem Bańką. Burmistrz pojechał do Warszawy i przekonał ministra do ich pomysłu. Ministerstwo dało na budowę hali połowę potrzebnych pieniędzy – okrągłe dwa miliony złotych. Będą jedną z dwóch szkół w województwie lubuskim z takim obiektem.

Powoli wracamy do gabinetu. Oszklona szafa w auli aż lśni od złotych, srebrnych i brązowych pucharów, medali, dyplomów, a to przecież gminna, może nie mała, ale jednak prowincjonalna szkoła.

– Całkiem tego sporo – zagaduję.

Dyrektor uśmiecha się szeroko. Rozpiera go duma.

– Bierzemy udział w olimpiadach, co roku jeździmy na konkurs prawniczy, ostatnio jedna z naszych uczennic zaszła w nim bardzo daleko, na konkursy recytatorskie, przedmiotowe. Wchodzimy w najróżniejsze projekty: dwa realizujemy w piłce ręcznej, jeden finansuje Związek Piłki Ręcznej, drugi wojewódzka federacja sportowa – wylicza jednym tchem.

Nie ukrywa, że siedzi w komputerze i cały czas szuka kolejnych projektów finansowanych przez ministerstwo czy organizacje sportowe. Od 15 lat współpracują ze szkołą w niemieckim Falkenbergu, prowadzą szkolną wymianę, przyjęli też niemieckich nauczycieli, którym zorganizowali rajd po ziemi lubuskiej.

– Dyrektor to trochę menedżer – wzdycha.

Zależy mu: jeździ, spotyka się z ludźmi, załatwia sponsorów – chce, żeby jego dzieciakom niczego nie brakowało, żeby miały taki sam start jak ich rówieśnicy z wielkich miast. Kiedy on szuka pieniędzy i nowych możliwości, Agnieszka Mularska pilnuje szkoły i dobrych stosunków z rodzicami. Oboje są w stałym kontakcie z miejscowym samorządem.

– Wiadomo, że dla dyrektora każdej szkoły ta współpraca jest bardzo ważna – zaczyna Orzeszko.

Na szczęście burmistrz Trzciela, Jarosław Kaczmarek, to były nauczyciel, więc szybko znaleźli wspólny język. Można się z nim spotkać właściwie w każdej chwili, załatwiać problemy na bieżąco. Z radą miasta też relacje układają się wzorowo. Tak naprawdę zależy na tym obu stronom.

– Jeżeli burmistrz dogaduje się z dyrektorem szkoły, który jest największym pracodawcą w Trzcielu, to ma jeden problem z głowy. – Orzeszko wzrusza ramionami.

Oprócz nauczycieli i kucharek zatrudnia sześć sprzątaczek, sześciu woźnych, jednego konserwatora. Szkoła jest właścicielem siedmiu hektarów parku, który otacza ją ze wszystkich stron – nim też trzeba administrować.

Agnieszka Mularska wchodzi mu w słowo:

– Czasami śmiejemy się, że prowadzimy zakład usług edukacyjnych, kierujemy grupą nauczycieli, którzy odpowiadają za wykształcenie młodych ludzi. Musimy to robić najlepiej, jak potrafimy.

Nie chcą się chwalić, ale lista utytułowanych absolwentów ich szkoły jest długa:

• Monika Michalik – ta, która pomogła w załatwieniu pieniędzy z ministerstwa na nową halę, to zapaśniczka, reprezentantka Polski, brązowa medalistka Letnich Igrzysk Olimpijskich 2016 w Rio de Janeiro w kategorii 63 kilogramy w stylu wolnym, karierę sportową zaczynała w Orlętach Trzciel. W ogóle ich region jest zagłębiem zapaśniczym: trzcielską podstawówkę kończyło 11 mistrzów Polski, Europy i świata w zapasach.

• Mirosław Rajter – mieszka i pracuje w Peru, ratuje Indian, to także ich absolwent. Jakiś czas temu odwiedził swoją starą szkołę, pokazał książkę, którą napisał.

• Michał Nowak – jest jedną z 16 osób w Polsce, które zdobyły „Majorsa". World Marathon Majors to cykl największych maratonów na świecie, który można nazwać „pucharem świata w maratonie". Teraz leci na maraton na Antarktydę.

• Łukasz Merda – piłkarz, zagrał mecz w ekstraklasie.

– Fajny chłopak, osobiście go trenowałem, bo drużynę piłkarską w klubie sportowym Obra Trzciel też prowadziłem, za darmo – mówi Orzeszko.

– Jak to: za darmo? – dopytuję.

– Normalnie, miałem z młodzieżą treningi raz w tygodniu i nie brałem za nie wynagrodzenia – mówi jak o rzeczy zupełnie normalnej.

– To co pan jeszcze robi charytatywnie?

– Jest członkiem ochotniejszej straży pożarnej – spieszy z odpowiedzią Agnieszka Mularska.

– No nie, dostaję 13 złotych za godzinę akcji – szybko prostuje Orzeszko.

Strażakiem jest od lat, „całą wieczność, od kiedy pamięta" – tak mówi. Kiedy w szkole nic się nie dzieje, ma zresztą zastępcę, na którym polega, jeździ na akcje, bo ma najbliżej z kolegów. Jest ich w OSP Trzciel 40: sprzedawcy, właściciele firm, handlowcy. Pokazuje w telefonie komórkowym zdjęcia z wypadków na A2.

– O tu, samochód osobowy zderzył się z TIR-em, byliśmy pierwsi na miejscu. Na tym zdjęciu: osobówka uderzyła w drzewo, nawet już nie pamiętam, czy kierowca przeżył. – Przeciąga palcem po ekranie telefonu. Mógłby godzinami opowiadać o akcjach. Choćby o tej sprzed sześciu lat: w Starym Dworze wybuchł pożar w dużym gospodarstwie rolnym. Zapalił się budynek, w którym gospodarze składowali płody, od niego wielki garaż z ciągnikiem i innymi maszynami rolniczymi. Gasili pożar dwa dni, na miejscu pracowało 80 strażaków. Albo ten wypadek na A2, kiedy bus wpadł w poślizg i uderzył w drzewa. Dwie osoby zostały ciężko ranne, jedna zmarła.

Ma wszystkie kursy, szkolenia i umiejętności, które posiada zawodowy strażak, tylko on musi być do dyspozycji 24 godziny na dobę.

Czwartą kadencję zasiada w radzie powiatu. Od 20 lat jest też kuratorem sądowym.

– Czasami pod moją opiekę trafiają moi byli uczniowie, to nie są jakieś ciężkie przestępstwa: kradzieże, włamania. Nikogo nie przekreślam – mówi.

Lekcja życia

W gabinecie robi się coraz cieplej. Mimo wielkich zdolności organizacyjnych dyrektor klimatyzacji jeszcze nie załatwił. Ale kto wie, może kiedyś. Sekretarka uprzedza, że zaraz przyjdą uczniowie z zaproszeniem na bal gimnazjalny, byli już wcześniej, ale dyrekcji nie zastali. Dyrektor nagle poważnieje.

– Tak, strajkowaliśmy. – Dariusz Orzeszko uprzedza moje pytanie.

Przed strajkiem poodpadały im kafelki przy schodach, dla bezpieczeństwa zamknęli główne wejście do szkoły. Śmiali się potem, że zaczęli strajk wcześniej. Zrobili w szkole referendum – przytłaczająca większość chciała protestować. Na 45 nauczycieli nie strajkowali dwaj księża, którzy u nich pracują, i jedna z koleżanek.

– Nie chodzi tylko o pieniądze, chociaż nauczyciele zarabiają dramatycznie mało, ale o reformę edukacji – zaczyna Agnieszka Mularska.

Podstawa programowa jest przeładowana. Program z trzech lat gimnazjum trzeba teraz przerobić w dwa dodatkowe lata szkoły podstawowej. Dzieciaki mają po siedem, osiem godzin dziennie, a muszą jeszcze dojechać do szkoły i potem do domu. Jest mnóstwo uczniów z tak zwanymi orzeczeniami, wymagają dodatkowych zajęć, więc trzeba je organizować o godzinie 7.00. Kół zainteresowań nie ma, ministerstwo zniosło godziny dodatkowe dla nauczycieli, mieli je po dwie tygodniowo – musieli być w szkole, ale nie pobierali za to wynagrodzenia. I wtedy prowadzili koła teatralne, przyrodnicze, humanistyczne. Dzisiaj za dodatkowe zajęcia musiał płacić nauczycielom dyrektor.

– Nie mam na to pieniędzy. – Orzeszko wzrusza ramionami.

Więc oflagowali szkołę i przystąpili do strajku. Emerytowani nauczyciele przynosili im ciasto. Rodzicie wykazali wiele zrozumienia, nie krytykowali, nie złorzeczyli, nie naciskali, mimo że ich dzieci też zdawały egzamin gimnazjalny i egzamin ósmoklasisty. Zresztą działa u nich rada rodziców szkoły i przedszkola, współpracują. Uczniowie mieli zaplanowaną wycieczkę do Warszawy, już opłaconą w biurze podróży. Nikt nie zakładał, że belfrzy rozpoczną wtedy swój protest. Rodzice zawiązali komitet

wycieczkowy, ubłagali dwóch nauczycieli, żeby z nimi pojechali. Ale wycieczek w przyszłym roku nie będzie, nikt im nie płaci za dodatkowe godziny. Wcześniej pokazywali dzieciakom trochę Polski: jeździli z nimi do Szczecina, Zielonej Góry, Wrocławia.

– Rodzicie rozumieją naszą sytuację i mieli okazję przekonać się, jak to jest: jeździmy na wycieczki właściwie charytatywnie. Nikt nam nie płaci za całodobową opiekę nad uczniami – mówi Mularska.

W takich małych miejscowościach stosunki między ludźmi wyglądają trochę inaczej. Mieszkańcy wspierają się wzajemnie, bo nikt przed nikim nie ucieknie, nie schowa się w dzielnicy po drugiej stronie miasta. Dyrektor Orzeszko przygotowywał parking koło nowo wybudowanej hali sportowej, jeden z rodziców oczyścił teren, ma firmę i odpowiedni sprzęt. Nie wziął za to złotówki. „Mam tu swoje dziecko" – machnął ręką.

Inna rzecz, że czasami nauczyciele są dla miejscowych ostatnią deską ratunku. Dzwonią do nich sąsiedzi, którzy się kłócą i szukają rozjemcy, dzwonią rodzice z najróżniejszymi problemami, czasami zaczepiają na ulicy. Kiedyś Orzeszko odebrał telefon o 22.30. „Panie dyrektorze, syn pobił się z kolegą!" – usłyszał w słuchawce. „Ale gdzie się pobił?" – zapytał. „No u mnie w domu. I co ja mam robić?".

Jeśli ktoś nie potrafi poradzić sobie z problemem, dzwoni do dyrektora.

– Ale to świadczy o tym, że macie u ludzi autorytet – stwierdzam, wydawałoby się, rzecz oczywistą.

– To się bierze raczej z konformizmu – odpowiadają niemal jednocześnie.

Sami nie wiedzą, czy lepiej być anonimowym dyrektorem w wielkim mieście, czy takim, którego wszyscy w malutkim Trzcielu znają. Wszystko ma swoje plusy i minusy. Oni, choć w miasteczku są „obcy", wrośli w miejscową społeczność, dobrze się tu czują, dbają o swoją szkołę. Chcą – tak, wiedzą, że brzmi to dość górnolotnie – aby była dumą nie tylko ich, uczniów i rodziców, ale całej gminy.

Dyrektor zaczyna się niecierpliwić: ma w kalendarzu pod dzisiejszą datą jeszcze kilka dwukrotnie podkreślonych wpisów. Znaczy: bezzwłocznie

załatwić.

Szkoła powoli pustoszeje. Panie kucharki wydały już wszystkie obiady. Pierwszy szkolny bus odwiózł dzieciaki do domów, za chwilę podjedzie drugi. Przed budynkiem grupa dziewcząt i chłopców wciąż ćwiczy poloneza, którym 7 czerwca rozpoczną bal gimnazjalny. W szkole cisza, do dzwonka zostało jeszcze kilka minut.

NIESZCZĘŚLIWY JAK NAUCZYCIEL

Telmo Diz

native speaker

Warszawa, 13 czerwca 2019 rok

Dorota Kowalska: Jakim był pan uczniem?

Telmo Diz: Różnie to wyglądało: w szkole podstawowej uczyłem się dobrze, gorzej było w wieku 17, 18 lat, ale to chyba trudny okres, prawda? Potem znowu przysiadłem do książek.

Miał pan swoich ulubionych nauczycieli?

Oczywiście, jak każdy. Byli nauczyciele, na których lekcje chodziłem chętnie i którzy wiele wnieśli do mojego życia. Pamiętam ze szkoły podstawowej nauczyciela przedmiotu, któremu w Polsce odpowiada „wiedza o społeczeństwie", był bardzo wymagający, ale świetny. Potem w liceum trafiłem na młodego, bardzo ambitnego nauczyciela filozofii. Sprawił, że filozofia do mnie trafiała, do dzisiaj bardzo ją lubię.

I pewnie miał pan ulubione przedmioty?

Jestem raczej humanistą: lubiłem filozofię, historię sztuki, ale także biologię. Mamy w hiszpańskiej szkole bardzo podobne przedmioty do tych, jakie są w Polsce. Taki europejski standard.

Jak wygląda system edukacji w Hiszpanii?

Jak powiedziałem, jest bardzo podobny do tego w Polsce. Mamy szkołę podstawową, czyli *escuela primaria*, potem szkołę przypominającą wasze gimnazja, które teraz znikają, to *escuela secundaria*. Uczymy się w niej do szesnastego roku życia, bo do tego wieku w Hiszpanii mamy obowiązek szkolny. Potem są licea, szkoły zawodowe, techniczne, no i oczywiście na samym końcu różnego rodzaju uczelnie. Nauka w hiszpańskiej szkole przypomina waszą edukację: lekcje trwają 45 minut, mamy sprawdziany,

jesteśmy odpytywani na lekcjach. Tyle tylko, że w Polsce, co mnie trochę zdziwiło, wciąż można się poprawiać. Jeśli nie zda się jakiegoś testu, to idzie się na poprawę, potem na kolejną i tak w nieskończoność (śmiech). Mamy wakacje, co do ferii zimowych – jedni je mają, inni nie, zależnie od regionu. Przerwa świąteczna na Boże Narodzenie jest znacznie dłuższa niż w Polsce.

Po liceum poszedł pan na studia?

Tak, ale niezwiązane z zawodem nauczyciela, z wykształcenia jestem ekonomistą. Na ostatnim roku studiowałem w Polsce, tu zrobiłem także studia podyplomowe.

A jak się pan w ogóle znalazł w Polsce?

Przyjechałem do Polski 14 lat temu, w ramach programu Erasmus. Dopiero co weszliście do Unii Europejskiej. Mówiąc szczerze, chciałem jechać do Pragi, ale pojechała tam koleżanka, która miała lepsze wyniki w nauce, mnie przypadła Warszawa.

I pewnie w Warszawie poznał pan jakąś dziewczynę, w której się zakochał?

Skąd pani wie? Tak, tu poznałem swoją żonę, która zresztą, żeby było śmieszniej, jest nauczycielką, ale nie pracuje w zawodzie. Skończyła iberystykę, ale swoje zawodowe życie związała z ekonomią.

Nigdy nie pracowała jako nauczycielka?

Pracowała, ale zrezygnowała. Uważała, że to zawód bez perspektyw. Po skończeniu studiów w Polsce wróciłem do Hiszpanii, pracowałam tam trochę. Kiedy okazało się, że to jednak poważne uczucie, przyjechałem ponownie do Warszawy.

I od razu został pan nauczycielem hiszpańskiego? Wtedy w Polsce ludzie rzucili się do nauki języków obcych. Świat stał przed nami otworem, a przynajmniej Europa.

Nie, na początku pracowałem jako dyrektor administracyjny w hiszpańskiej firmie, która produkowała panele podłogowe, to była moja pierwsza praca w Polsce. Potem byłem dyrektorem handlowym w jednej z firm. Ale stwierdziłem, że to praca nie dla mnie – nie chciałem całymi dniami patrzeć w ekran komputera, chciałem mieć kontakt z ludźmi. Zrobiłem podyplomowe studia pedagogiczne i zacząłem szukać pracy.

Dostał ją pan chyba bez problemu?

Poszedłem do hiszpańskiej szkoły językowej, jednej z największych w Polsce, pracuję tam właściwie od początku, od prawie 14 lat. Oprócz tego mam zajęcia w prywatnym liceum, prywatnej szkole podstawowej i gimnazjum, na prywatnej uczelni wyższej. Więc mam do czynienia z dziećmi, młodzieżą i dorosłymi.

Ale dlaczego właśnie praca nauczyciela? Kontakt z ludźmi miałby pan także w wielu innych zawodach.

Mam chyba poczucie misji: ucząc ludzi języka hiszpańskiego, pokazuję im swój kraj, zupełnie inną kulturę. Poza tym spróbowałem pracy nauczyciela w szkole językowej i uznałem, że to właśnie to, co chcę robić: jestem cierpliwy, mam w sobie pasję i moi uczniowie to widzą, a ja widzę sens w tym, co robię.

Ile godzin tygodniowo pan pracuje?

Około sześćdziesięciu.

Dużo!

Tak, ale też zarabiam więcej niż nauczyciele w Polsce.

Nigdy nie pracował pan w szkole publicznej?

Nigdy. Wie pani, co mnie najbardziej uderzyło w polskim systemie edukacji, kiedy się w nim znalazłem? Warunki pracy. Nauczyciele w Polsce bardzo mało zarabiają. W Hiszpanii praca nauczyciela jest bardzo szanowana, tam każdy dzieciak, albo prawie każdy, chce zostać nauczycielem. Nauczyciele pracują 18 godzin tygodniowo, zarabiają dużo ponad średnią krajową.

Trudno zostać nauczycielem w Hiszpanii?

Bardzo trudno, nauczycielami zostają najlepsi. Żeby zostać nauczycielem, trzeba zdać państwowy egzamin. Hiszpański odpowiednik polskiego ministerstwa edukacji nie organizuje takich egzaminów co roku, ale wtedy, kiedy jest taka potrzeba.

Takie egzaminy odbywają się dla osób, które skończyły studia pedagogiczne?

W Hiszpanii, jeśli ktoś kończy na przykład biologię, fizykę czy inny kierunek studiów, a chciałby zostać nauczycielem, musi zrobić roczny kurs pedagogiczny – kiedyś był darmowy, obecnie jest płatny. Potem, gdy okazuje się, że w kraju brakuje na przykład nauczycieli biologii i potrzebnych jest 150 nowych, ministerstwo organizuje wspomniany już wyżej egzamin na nauczycieli biologii szkół podstawowych, średnich i wyższych. Zgłasza się na niego bardzo wiele osób, bo, jak już mówiłem, w Hiszpanii zawód nauczyciela jest bardzo poważany. Nauczyciele cieszą się takim samym szacunkiem jak lekarze, prawnicy czy policjanci. W Hiszpanii urzędnicy państwowi stoją bardzo wysoko w hierarchii społecznej. To zasadnicza różnica między szkołą polską i hiszpańską – dla uczniów i ich rodziców nauczyciele są autorytetami: nikt z nimi nie dyskutuje, nikt nie kwestionuje ich sposobu nauczania…

Przerwę panu na chwilę. Na jakich rodziców trafia pan w Polsce?

Bardzo różnych, ale w zdecydowanej większości nie mają do mnie żadnych zastrzeżeń. Jestem rodowitym Hiszpanem, a mam wrażenie, że w Polsce ceni się native speakerów. Mówię też po angielsku i po polsku. Oczywiście zdarza się, że przyjdzie do mnie jakiś ojciec lub matka i powie: „Wie pan, moje dziecko bardzo się stara!", wtedy odpowiadam: „Może, ale w domu". I tyle, koniec rozmowy.

Wracając do hiszpańskich nauczycieli, co robią ci, którzy skończą kurs pedagogiczny, a nie zdadzą egzaminu albo okaże się, że były lepsze od nich osoby?

Wtedy mogą iść do szkół prywatnych. Podobnie jak w Polsce jest ich w Hiszpanii coraz więcej. Chociaż prestiż państwowych wyższych uczelni jest na pewno większy niż tych prywatnych. Co do podstawówek, gimnazjów czy szkół średnich – różnie to bywa. Na pewno w hiszpańskich szkołach prywatnych więcej do powiedzenia mają rodzice i uczniowie, bo są niejako klientami takiej szkoły, płacą za nią. Wiadomo też, że robi się dużo, aby klientów nie stracić. W Polsce, mam wrażenie, jest bardzo podobnie.

Ile zarabiają nauczyciele w Hiszpanii?

Osoba, która zaczyna pracę w zawodzie, zarabia około 1500 euro, ale osoba, która pracuje ponad 10 lat, zarabia 2000–2500 euro.

Coś pana zdziwiło jeszcze w polskim systemie edukacji?

Na przykład fakt, że dyrektor szkoły wybiera sobie nauczycieli. Dla mnie to trochę niesprawiedliwe. W Hiszpanii podczas egzaminów państwowych trzeba pokazać, że jest się lepszym od innych. Po takim egzaminie jest się przydzielanym do konkretnej szkoły. Więc można mieszkać w Madrycie, a dostać pracę na drugim końcu kraju i trzeba się tam przenieść. Oczywiście można czekać, aż zwolni się etat w szkole, w której chcielibyśmy pracować, bo ktoś na przykład pójdzie na emeryturę, i wtedy ubiegać się o miejsce.

Czyli nauczyciel przenosi się za pracą?

Tak, jest przydzielany do określonej szkoły, która zgłosiła zapotrzebowanie na nauczyciela konkretnego przedmiotu. Można oczywiście zaznaczyć, gdzie chciałoby się pracować, ale to wcale nie znaczy, że po zdaniu egzaminu do tej właśnie szkoły trafimy.

Powiedział pan, że w Hiszpanii nauczyciel pracuje 18 godzin tygodniowo, więc chyba łatwiej niż w Polsce przygotować mu się do pracy następnego dnia?

W Polsce nauczyciele robią, co mogą, żeby być przygotowanym do lekcji. W Hiszpanii jest to zdecydowanie łatwiejsze, bo nauczyciel po pracy w szkole ma czas, żeby doskonale przygotować się na następny dzień. W Polsce jest z tym zdecydowanie gorzej. Na szczęście uczę swojego ojczystego języka, jest mi na pewno dużo łatwiej niż innym.

Jak pan ocenia polską młodzież?

To zależy. Chociaż obserwuję, że młodzi ludzie mniej się uczą niż kiedyś, mówię oczywiście o swoim przedmiocie, o języku hiszpańskim. Mam wrażenie, że zmieniło się podejście do nauki, system był kiedyś bardziej wymagający wobec uczniów. Inna rzecz, że polska szkoła jest bardziej, że tak powiem, restrykcyjna niż hiszpańska. Cały czas powtarza się uczniom: „tego nie wolno", „tego nie wypada", w Hiszpanii więcej rzeczy można.

Jesteście bardziej wyluzowani?

Tak mi się wydaje, ale to chyba wynika z mentalności. Może dlatego, że jest u nas zdecydowanie cieplej...

Dzisiaj w Warszawie jest bardzo gorąco: 33 stopnie Celsjusza, jesteśmy najcieplejszą stolicą Europy. W tym roku czerwiec w Hiszpanii jest zimniejszy niż w Polsce!

(śmiech) Ale to zdarza się rzadko, przyzna pani. Więc, może z racji panujących u nas temperatur, jako społeczeństwo jesteśmy bardziej otwarci, bardziej na ulicy, jesteśmy mniej podejrzliwi niż Polacy. Nie oceniam tego, nie wiem, czy to lepiej czy gorzej – po prostu różnimy się od siebie.

Czym jeszcze polska szkoła różni się od hiszpańskiej?

Formalnie, jak wspomniałem, tych różnic właściwie nie ma. Ale jest jedna zasadnicza rzecz, determinująca: w Hiszpanii nauczyciele są szczęśliwi. W Polsce nauczycielki to zazwyczaj żony mężczyzn, którzy dużo więcej zarabiają, więc kobiety mogą pozwolić sobie na taką, a nie inną pracę. To widać i czuć.

Chce pan powiedzieć, że w Polsce nauczyciele są nieszczęśliwi i wiecznie zapracowani?

Tak, tak to widzę. Młodzi ludzie nie idą do tego zawodu, nie walczą o to, żeby zostać nauczycielami, bo wiedzą, jakie są w nim zarobki. Albo idą do pracy w zawodzie, popracują cztery, pięć lat i odchodzą. Do szkół często trafiają ludzie, którzy nie mają pomysłu na siebie, mówią: „Ale ja nie wiem, co robić, więc zostanę nauczycielem". Ja zmieniłem pracę z dyrektora na nauczyciela, chciałem uczyć. Jako dyrektor nie spełniałem się w pracy, teraz się w niej realizuję.

W Polsce nie ma nauczycieli z pasją?

Tego nie powiedziałem. Spotkałem w Polsce wielu nauczycieli z powołania, naprawdę bardzo dobrych, chociażby w prywatnych szkołach, w których pracuję. Chcę tylko powiedzieć, że pewnie jest wiele osób, które chciałyby uczyć, mają w sobie pasję, ale zatrudniają się tam, gdzie zarobią lepsze pieniądze. I to jest smutne. Jak już mówiłem, w Hiszpanii chyba każdy chce być nauczycielem. Taki hiszpański nauczyciel idzie na przykład do banku założyć konto i słyszy z podziwem: „O, maestro!". To zawód na całe

życie. Nauczyciele w Hiszpanii nie szukają dla siebie innej pracy, nie przekwalifikowują się, uczą do emerytury.

A uczniowie, oni też mają w sobie pasje, uczą się z chęcią?

Tak, zwłaszcza studenci iberystyki czy osoby, które uczą się w prywatnej szkole językowej – płacą za lekcje, więc chcą dobrze poznać język. To często osoby już dorosłe, doskonale wiedzą, czego chcą. W szkole podstawowej, liceum czy gimnazjum wiadomo, jak jest: jedni chcą się uczyć, inni trochę mniej.

Trafił pan na jakieś wybitnie zdolne jednostki?

Polacy są w ogóle utalentowani językowo, nie macie też takich kłopotów z akcentem jak inni. To pewnie wynika z tego, że na świecie niewiele osób mówi po polsku, więc zdajecie sobie sprawę, że musicie mówić po angielsku, hiszpańsku czy niemiecku, żeby porozumieć się za granicą. Hiszpanom wydaje się, że wszyscy mówią po hiszpańsku.

Tak samo myślą o swoich językach Francuzi czy Anglicy!

O tak, więc fakt, że polski nie jest popularny, działa na waszą korzyść. Bardzo wielu Polaków uczy się języków obcych.

A jak pan ocenia poziom polskich studentów? Bo o tym też dużo się mówi.

Był wyższy, teraz jest zdecydowanie niższy, ale w Hiszpanii mamy to samo.

I z czego to wynika?

Z tego, że idziemy trochę w stronę amerykańskiego systemu nauczania, szybkiej i wczesnej specjalizacji. Nie kładzie się, tak jak kiedyś, nacisku na ogólne wykształcenie, na wiedzę. W niektórych sytuacjach okazywało się, że znam lepiej geografię Polski niż moi polscy uczniowie.

Naprawdę?

Tak. Poziom ogólnego wykształcenia jest coraz niższy, tak w Polsce, jak i w Hiszpanii.

Zna pan fiński system edukacyjny? W ostatnich studiach PISA, prowadzonych przez OECD, fińscy uczniowie we wszystkich dziedzinach – poza matematyką, w której zajęli drugie miejsce – byli najlepsi na świecie.

Ale oczywiście. Przede wszystkim Finów jest mniej, tam podejście do ucznia jest dużo bardziej indywidualne. Nauczyciel ma zaledwie kilku wychowanków. Szkoła nie jest tak restrykcyjna jak w większości krajów europejskich. Finowie stworzyli własny system edukacji, pracowali zresztą nad nim wiele lat.

Ale też dużo większą uwagę zwraca się na naukę praktycznych rzeczy oraz działanie w grupach, które uczy współpracy. Nie uważa pan, że w polskiej szkole jest za dużo nauki pamięciowej, wkuwania, uczenia się „od a do z", za to mało ćwiczeń, które rozwijają logiczne myślenie, samodzielność?

Tak, ale w hiszpańskiej szkole jest podobnie. Tak jest we wszystkich europejskich systemach edukacyjnych.

W Hiszpanii też wkuwacie na pamięć?

Oczywiście, że tak. Dzisiaj wiele rzeczy można znaleźć w internecie, kiedyś trzeba było chodzić do biblioteki. Ale tak, w Hiszpanii jest również dużo nauki pamięciowej, chociaż zajęć praktycznych jest jednak trochę więcej. Inna rzecz, że jeśli ma pani w klasie dwadzieścia kilka osób, to jest niewielkie pole manewru. Nie ma możliwości indywidualnego podejścia do ucznia. Co do nauki współpracy, działania grupowego? To wszystko zależy od nauczycieli. Można robić różnorodne projekty, to kwestia inicjatywy ludzi, którzy uczą.

W Hiszpanii zadaje się uczniom prace domowe?

Oczywiście!

Pan też je zadaje swoim podopiecznym?

Zadaję i uważam, że mają sens. W szkole pracujemy razem z uczniem, w domu jest czas na pracę indywidualną. Oczywiście nie może być tak, że uczeń po przyjściu do domu przez pięć czy sześć godzin odrabia zadania domowe, ale musi być czas na pracę samodzielną.

Jak się pan w ogóle odnajduje w Polsce?

Mam taki plan, że będę tu pracował do wieku 55 lat, a potem wrócę do Hiszpanii.

Dlaczego?

Bo tęsknię za rodziną i znajomymi. Zimy są u was za długie, zdecydowanie lepiej czuję się w wyższych temperaturach, ale to jeszcze można przeżyć. Tyle że człowieka zawsze ciągnie do swoich, w rodzinne strony.

Co pan lubi w Polakach, a czego nie?

Lubię wszystko, chociaż ostatnio atmosfera jakby się zmieniła. Wcześniej wydawało mi się, że Polacy są bardziej otwarci, teraz coraz częściej słychać: „Polska dla Polaków".

Uważa pan, że nie jesteśmy otwarci?

Mniej, niż myślałem.

Odczuł pan tę zmianę nastrojów na własnej skórze?

Nie jakoś dotkliwie, jak pani widzi, nie różnię się wyglądem od Polaków, nie mam na przykład ciemniejszej skóry. Ale czasami zdarza mi się słyszeć: „O, z Hiszpanii? A co, nie macie tam pracy?".

Wcześniej się takich zdań nie słyszało?

Nie, może dlatego, że było mniej obcokrajowców.

Ale pan jest człowiekiem renesansu, wiem, że prowadzi pan także wydawnictwo.

Tak, to prawda, razem z dwoma kolegami, także Hiszpanami, otworzyliśmy wydawnictwo. Napisaliśmy już dwa podręczniki. To dla mnie taki pomysł na przyszłość, plan B. Inna rzecz, pytała mnie pani o przygotowywanie się do lekcji, zajmuje mi to mniej czasu niż innym nauczycielom także z tego powodu, że mam doskonale opracowane materiały.

Z tego, co wiem, dużo pan podróżuje, biega maratony.

Właściwie kiedy tylko mam trochę wolnego czasu – wakacje, ferie – podróżuję. Zwiedziłem już całą Europę, byłem w Egipcie, na Filipinach, dużo tego było. Bardzo chciałbym zobaczyć Amerykę, ale muszę mieć cztery miesiące wolnego. Nie będę ukrywał, że to dla mnie także plusy pracy nauczyciela. Mam czas dla siebie, czuję się wolnym człowiekiem, nie żyję w trybach korporacji. A co do biegania, zawsze byłem aktywny, lubię sport. Kiedy mieszkałem w Hiszpanii, grałem w tenisa, w piłkę nożną. W Polsce znajduję aktywności, które mogę robić sam: biegam, pływam, uprawiam triatlon.

Tylko kiedy ma pan na to czas, jeśli pracuje 60 godzin tygodniowo?

Wstaję codziennie o piątej i albo idę na basen, albo idę biegać.

A tak swoją drogą, całkiem nieźle mówi pan po polsku. Sam się pan uczył?

Nie chodziłem na żaden kurs. Słyszałem: „Podaj mi sól”, kodowałem w głowie, powtarzałem. Kiedy zamieszkałem w Polsce, powiedziałem sobie, że aby być szczęśliwym, muszę być niezależny, a będę niezależny, jeśli będę mówił po polsku. Więc motywacja do nauki była spora.

KARTKI Z KALENDARZA

Bartosz Tracz

nauczyciel kontraktowy

Kędzierzyn-Koźle, grudzień 2018 – kwiecień 2019

18 grudnia 2018 rok

To był dziwny dzień. Powoli docierają do nas informacje, że nauczyciele w dużych miastach zdecydowali się pójść drogą policjantów i seryjnie składają druki L4 u dyrektorów. Próbowaliśmy to potwierdzić swoimi kanałami, u znajomych nauczycieli i w Związku Nauczycielstwa Polskiego. Po południu spotkaliśmy się w szkole na tradycyjnej pracowniczej wigilii. Rozmawialiśmy głównie o proteście. Było sporo emocji. I sprzeczne opinie. Ci, którzy popierali akcję ze zwolnieniami L4, mówili głównie o efektywności i zaskoczeniu. „Na zwolnienie lekarskie nie ma przecież mocnych. Zachowamy pensje i skala zaskoczenia będzie tak ogromna, że rząd się przerazi. Trzeba im pokazać, że z nami nie ma szans. Popatrzcie, co już się dzieje!" – perorowała zapalona przeciwniczka władzy. „Będzie pełne zaskoczenie i szybko nas posłuchają" – wtórowała inna. Ale byli też przeciwnicy tego rozwiązania. Mieli mocne argumenty: nie powinniśmy w sposób jawnie nieuczciwy walczyć o swoje prawa. Prośba o wystawienie L4 albo symulacja choroby byłaby zwykłym oszustwem. „W żadnym wypadku nie jest to zgodne z tym, czego od lat nauczamy, co powtarzam swoim uczniom" – stwierdziła jedna z koleżanek. Byłem podobnego zdania. Tyle że mnie jest łatwiej: mam trochę odłożonych pieniędzy i nie mam dzieci. Ale nie mieliśmy wątpliwości, że strajkować musimy. Dla jednych powodem są relacje nauczyciele–rodzice–uczniowie. Przez lata pozycja rodziców rosła. Od 1999 roku rola szkoły stawała się coraz bardziej usługowa. Wszystko przez sposób finansowania oświaty. Subwencja oświatowa miała iść za konkretnym dzieckiem, więc rodzice poczuli się jak klienci, którzy wyłącznie wymagają. Nie raz zdarzało mi się usłyszeć na szkolnym korytarzu: „Zabiorę dziecko do innej szkoły i tyle!". Cóż, roszczeniowe dzieciaki polskiej transformacji same dorosły i stały się

rodzicami. Część nauczycieli chce więc pokazać, że „pióro w rękach mądrego człowieka ma siłę większą niż miecz". Kolejna sprawa: nasze wynagrodzenia. Stagnacja pensji w oświacie trwa bardzo długo, ale od kilku miesięcy jesteśmy zasypywani informacjami o fantastycznej sytuacji budżetowej państwa, więc czas upomnieć się o swoje. Reforma Anny Zalewskiej też nie poprawiła nastrojów – szkoła od dawna przestała spełniać swoją rolę, idea oświaty w systemie państwa zupełnie się zagubiła. A w nas wciąż bije to osiemnastowieczne serce, które chciało widzieć szkolnictwo jako drogę do lepszego społeczeństwa. Wiem, że brzmi to trochę patetycznie, ale naprawdę tak właśnie myślimy. Podczas wigilii nastroje były bojowe – każdy miał swój powód, żeby powiedzieć: „Dość". Termin strajku też wydawał się oczywisty. „Najlepiej podczas egzaminów kwietniowo-majowych". „Strajk musi zaboleć", „Strajk musi być uciążliwy!", „Przecież nie będziemy strajkować w wakacje, bo nikogo to nie wzruszy!" – słychać było przy stole. Coś wisi w powietrzu.

10 stycznia 2019 roku

Zarząd Główny ZNP podjął uchwałę o rozpoczęciu procedur strajkowych. Rozmowy z rządem nic nie dają, podobno nie ma dla nas pieniędzy. W pokoju nauczycielskim znowu rozmawialiśmy o najlepszym terminie strajku. Niektórzy wracali pamięcią do 1993 roku. „Mój mąż jest właśnie tamtym rocznikiem i przyznaje, że wielu jego rówieśnikom strajk nauczycieli przeszkodził w rekrutacji na studia" – stwierdziła jedna z koleżanek. W pierwszej chwili nawet przyznałem jej rację, ale potem pomyślałem, że sytuacja maturzystów jest dzisiaj zupełnie inna niż w 1993 roku. Wtedy ciężko było się dostać na uczelnię, prywatne wyższe szkoły praktycznie nie istniały, nie było niżu demograficznego, tymczasem dla chłopców studia bywały jedyną szansą, żeby nie dostać biletu do wojska i nie zniknąć na dwa lata. Dzisiaj uczelnie wyższe niemal biją się o studentów. Ale pewnie, że targają mną emocje. Znam wielu maturzystów osobiście. Rozumiem też rodziców, którzy boją się, że jeśli zaczniemy strajkować, dostarczymy ich dzieciakom dodatkowego stresu. Rozumiem

ich, ale to nieprawda**,** że komplikacje i trochę więcej stresu przekreślą ich szanse na spełnienie marzeń. Matura już dawano przestała być najważniejszym egzaminem w życiu.

31 stycznia

Wiem, że do 8 lutego ma się zakończyć proces wchodzenia w spór zbiorowy na terenie konkretnych przedszkoli, szkół i placówek oświatowych przez oddziały ZNP. Nie liczę specjalnie na to, że dostaniemy podwyżki. Budżet państwa mocno się skurczył. „Tyle się już narozdawali, że nie ma tam już żadnych pieniędzy!" – moi koledzy w pokoju nauczycielskim mieli podobne zdanie. Ale inni ustawili się w kolejce po swoje, więc przyszedł czas na nas. Jedno-, może dwudniowy protest da rządowi do myślenia. Należy mu się, choćby za sposób przeprowadzenia reformy, bo pośpiech i forma nie łączyły się z naszą nauczycielską wizją wprowadzania zmian. Byliśmy marzycielami, chcieliśmy skandynawskiej szkoły, w której jest czas na rozmowę z uczniem, na coś więcej niż pogoń za zrealizowaniem programu. Pragnęliśmy reformy przemyślanej, długofalowej. Naiwni! Żaden rząd w tym kraju nie reformował edukacji w systemowy sposób. A przecież kto jak kto, ale my, nauczyciele szkoły średniej, jesteśmy zdecydowanymi beneficjentami reformy Anny Zalewskiej. Starszym koleżankom natychmiast zresztą przypomniały się czasy, kiedy mogły spokojnie nauczać. „Wreszcie będziemy mieli trochę czasu na prawdziwą, konsekwentną pracę, nie będziemy gonić z materiałem, żeby zdążyć do egzaminów maturalnych. Od 2003 roku jest przecież tak, że uczniowie pierwszy rok oswajają się z nową szkołą, a później zaczyna się wyścig, by zrealizować program, na co mamy półtora roku! A nawet mniej, bo od stycznia zaczynają się powtórki do matury. Teraz powinno być inaczej. Zobaczysz, ten dodatkowy rok dużo zmieni" – przekonywała mnie jedna ze starszych nauczycielek. Szczerze mówiąc, byłem zwolennikiem gimnazjów. Wydaje mi się, że taki sposób nauczania jest bardziej dostosowany do współczesnych czasów: młodzi ludzie powinni zmieniać otoczenie, środowisko, wtedy w dorosłym życiu będzie

im łatwiej się odnaleźć. Będą aktywniejsi, odważniejsi, gotowi na zmiany. Poza tym w gimnazjach pracowała świetna kadra, wprowadzała nowe metody nauczania, był czas na dialog z uczniem. Ale cóż, było minęło i teraz koleżanki próbują mnie pocieszać. Kolejne propozycje ministerstwa? Droga awansu zawodowego z całą pewnością nie może zachęcić do pozostawania w zawodzie. Politowanie budzą obietnice, chociażby słynne 500+ dla nauczyciela, który otrzyma ocenę wyróżniającą. Na taką ocenę trzeba będzie sobie zasłużyć odpowiednią postawą „patriotyczną", co do tego nikt w naszym pokoju nauczycielskim nie ma wątpliwości. Nie zastanawiałem się długo, kiedy dostaliśmy do rąk ankiety. Były anonimowe – mieliśmy się w nich wypowiedzieć, jak sobie wyobrażamy ewentualną formę protestu. Zaznaczyłem punkt trzeci – kilkudniowy strajk w czasie egzaminów.

18 lutego

Młodzi ludzie mnie lubią, już jakiś czas temu wybrali mnie na rzecznika praw ucznia w naszym liceum, zapewne dlatego podeszła do mnie dzisiaj jedna z uczennic i poprosiła o rozmowę. Jest obiecującą sportsmenką, jej kariera sportowa świetnie się rozwija, ale stanęła na rozdrożu. Kończy właśnie 18 lat, staje się pełnoletnia i zaczęły do niej spływać oferty z różnych ośrodków szkolenia sportowców. Gdyby przyjęła którąś z nich, musiałaby wyjechać z naszego miasta, rozstać się z przyjaciółmi i szkołą, która jest jej bliska. Nie wiedziała, co robić, wahała się. Wysłuchałem jej i mogłem jedynie radzić, żeby kierowała się sercem, a w jej sercu jest ogromna pasja do sportu i pracy na treningach. To rada uczciwa, zgodna z tym, co radziłbym samemu sobie. Opowiedziałem jej trochę o swoich doświadczeniach i zasadzie, której się trzymam, by walczyć o to, co jest dla mnie ważne. Zawsze były mi bliskie ideały oświecenia, wiara w dobrą edukację i wykształcone społeczeństwo, z tego powodu zostałem nauczycielem. Cały dzień myślę o tej rozmowie i zastanawiam się, czy rzeczywiście walczę o to, co dla mnie ważne – o wymarzoną szkołę, w jakiej chciałbym uczyć. Klasówki, lekcje, codzienne sprawy, codzienne problemy

– ta uczennica, która przyszła do mnie po radę, uświadomiła mi, że trochę przestałem walczyć. No i po raz kolejny zobaczyłem, przed jakimi dylematami stoją młodzi ludzie. To jest istota wyzwań. Jak mały jest w tym wszystkim stres spowodowany przesunięciem matur? Czy to jest najważniejsze? Liczyłem na minimalny choćby dialog z władzą, nie tylko o podwyżkach, ale o tym, jak powinna wyglądać edukacja, oświata w naszym kraju. Jestem coraz bardziej przekonany, że powinniśmy strajkować. Pokazać solidarność i jedność.

25 lutego

Szczerze mówiąc, jesteśmy w szoku. W pokoju nauczycielskim wrze. W sobotę na konwencji Prawa i Sprawiedliwości prezes Kaczyński ogłosił swoją „piątkę", czyli, jak to nazwaliśmy, program rozdawnictwa politycznego. Dodatkowa „trzynastka" dla emerytów, rozszerzenie programu 500+ na pierwsze dziecko, obniżka PIT dla pracownika poniżej 26. roku życia. Jeśli ktoś z nas miał wątpliwości, dzisiaj ich nie ma. To chyba moment przełomowy. „Jednak są pieniądze! I to całkiem sporo" – rzuciła jedna z koleżanek. A inna dodała: „Jeśli teraz nie zawalczymy o swoje, nie zawalczymy już nigdy". Spojrzeliśmy po sobie – każdy z nas myślał tak samo.

3 marca

Spotkałem się dzisiaj z kumplami z liceum. Marcin skończył prawo, pracuje w korporacji, Sebastian, też prawnik, ma etat w ministerstwie, Łukasz walczy o założenie własnej kancelarii. Cały czas utrzymujemy ze sobą kontakty i często się spotykamy, ale nasze spotkania są coraz rzadsze. Wielu moich znajomych wyprowadziło się z naszego miasta, wyjechało do Wrocławia, Warszawy czy Krakowa. Rozmawialiśmy o pracy i pieniądzach. Zawodowo czujemy się spełnieni. Wszyscy, jak siedzieliśmy, możemy przyznać, że udało nam się przetrwać ciężki okres pomiędzy studiami a znalezieniem pracy, kiedy byliśmy w tak zwanej poczekalni, tak zresztą

często mówią o naszym pokoleniu – pokolenie z wiecznej poczekalni. Skończyliśmy studia, znamy języki obce, nasi rodzice i nauczyciele wciąż powtarzali: „Pracujcie, inwestujcie w wiedzę i poczekajcie na swoją szansę, ona nadejdzie!". Tyle że trafiliśmy na rynek pracy zaraz po wielkim kryzysie i mocno walczyliśmy o swoje miejsce w zawodzie. Na początku zarabialiśmy mało, żyliśmy „od pierwszego do pierwszego", czasami trzeba było prosić o pomoc rodziców. W tym czasie inni moi przyjaciele, którzy skończyli edukację na etapie szkoły średniej, żyli już na przyzwoitym poziomie. Były momenty, kiedy czuliśmy się sfrustrowani, ale żyliśmy nadzieją, że ta mityczna szansa wreszcie nadejdzie. Po kilku awansach, zmianie firm niemal cała nasza paczka stanęła na nogi: kupiliśmy pierwsze samochody, mieszkania na kredyt, bo bez własnego kąta ciężko myśleć poważnie o zakładaniu rodziny. Wyjechaliśmy na mniej lub bardziej ciekawe wakacje. Poznaliśmy Europę. Ale od pewnego czasu mam wrażenie, że finansowo stoję w miejscu. Zarobki początkujących nauczycieli, pracowników kultury czy administracji pozostają żenująco niskie. Frustracja wypłukuje z tych branż wszelkich zapaleńców. Skończyłem historię na Uniwersytecie Jagiellońskim, w oświacie pozostało jedynie czterech, może pięciu absolwentów mojego kierunku. Rozmawiałem niedawno z przyjacielem ze studiów. Razem chcieliśmy uczyć dzieciaki. Miałem więcej szczęścia i dostałem pracę w szkole, on pracował w wydawnictwach publikujących książki, potem w korporacji. Wiem, że chciałby pracować w szkole, cały czas o tym marzy, ale nie będzie uczył. Za 1750 złotych na rękę? Ceny mieszkań w Krakowie, a tam mieszka, poszybowały tak wysoko w górę, jego wypłata nie wystarczy nawet na opłacenie czynszu i skromne życie. Moja przyjaciółka wyjechała do Włoch, opiekowała się tam dziećmi, teraz w Warszawie pracuje w korporacji współpracującej z włoskimi firmami. Nie wróci do swoich marzeń sprzed 10 lat. Nie będzie nauczycielką.

4 marca

Jest decyzja o strajku. Cóż, właściwie nie jestem zaskoczony. Rząd nie pomylił się w swojej diagnozie, że nauczyciele, w zdecydowanej większości, nie są wyborcami Prawa i Sprawiedliwości i zwolennikami Anny Zalewskiej. Ale nie jest też tak, że nie ma wśród nas zwolenników PiS-u. W szkole, w której uczę, część grona to osoby o konserwatywnych poglądach. No i część nauczycieli jest pod wrażeniem transferów społecznych dokonanych przez obecną władzę, zwłaszcza ci, którzy mają dzieci. Ale prawdą jest też, że rząd skutecznie zniechęcił do siebie wiele moich koleżanek swoimi decyzjami w obszarach dotyczących chociażby praw kobiet, aborcji czy wychowania seksualnego. Tyle tylko, że poglądy polityczne nie mają tu żadnego znaczenia. Wiem, że za strajkiem opowiadają się także ci z nas, którzy w 2015 roku głosowali na partię Jarosława Kaczyńskiego.

8 marca

Dziś moje święto – czwarty rok pracy w zawodzie. Wcale nie było łatwo: po studiach wróciłem do Kędzierzyna i przez trzy lata szukałem pracy w zawodzie. W 2015 roku jedna z nauczycielek historii w szkole, w której dzisiaj uczę, musiała pójść na zwolnienie lekarskie. Dyrekcja doceniła moją determinację, byłem pierwszą osobą, która otrzymała telefon z propozycją przyjęcia zastępstwa. To był ostatni moment – planowałem wyjazd do Warszawy i pracę w zupełnie innej branży. Oferta, na razie czasowa, była dla mnie szansą na zrealizowanie swoich planów, udowodnienie sobie i przyjaciołom, że będę świetnym nauczycielem. Postanowiłem dać z siebie wszystko. Trudność, z jaką wchodziło się do tego zawodu w latach 2011–2015, a nawet później, nie odzwierciedla zbliżającej się katastrofy, bo nauczycieli z czasem zacznie brakować, już odchodzą z zawodu. Ale w 2011 roku przez polskie szkoły przetaczał się niż demograficzny, to była zresztą doskonała okazja, żeby przeprowadzić reformę oświaty, zachowując potencjał kadr, a jednocześnie zmniejszając liczebność klas. Niestety, nie zrobiono tego.

Ale wracając do mnie, włożyłem sporo wysiłku podczas tego półrocznego zastępstwa, miałem wsparcie uczniów i rodziców, zaproponowano mi pracę na następny rok. Zgodziłem się. Dlaczego postanowiłem zostać w oświacie? Chciałem sprawdzić się w roli nauczyciela. Po drugie, to praca, która daje możliwość rozwoju osobistego. Po trzecie wreszcie, widzę w niej sens. Wierzę w pracę na rzecz dobra wspólnego. Nie jestem osobą nazbyt religijną, ale powtórzyłbym za Władysławem Bartoszewskim: „Warto być przyzwoitym". Miałem wcześniej oferty pracy w agencji reklamowej za całkiem dobre pieniądze, mogłem rozwijać swoją karierę w banku, gdzie pracowałem przez chwilę. Ale tam musiałem chodzić na kompromisy. Sprzedawać produkty, w które nie zawsze do końca wierzyłem. W oświatę i wiedzę, jak już wspominałem, wierzę.

9 marca

Nieźle! Na konwencji w Jasionce PiS rozpoczął kampanię wyborczą do parlamentu europejskiego. Wśród kandydatów zaprezentowanych przez PiS znalazła się minister edukacji Anna Zalewska. Jakby tego było mało, zdecydowano, że główna sprawczyni edukacyjnego zamieszania będzie ubiegać się o mandat z okręgu łączącego województwa dolnośląskie oraz opolskie. Byliśmy wzburzeni – startuje z naszego regionu. W pokoju nauczycielskim rozmawialiśmy wyłącznie o minister Zalewskiej, o tym, że właśnie została nagrodzona za „świetnie" przeprowadzoną reformę. „Ucieka i zostawia nas z tym całym bałaganem" – stwierdził jeden z kolegów. Koleżanka spojrzała na nas badawczo: „Chyba żadne z was na nią nie zagłosuje?!". Wiadomo, nie trzeba pytać. Zastanawialiśmy się, jak będzie wyglądał wrzesień w naszej szkole – skumulują się przecież dwa roczniki. Tyle że minister Zalewska już tego nie zobaczy. Ludzie są coraz bardziej wkurzeni, to się wyczuwa w rozmowach, zachowaniu, spojrzeniach.

19 marca

Dzisiaj odbyło się referendum strajkowe. Jesteśmy szkołą, która odzwierciedla nasze społeczeństwo: jedni się lubią, inni nie, są nauczyciele mniej lub bardziej ambitni, czasami dochodzi do spięć. Niektóry spędzili tutaj 30 lat swojego życia, dzień w dzień, pięć razy w tygodniu. Nie czujemy się przegrani, przez cały czas staramy się tworzyć szkołę, która wychodzi poza zakres prostego wlewania wiedzy i przepisywania treści podręczników. Nie godzimy się na szkołę „tanią i dobrą". Chcemy być najlepsi. Ta ambicja czasem nas psuje, czasem też dzieli. Wyczuwam w naszych rozmowach pewną zachowawczość. Trochę się badamy. Unikamy pytań wprost, wiadomo – referendum jest anonimowe. Są tacy, którzy od początku opowiadali się za protestem. Nie tyle chodzi o pieniądze, ile o pokazanie sprzeciwu wobec tego, co się dzieje w polskiej edukacji. Oceniam, że to jakieś 20 procent moich kolegów i koleżanek. Tyle samo nie podchodzi entuzjastycznie do pomysłu strajku, ale nie mówi tego otwarcie, wyraża obawy po kątach. „Boję się, że nic nie ugramy, a oni [patrz: politycy] wezmą się za nas", „Myślę, że tylko na tym stracimy, a i tak nic konkretnego nie załatwimy" – takie głosy słychać na szkolnych korytarzach. Ale nawet sceptycy chcą być solidarni z tymi, którzy chcą walczyć o swoje. Pozostałe 60 procent nauczycieli gotowych jest poprzeć strajk, nie wyraża jednak głośno swoich opinii. Takie są moje kalkulacje, nie wiem, czy słuszne. Dzisiaj przyszedł moment opowiedzenia się już konkretnie po którejś ze stron, podjęcia decyzji. Byłem za protestem.

28 marca

I wszystko wiadomo. Większość, 89 procent, nauczycieli w naszej szkole opowiedziała się za tym, żeby strajkować. Wybraliśmy ideę solidarności, wspólnoty zawodowej, która łączy się w sprawach ważnych dla społeczeństwa. Referendum wiele zmieniło. Pokazało nam skalę poparcia wobec strajku, nie tylko w naszej szkole, w całym kraju. Po kolejnych wystąpieniach Sławomira Broniarza, prezesa Związku Nauczycielstwa Polskiego, który podawał wyniki referendów, moje starsze koleżanki

wiedziały już, że tym razem nie skończy się krótkim protestem. Jedna z profesorek głośno nawoływała: „Dla mnie to już nic nie zmieni! Za dwa lata mnie tutaj nie będzie, ale was czeka jeszcze kilka dobrych lat. Nie możecie zgodzić się na tę miernotę i taką emeryturę, jaka mnie została naliczona". Ale nie chodziło tylko o tę emeryturę. Pani profesor i nie tylko jej – nam wszystkim – odmawiano statusu elit intelektualnych i wiążącego się z tym szacunku. Myślę też, że wspomnienie niepowodzenia roku 1993 wzbudziło w niej chęć rewanżu. „Walczcie! Już niedługo przejdę na emeryturę, ale wytrwam, bo to moja ostatnia walka"– mówiła. Inna, należąca do tego samego pokolenia, dłużej wahała się, czy powinna przystąpić do strajkujących. Na szali stawiała swój profesjonalizm i systemowe zaangażowanie w pracę z uczniem. Ostatecznie przeważyło poczucie solidarności. „Będę trwała choćby do października, nawet jeśli tak miałaby skończyć się moja kariera" – stwierdziła. Wróciłem do domu pełen entuzjazmu. Udzieliła mi się siła wspólnoty. Wiedziałem, że nie ma odwołania od podjętej decyzji, a zmienić ją mogą tylko rozmowy rządu ze związkami.

29 marca

W przerwie pomiędzy lekcjami a spotkaniem z rodzicami poszedłem z koleżanką, też nauczycielką, na obiad. Rozmawialiśmy. Jest sceptycznie nastawiona do strajku. I nie chodzi o poglądy polityczne czy konieczność opowiedzenia się „za czy przeciw rządowi" – jej zdaniem idea strajku jest niezgodna z pojęciem etyki zawodowej nauczyciela. Uważa, że nie powinniśmy w taki sposób domagać się podwyżek czy naciskać na rząd w sferze reform. Znam ją, to nie jest maska. Po tej rozmowie wiem, że nie dołączy do nas podczas strajku. Nie ona jedna. Cóż, przed nami jeszcze prawie dwa tygodnie rozmów. Zobaczymy, jak będzie.

7 kwietnia

Szokująco wysokie wyniki referendum nie zmieniły wiele w negocjacjach. Dziś już wiadomo, że nie zmierzaliśmy do szczęśliwego końca. Odkładanie rozmów, coraz mniej korzystne propozycje – to nie może skończyć się dobrze. W ostatnim tygodniu rozmów między związkami widoczny był rozdźwięk. Zaczęliśmy się zastanawiać, czy to może doprowadzić do podziału, czy ktoś zdradzi. Trochę zaklinając rzeczywistość, powtarzaliśmy sobie, że do tego nie dojdzie. „Jeżeli damy się podzielić, to już po nas!" – słyszało się w pokoju nauczycielskim. Liczyłem się z możliwością rozłamu, od początku nie ufałem „Solidarności", wiedziałem, w jakich relacjach z rządem jest Piotr Duda. Niby tak, ale kiedy zobaczyłem scenę podpisania porozumienia między Beatą Szydło a Ryszardem Proksą z „Solidarności", zacisnąłem zęby. Poczułem gniew. Pomyślałem, że „teraz tak naprawdę się zacznie".

8 kwietnia

Przyszedłem do szkoły na godzinę 8.00. Komitet strajkowy, czyli moje trzy koleżanki, już czekał, żeby rozdzielić między nas zdania. Musieliśmy oficjalnie rozpocząć akcję protestacyjną. Rozłożyłem stanowisko przy wejściu i zacząłem zbierać podpisy osób chcących wziąć udział w proteście. Na listę wpisali się niemal wszyscy. Podszedłem do tych, których na niej nie było, zapytałem, czy przystępują do strajku. Podałem im listę. Wszyscy już sobie wszystko przemyśleli. Podpisali w myśl zasady: „Musimy trzymać się razem!". Koleżanka, z którą jadłem obiad dwa tygodnie przed strajkiem, stała obok. Tamta rozmowa nie była formalna. „Ja się nie dopisuję, rozmawialiśmy o tym" – stwierdziła nad wyraz spokojnie. 90 procent załogi przystąpiło do strajku, w tym wicedyrektor szkoły. Patrzyliśmy z dumą na tę listę. Chwilę potem ktoś rzucił, żeby rozwiesić baner strajkowy ZNP. „Chłopaki, zajmijcie się tym. Zaraz będą dziennikarze!" – przykazała przewodnicząca komitetu strajkowego. Pojawili się, zrobili kilka fotek. W międzyczasie przenieśliśmy stoliki z pokoju nauczycielskiego do sali obok – to świetlica w nowoczesnym stylu,

przygotowana z myślą o naszych uczniach: kanapy, designerskie palety do siedzenia, automat do kawy, telewizor, a nawet konsola do gier. Może to śmieszne, ale czasami spoglądaliśmy na tę świetlicę z zazdrością, bo nasz pokój nauczycielski tak nie wygląda. Teraz zajęliśmy uczniowskie biurka i miękkie poduchy. Dziwnie jakoś. Przeszło mi przez myśl, że nasz gwarny zakład pracy został zamieniony w milczące więzienie, pracowaliśmy w ciszy, mało ze sobą rozmawiając. Żeby nie było tak smutno, przynieśliśmy do świetlicy drobne podarunki, przede wszystkim jedzenie. Uginały się od niego stoliki. Nad biurkami wisiał napis, dedykowany przez Radę Rodziców uczniom: *„Just believe in your dreams"* – „Po prostu wierzcie w swoje sny". Spojrzeliśmy po sobie, co za ironia losu. A może to przesłanie, tym razem nie dla uczniów, ale dla nas – nauczycieli? Ten poniedziałek oswoił miejsce: stół, sofy, biurka. One są jedynie tłem. Ważniejsze, że jesteśmy razem. I trwamy.

9 kwietnia

Przyjechałem do szkoły. Od progu świetlicy uderzył mnie półmrok. Zasłony były ściągnięte. Wszyscy oglądali telewizję, śledzili, jak relacjonowany jest nasz strajk. Na środku siedziała przewodnicząca oddziału ZNP, a pomiędzy stolikami nauczyciele. Słuchaliśmy z zapartym tchem. „Jutro będzie jeden z bardziej kluczowych dni. Rozegra się bitwa o egzaminy. Rząd jest przekonany, że mu się uda. Według moich informacji jest to prawdopodobne. Wyzwaniem będzie dopiero piątek, kiedy mają się odbyć egzaminy językowe" – tłumaczyła przewodnicząca. I tutaj zwróciła się do nas: „Dlatego wytrwajcie! Ponadto dochodzą do nas słuchy, że w niektórych warszawskich szkołach planuje się przeprowadzić strajk okupacyjny" – patrzyła na nas skupiona. „To chyba za daleko. Ja się na to na pewno nie zdecyduję" – rzuciła krótko jedna z nauczycielek. „Myślę, że to przesada. Ale uważam, że powinniśmy wszyscy dogadać się z lekarzami i kto może, niech bierze L4, bo inaczej nie wytrwamy finansowo" – dopowiedziała inna. Niektórzy z nas podchwycili tę myśl, reszta milczała. „To jednak jest zbyt nieuczciwe, niezgodne z naszym zawodem" – moja

koleżanka myślała podobnie jak ja. Poparłem jej wypowiedź na forum. Rozpoczęła się krótka dyskusja, ale było widać, że nie uzgodnimy wspólnego stanowiska. Przewodnicząca ZNP nie ingerowała, niczego nam nie sugerowała. Zebrała się do wyjścia i na odchodne rzuciła jeszcze mobilizująco: „Musimy kontynuować strajk. Pamiętajcie, jak wejdzie w życie całe porozumienie, zwłaszcza to dotyczące 24 godzin tablicowych, większość z was straci istotną część etatu". Podziałało. Po niektórych widać było, że się załamali. „I po co myśmy w ogóle zaczynali" – chodziło im po głowach. Inni nastawili się jeszcze bardziej bojowo. Ktoś wspomniał o trzech niestrajkujących nauczycielkach. „One naprawdę wezmą udział w komisjach?" – spytała z niedowierzaniem jedna z koleżanek. Wzruszyliśmy ramionami. Wróciłem do domu i odsłuchałem audycji radiowej w TOK FM z dyrektorem Centralnej Komisji Egzaminacyjnej Marcinem Smolikiem. Jej treść mnie poruszyła. Wygląda na to, że rząd nie ma planu B, że nie da się tak po prostu powtórzyć którejkolwiek z serii egzaminów, ale dyrektor „nie wyobraża sobie takiej sytuacji (...) ona nie zaistnieje". Nie ufam mu. Ale zastanawiam się, czy ma rację. Przeprowadzą te egzaminy bez nas? Niby jak?

10 kwietnia

Mam wrażenie, że każdy kolejny dzień strajku jest konfrontacją. Konfrontacją z przeciwnikiem, nie z partnerem do rozmów. Tu działa logika wojny. Tego sporu nie da się już rozwiązać pokojowo. Trzeba wygrać albo przegrać. Nie chodziło przecież tylko o egzaminy czy późniejszą klasyfikację – chociaż jasne, że jeśli uda się przeprowadzić i jedno, i drugie, to będzie dowód, że mimo strajku rząd sobie poradził. Bardziej martwi mnie to, że tak naprawdę nie było dotąd prawdziwych rozmów, a jedynie negocjacyjne gierki. Druga strona traktuje nas jak wroga. U nas do zgrzytu doszło we wtorek, ale dowiedziałem się o tym dopiero dzisiaj. Ponoć wczoraj nauczyciele spotkali się w pokoju nauczycielskim, jedna z moich koleżanek zapytała, kto weźmie udział w komisjach egzaminów gimnazjalnych. Trzy osoby, które nie przystąpiły do strajku, podniosły

ręce. Doszło do cierpkiej wymiany zdań. „Nie musi pani stać naprzeciwko nas. Może pani stanąć obok. Nie strajkować, ale nie wziąć udziału w egzaminach" – stwierdziła jedna ze starszych nauczycielek. Co ciekawe, to nasi starsi koledzy są nastawieni bardziej bojowo, otwarcie krytykują tych, którzy wyłamali się ze strajku. Podobno koleżanka, pod której adresem padły te słowa, spuściła wzrok i milczała. Czuła, że stoi sama naprzeciw zwartej grupy. Co miała odpowiedzieć? W niektórych momentach zapominamy, że przyjdzie nam razem pracować także po strajku.

12 kwietnia

Pomysł zorganizowania wspólnego spotkania szkół średnich z naszego powiatu zrodził się w ZNP. Chcieliśmy ustalić wspólną linię frontu. Zgromadziliśmy się w naszym liceum. Na początku przedstawiciele poszczególnych szkół mówili o nastrojach, jakie u nich panują, o tym, czy ich koledzy chcą dalej strajkować, czy wycofać się z protestu. Zaczęli nauczyciele ze szkoły, w której panowały najbardziej radykalne nastroje. Mówili o konieczności kontynuowania protestu, podobnego zdania były koleżanki z innej szkoły. Trochę chaotycznie wymienialiśmy opinie. Przewodnicząca okręgu ZNP zachęcała do kontynuacji strajku, przynajmniej do końca egzaminów końcowych w szkołach podstawowych. „Szkół tego typu jest więcej, a wobec tego potrzeba będzie więcej osób do organizacji egzaminów. Myślę, że nie dadzą rady! Zobaczycie!" – tłumaczyła. Nikt nie powiedział „nie", ale pojawiły się wątpliwości, więc przewodnicząca dodała: „Nawet jeśli je zorganizują, to musimy dać wsparcie szkołom podstawowym. Oni liczą na nas". Myślę, że ten argument przemówił do wszystkich. Nie głosowaliśmy, uznaliśmy, że wszystkie szkoły średnie naszego powiatu chcą kontynuować protest. To nam dodało siły. Czuję, że rząd poradzi sobie z egzaminami w szkołach podstawowych, ale nie mam wątpliwości, że należy dalej strajkować. Chyba zaczynam się radykalizować. Przy okazji spotkania doszliby do wniosku, że dezinformacja nie pomaga w naszym proteście. „Słyszałam, że już nie

strajkujecie!", „Ponoć klasyfikowaliście!", „Wasz dyrektor wpisał oceny i zatwierdziliście radę" – takie zdania padają niemal codziennie, dlatego postanowiliśmy powołać grupę informacyjną na znanych portalach społecznościowych. Wyznaczyliśmy do niej po dwóch przedstawicieli z każdej szkoły średniej, mają przekazywać najistotniejsze informacje dotyczące naszego protestu, sam też do nich dołączyłem. Jestem aktywny na Facebooku, mam dobrze opanowany internet, ogarniam sieć, a rola mediów społecznościowych w nowoczesnych rewolucjach jest nie do przecenienia. Na koniec ustaliliśmy, że wieczorem spotkamy się przed starostwem i urządzimy pikietę. „Postarajcie się namówić znajomych, żeby też przyszli" – rzucił jeszcze ktoś na pożegnanie. Spotkaliśmy się o godzinie 18.00. Byli nauczyciele, kilku uczniów i ich rodzice. Wsparcie uczniów podnosiło nas na duchu. Nie było ich wielu, ale doceniam, że w ogóle przyszli, chociaż, mówiąc szczerze, spodziewałem się jakiejś inicjatywy samorządu uczniowskiego. Widziałem w telewizji, jak uczniowie w dużych miastach wspierają swoich nauczycieli, przychodzą do szkół, kręcą filmy, i chyba się trochę rozmarzyłem. „Mówimy uczniom, żeby być czujnym, żeby się angażować. I co z tego wynika? Ciągle uważamy się za szkołę, która nie tylko ćwiczy mózgi, ale kształtuje charaktery. I gdzie oni wszyscy teraz są? Siedzą nad jeziorem albo balangują. Tyle o nas myślą!" – powtarzała raz za razem rozczarowana koleżanka. Może trochę niesprawiedliwie. Były jednostki. „Jednostki? Tak, ale to są dzieci nauczycieli bądź lekarzy" – prychnęła. Prawda. Jesteśmy powiatowym miastem, tu wszystko wygląda inaczej niż w Warszawie, Gdańsku czy Wrocławiu. Chcąc nie chcąc, mijamy swoich uczniów w sklepach, na ulicach, na skwerach. Nie mamy może konkretnych wyrazów wsparcia, ale stale czujemy oddech naszych uczniów na plecach. Zadzwoniła do mnie koleżanka ze studiów, która pracuje w warszawskim liceum. Jej szkoła podczas strajku jest pusta, nie odwiedzają jej uczniowie ani rodzice. Nie spotyka ich, wracając do domu. „Nie mam z nimi kontaktu już od dwóch tygodni i nie wiem, co się u nich dzieje. Jestem jakby w innej niż szkolna rzeczywistości" – mówiła. Nagranie wspierające strajk nauczycieli, które

przygotowali uczniowie jej szkoły na YouTubie, nie zmniejszyło poczucia osamotnienia.

15 kwietnia

I po egzaminach. Przegrane zderzenie z rządem podcięło nam skrzydła. Jak mantrę powtarzamy: „Leśnicy, strażacy, służba więzienna…". „Rodziców to jeszcze rozumiem, gdyby moja córka dzisiaj zdawała egzamin, też bym tam była. Ciągle jesteśmy w pierwszej kolejności matkami" – stwierdziła jedna z koleżanek. Była nastawiona bardzo bojowo, chciała dalej strajkować i pewnie musiała sobie jakoś oswoić rzeczywistość. W kraju jest wielu ludzi z wyższym wykształceniem, najczęściej humanistycznym, którzy ukończyli kursy pedagogiczne w ramach studiów. Nawet jeśli nie są zwolennikami rządu, nie mogli pozostać obojętni na los własnych dzieci, stąd na egzaminach pojawili się rodzice i trudno mieć do nich o to pretensje. Więc nawet rozumiemy, że się udało. I tym się pocieszamy. Za chwilę znów ktoś rzuca: „Leśnicy, strażacy i jeszcze zakonnice i księża! O nich nie zapominajmy!". Nie zabolało nas, że udało się przeprowadzić egzaminy. Ich wstrzymanie nie było nigdy głównym celem naszego protestu, wpisało się w jego konsekwencje i tyle. Protest miał być dotkliwy. Zgadzaliśmy się z tym od samego początku. To nie znaczy, że miał być destrukcyjny. Nie bolało nas także poświęcenie rodziców, choć ich też mieliśmy nadzieję zdyscyplinować przy okazji protestów. Jednak myśl, że ustawodawca może nas zastąpić kimkolwiek, odebrała nam siły. Kim właściwie jesteśmy w systemie oświaty? Poczuliśmy się niepotrzebni przy taśmie produkującej dyplomy.

19 kwietnia

Falujemy. Podczas weekendu byliśmy nastawieni pozytywnie. Jedność, wsparcie i chwila wytchnienia pomogły się zregenerować, lecz na początku tego tygodnia zaczęliśmy słabnąć. Pojawiło się zwątpienie, a świadomość przegranej w starciu o egzaminy podziałała demobilizująco. Podobnie jak

publikowane sondaże, z których wynika, że tracimy przychylność opinii publicznej. Bez społecznego poparcia wygrać będzie trudno. Czy mamy jeszcze o co walczyć? Gdyby spojrzeć na to z punktu widzenia logiki wojny, po straceniu zasobów, inicjatywy i przegranej bitwie wydaje się, że nie. Możemy walczyć tylko o zachowanie twarzy. Powoli zastanawiamy się, jak to zrobić. We wtorek spotkaliśmy się po raz drugi w gronie przedstawicieli szkół średnich. Wiemy, że ukradkiem patrzą na nas gimnazja, które tydzień wcześniej przeżyły piekło. Nie wszyscy byli przekonani, ale jednak podjęliśmy wspólną decyzję o kontynuacji strajku. Trwamy razem i to jest nasze zwycięstwo. Realny sukces. Nigdy wcześniej wszystkie szkoły powiatowe, od dekady rywalizujące ze sobą o ucznia, niczym targowe stragany o klienta, nie koordynowały swoich działań. Po tym spotkaniu wróciły siły. Zaczęliśmy budować wojewódzkie komitety strajkowe i komitet krajowy. W wielki czwartek pojechałem na spotkanie przedstawicieli wszystkich szkół województwa, byłem jednym z reprezentantów powiatu. Powołaliśmy komitet, napisaliśmy odezwę do rodziców – jesteśmy zdeterminowani, żeby kontynuować protest. Mam wrażenie, że komitety stają się bardziej radykalne od ZNP, powoli rodzi się drugi ośrodek strajku. I trudno się temu dziwić. W końcu ze strony rządu padła propozycja podwyżek, które w istocie obniżą nasze pensje, a do tego pojawiła się idea stadionowego okrągłego stołu. „26 kwietnia? Czy oni są poważni? Przecież to ostatni dzień roku szkolnego! Nie będzie czasu ani na wystawienie ocen, ani na klasyfikację!" – przemknęło po sali, w której rozmawialiśmy. Propozycję stadionowych bojów pomijam milczeniem. Ten pomysł w pakiecie z realną obniżką naszych pensji jest prowokacją. Jesteśmy w klatce, ale dlaczego rząd bierze kij i uderza nim w kraty? Mówiąc szczerze, narasta we mnie gniew.

22 kwietnia

Te święta były inne niż wszystkie. Spotkania z krewnymi nie zawsze kończyły się dobrze. Kolega wrócił po świętach z niezbyt tęgą miną, chodził przybity. Kiedy zapytałem go, co się stało, stwierdził: „Niepotrzebnie

pokłóciłem się z teściem, który i tak nie da się przekonać do naszych racji". Nie on jeden miał takie świąteczne przeboje. „Chyba pół wieczoru przekonywaliśmy naszą matkę, która za żadne skarby nie mogła zrozumieć, dlaczego nie chcemy dogadać się z rządem. W trzeciej godzinie rozmowy przyznała nam rację. Nie wiem, czy to było warte tego, ale przynosi pewną satysfakcję" – opowiadała jedna z koleżanek. Społeczeństwo nie dało się przekonać do naszych racji. Zauważyłem też strapioną minę pani dyrektor. Do tej pory starała się nas wspierać, co wcale nie było takie oczywiste w innych szkołach. Ona przyjęła taktykę – nie stać naprzeciwko, tylko obok. Tyle że telefonów z kuratorium było coraz więcej. Dyrektor musiała być czujna. Dostawała nieraz sprzeczne polecenia. Dochodziło do tego uczucie osamotnienia. Od lat znają się i przyjaźnią z wicedyrektor, więc ta postanowiła odstąpić od strajku. „Nie mogę zostawić mojej przyjaciółki. Protest jest wartością, ale wartością też jest przyjaźń. Byłam z wami, ale muszę teraz stanąć u boku naszej… i mojej przede wszystkim przyjaciółki". Nikt nie skrytykował jej decyzji, rozumieliśmy.

25 kwietnia

Wciąż trzymamy się razem, ale wyraźnie słabnie wola walki. Niełatwe święta, brak dialogu z władzą, ale nade wszystko ranga egzaminów maturalnych skłania ku odstąpieniu od protestu. To jasne, że teraz jego ciężar przechodzi na nas, nauczycieli szkół średnich. Problem wystawienia ocen, klasyfikacji i dopuszczenia do egzaminu leży w naszej gestii. Teraz naprawdę w każdej decyzji czujemy, iż „pióro może być silniejsze niż miecz". Nie boimy się tej odpowiedzialności, ale ciąży nam ona niezmiernie. Podobnie jak idea „Solidarności" – wspólnoty działania, podyktowana wspólnotą interesów. Interesów grupy zawodowej, ale także interesów społeczeństwa. Mieliśmy przed oczami logo wyrysowane przez Janiszewskiego[3], teraz my, nauczyciele szkół średnich, mieliśmy przejąć flagę w pochodzie. W naszym liceum usiedliśmy do rozmów o godzinie 9.00. Mieliśmy około półtorej godziny. Na 12.00 zaplanowano wspólne

spotkanie szkół średnich naszego powiatu. Byliśmy nieco podzieleni, ale nie mieliśmy wątpliwości, że cokolwiek postanowimy, zaproponujemy naszą decyzję jako jednogłośną całej szkoły. Coraz silniej słychać głosy nauczycieli zniechęconych do strajku oraz wychowawców przejętych swoimi uczniami. „Ja już naprawdę nie mogę dłużej blokować klasyfikacji. To była najlepsza klasa, z jaką współpracowałam przez 25 lat mojej pracy. Nie mam im nic do zarzucenia, a teraz mam ich tak potraktować?" – jednej z nauczycielek łamał się głos. Widać, że wielu z nas jest coraz bardziej, tak po ludzku, rozdartych: z jednej strony chciałoby dalej walczyć, choć ta walka coraz bardziej zdawała się skazana na porażkę, z drugiej strony – chciało być ze swoimi uczniami, maturzystami, bo czuło, że to nasz nauczycielski obowiązek. Wynik głosowania mógłby być remisowy, ale przeważyła decyzja Ogólnopolskiego Komitetu Strajkowego – dzień wcześniej media podały, że ten rekomenduje przeprowadzenie klasyfikacji. Ustaliliśmy, że wystawimy oceny w czwartek, a konferencję klasyfikacyjną zrobimy w piątek. Z przewodniczącą szkolnego ogniska ZNP i jeszcze jedną koleżanką pojechałem do szkoły, w której zapowiadaliśmy spotkanie z innymi przedstawicielami szkół średnich. Byliśmy przekonani, że większość z nich podjęła podobną decyzję. Gdy dojechaliśmy na miejsce, większość szkolnych komitetów już była. Usiedliśmy do stołu. Trzy pierwsze szkoły wyraziły wolę kontynuowania strajku. Czwarta wahała się, skłaniając się jednak do klasyfikacji. Piąta delegacja, bardziej radykalna, nie kryła rozczarowania tymi, którzy chcieli odstąpić od strajku. Przyszedł czas na nasze liceum. Przedstawiliśmy naszą opinię i nastąpił pat. Wszyscy daliśmy sobie trochę czasu na ochłonięcie. Potem głos zabrała przedstawicielka jednej ze szkół, które chciały trwać w strajku. Powiedziała, że rozumie przeciwne stanowisko, jednak prosi o wypracowanie wspólnej decyzji. Zapytała, czy możemy przekonać naszych nauczycieli i przedłużyć klasyfikowanie do ostatniego możliwego momentu – do piątku. Zadzwoniliśmy do szkoły, nie chcieliśmy się wyłamywać. Podjęliśmy decyzję, że poczekamy z klasyfikacją do piątku, tak zresztą planowaliśmy i z taką informacją po półgodzinnej przerwie wróciliśmy na wspólne obrady. Wszystkie szkoły w powiacie zachowały

jedność. Wystosowaliśmy odpowiedni komunikat do mediów: „Zdecydowaliśmy pozostać w proteście i w dalszym ciągu nie dokonać klasyfikacji uczniów trzeciej klasy". Trwamy, ale nie mamy już możliwości manewrowania. Pod koniec spotkania dotarły do nas informacje o koncepcji specjalnej ustawy. Postanowiliśmy czekać. Czuliśmy, że sytuacja może się zmienić. Kilka godzin później premier przedstawił nowelizację ustawy dotyczącą matur. Marszałek Terlecki zapewnił, że uda się ją procedować do piątku. Dyrektor, a nawet organ sprawujący nadzór nad placówkami szkolnymi będzie mógł dokonać klasyfikacji. Nie wierzyliśmy! To był zamach na autonomię pracy nauczyciela. Na ekranach pojawił się Sławomir Broniarz. Trzymał w ręku decyzję Zarządu Głównego ZNP: „Zawieszamy strajk od soboty". To już koniec. Mówiąc szczerze, poczuliśmy się trochę zawiedzeni, pozostawieni sami sobie. Zresztą, co ciekawe, pod koniec to komitety strajkowe, te wojewódzkie, powiatowe, które spontanicznie powstawały na terenie całego kraju, były bardziej nastawione na kontynuowanie strajku niż ZNP. A jednak na końcu wydały inny komunikat. Po ponad 25 latach zdecydowaliśmy się na wielki nauczycielski protest, byliśmy zdesperowani, zjednoczeni, solidarni i nagle tak po prostu mamy złożyć broń? Chyba najbardziej przeżywają to starsi nauczyciele. Są źli. Byli najbardziej zdeterminowani.

26 kwietnia

Wszyscy pojawiliśmy się w pracy. Przyszła do nas pani dyrektor, w jej oczach było widać ulgę. Nie będzie musiała stosować specustawy. Mam mieszane uczucia: nie wygraliśmy tej wojny, ale pokazaliśmy, że potrafimy być razem. Poczułem ulgę, chyba wszyscy poczuli. Wraca normalność. Ustaliliśmy kalendarz działań. „Podjęliśmy wstępną decyzję, ale warunkujemy ją rozmowami, które odbędą się za pół godziny z przedstawicielami pozostałych szkół średnich powiatu" – oświadczyła przewodnicząca komitetu strajkowego. Po kilku godzinach wydaliśmy wspólne oświadczenie: „Nauczyciele szkół ponadgimnazjalnych powiatu

(...) dokonali klasyfikacji klas maturalnych zgodnie z obowiązującym prawem". Poniżej widniały podpisy sześciu szkół.

Czy zostanie coś pozytywnego po tym strajku?

Chcielibyśmy widzieć naszą decyzję jako tryumf racjonalnego rozumu, jako odwagę bycia mądrym zgodnie z oświeceniową myślą, która otwiera epokę powszechnej edukacji. Mówi się, że kiedy pokaże się człowiekowi skarb, to nigdy o nim nie zapomni. I zawsze już będzie pragnął go znaleźć. Te dni nie były drogą od zwycięstwa do zwycięstwa – szliśmy pod górę: pod presją egzaminów, niechętnej postawy rządu, spadającego poparcia społecznego, ale trwaliśmy. Pozostaliśmy solidarni – tak to widzę. I być może to jest ten skarb, który uczyni nas jeszcze lepszymi nauczycielami.

Przypisy

[1] Jan Amos Komeński, Komeniusz (1592–1670) – czeski myśliciel i pedagog, twórca systemu powszechnej edukacji (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).

[2] Tak zwana reforma jędrzejowiczowska (od nazwiska ówczesnego ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego, Janusza Jędrzejowicza) była wprowadzana od lipca 1932 roku. Jej zasady obowiązywały do 1948 roku, gdy władze PRL zlikwidowały gimnazja i wprowadziły siedmio-, a potem ośmioletnie szkoły podstawowe oraz czteroletnie licea ogólnokształcące i pięcioletnie licea zawodowe. Ten podział funkcjonował do 1999 roku.

[3] Chodzi o logo NSZZ „Solidarność” zaprojektowane przez grafika Jerzego Janiszewskiego.

Spis treści

Wstęp – **Mira Suchodolska**
Współpraca, nie rywalizacja – **Krystyna Starczewska**
Mimo wszystko wciąż mi się chce – **Dariusz Martynowicz**
Zrobić coś z niczego – **Monika Bereta**
Nie tylko przy tablicy – **Jolanta Jastrzębska**
Szkoła boi się „inności" – **Katarzyna Kubanek**
Dyrektor, czyli menedżer – **Dariusz Orzeszko, Agnieszka Mularska**
Nieszczęśliwy jak nauczyciel – **Telmo Diz**
Kartki z kalendarza – **Bartosz Tracz**

Przypisy

Karta redakcyjna

Projekt okładki
Karolina Żelazińska

Redakcja
Jakub Demiańczuk

Korekta
Anna Sidorek
Hanna Trubicka

Copyright © by Dorota Kowalska, 2019
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2019

ISBN 978-83-8032-369-8

Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Odwiedź nas na

POBIERZ NA TELEFON APLIKACJĘ WIELKA LITERA AR
Aplikacja WielkaLitera wykorzystuje technologię rozszerzonej rzeczywistości (AR) i umożliwia odtwarzanie wideo, audio oraz e-booków, a także przekierowuje na wybrane strony www. Aplikacja WielkaLitera jest dostępna w wersjach na Android oraz iOS. Pobierz ją za darmo i zobacz więcej.

Konwersja: eLitera s.c.